

JAROSŁAW KACZYŃSKI CZŁOWIEKIEM WOLNOŚCI
TYGODNIKA „SIECI”

ZA OBRONĘ
GRANIC
I NIEPODLEGŁOŚCI

HISTORYCZNA DECYZJA PKN ORLEN
SAUDI ARAMCO PARTNEREM POŁĄCZENIA Z LOTOSEM



SIECI

SIECI

NAJWIĘKSZY
KONSERWATYWNY
TYGODNIK OPINII
W POLSCE

Nr 3 (477) 2022
17–23 stycznia 2022
CENA: 7,90 zł (w tym 8% VAT)

TYLKO U NAS

KURSKI KONTRA KŁAMSTWA

Prezes TVP
Jacek Kurski
z córką



DLACZEGO OPOZYCJA WŁAŚNIE TERAZ ZA WSZELKĄ CENĘ,
UŻYWAJĄC NAJBARDZIEJ BRUDNYCH METOD,
CHCE ZNISZCZYĆ PREZESA TVP?

Hit Polsat Box

Najlepszy sport i ulubione kanały
za jedyne 60 zł/mies.

Dekoder polsat box I 4K lite za 1 zł.

CINEMAX

KŁAMSTWO
DOSKONAŁE

Na start
3 miesiące
pełnej oferty
TV bez opłat

ELEVEN
SPORTS

LaLiga
Santander

CHAMPIONS
LEAGUE

polsat sport
premium

nickjr.

polsat box 

Wybierz swoje wszystko

Technologia satelitarna i kablowa IPTV

Kanały Nick Jr. i Cinemax dostępne promocyjnie na 24 mies.

Promocja dla nowych Klientów telewizji satelitarnej przy umowach na pakiet M Sport ze zobowiązaniem od 60 zł/mies. i z okresem podstawowym na 24 okresy rozliczeniowe. „Bez opłat” nie dotyczy opłaty jednorazowej za aktywację dekodera oraz opłat za Internet. Technologia kablowa IPTV działa z Internetem stacjonarnym Plusa, Netii i Orange i wymaga łącza o min. prędkości 8 Mb/s dla kanałów w jakości HD i 25 Mb/s dla kanałów w jakości 4K na dekod. „Za 1 zł” – opłata uiszczana przy podpisaniu umowy dotyczy aktywacji i udostępnienia dekodera. Szczegóły w Warunkach Oferty i Regulaminie dostępnych u Sprzedawców i na polsatbox.pl. LaLiga Santander w ELEVEN SPORTS | Zdjęcia: Getty Images. „Kłamstwo doskonałe” © Warner Bros. All rights reserved. Oferta ważna na dzień 10.01.2022 r.

Szanowni Państwo!

Serdecznie dziękujemy za wszystkie głosy i komentarze, które – jak co roku – dotarły do nas w związku z wyborem laureata tytułu Człowiek Wolności Tygodnika „Sieci” za rok 2021. Gdy je czytaliśmy, gdy rozmawialiśmy z wieloma osobami bezpośrednio, przypominaliśmy sobie, jak intensywny to był rok. Czas przeciążeń geopolitycznych i wewnętrznych, ambitnych zmian i ciężkiej walki z ciągnącą się pandemią.

Jeden wątek najmocniej wracał we wszystkich niemal wypowiedziach: obrona granicy Rzeczypospolitej. Dla Polaków, tak doświadczonych historycznie, nie ma sprawy bardziej świętej. I od 2010 r. nie było poważniejszego testu dla sprawności naszego państwa i spójności naszej wspólnoty.

Atakowi z zewnątrz, wydanej Polsce cynicznej wojnie hybrydowej, towarzyszyły medialne i polityczne haniebne napaści na obrońców granicy wychodzące – przynajmniej formalnie – z wewnątrz.

W tym czasie przekonaliśmy się też, jak ważne były inwestycje w bezpieczeństwo Polski, dokonywane z determinacją po roku 2015, oraz zatrzymanie zwijania państwa prowadzonego za poprzednich rządów.

Mimo równoczesnej presji z Zachodu Polska się obroniła, Polska dała radę. Zdali egzamin strażnicy graniczni, żołnierze, policjanci, dowódcy i ministrowie, którzy te służby nadzorują, zrozumiał powagę chwili (z krzykliwymi, ale nielicznymi wyjątkami) naród polski.

W ocenie naszych Czytelników kluczowa, najważniejsza dla polskiej obrony była jednak rola wiceprezesa Rady Ministrów, przewodniczącego Komitetu ds. Bezpieczeństwa Narodowego i Spraw



Fot. Andrzej Wiktor

Obronnych, prezesa Prawa i Sprawiedliwości Jarosława Kaczyńskiego. Zarówno w czasie apogeum kryzysu, jak i wcześniej, gdy skutecznie przygotował państwo polskie na możliwe zagrożenie, zwiększył możliwości obronne, w tym wykorzystał okienko możliwości w czasie prezydentury Donalda Trumpa. Podkreślano też wagę projektu Ustawy o obronie ojczyzny, która buduje perspektywę skokowego zwiększenia bezpieczeństwa naszego państwa.

Głosy zdecydowanej większości Czytelników potwierdziła Kapituła tytułu Człowiek Wolności Tygodnika „Sieci”.

Z dumą ogłaszamy, że tytuł Człowieka Wolności Tygodnika „Sieci” za rok 2021 otrzymuje premier Jarosław Kaczyński.

O formule i terminie wręczenia tytułu Człowiek Wolności poinformujemy wkrótce. Pełną relację znajdą Państwo na łamach tygodnika „Sieci”, w portalu wPolityce.pl oraz telewizji wPolsce.pl.

Kapituła tytułu Człowiek Wolności Tygodnika „Sieci”



Partnerzy plebiscytu


30

**Opozycja bez
składu i ładu**
*Marek Pyza,
Marcin Wikło*


43

**Lekarze bez
odpowiedzialności
za błędy?**
Dorota Łosiewicz


60

**Archipelag
Warszawa**
Wojciech Lada

NA POCZĄTEK

- 6** **SYGNALISTA NADAJE**
Nieoficjalny przegląd tygodnia
- 8** **WYWIAD Z WAMPIRĄ**
Krzysztof Feusette
- 9** **MOSKAŁ NAS PODZIELIŁ**
Tomasz Łysiak
- 10** **ŚWIATEŁKO W TUNELU?**
Dorota Łosiewicz
- 12** **ŚWIATOWE ŻYCIE**
redaguje Konrad Kołodziejski
- 14** **DZIEJĄ SIĘ DZIEJE**
Jan Pietrzak
- 14** **PRAWDA NIGDY NIE LEŻY POŚRODKU**
Dominik Zdort
- 15** **ZLECENIE NA KSIĘDZA**
Bronisław Wildstein
- 16** **WALIZKA JANUSZA ROSIKONIA**
Michał Korsun
- 18** **OGNIEM NA WPROST**
Andrzej Rafał Potocki
- 19** **FERIE SZLAKIEM DAWNEGO
PEJZAŻU POLSKI**
Marta Kaczyńska-Zielińska
- 20** **ELEGANCKI NIEMIEC OŚMIELA KACAPA**
Samuel Pereira

TEMAT TYGODNIA

- 22** **Z JACKIEM KURSKIM**
rozmawiają Jacek i Michał Karnowsky

KRAJ

- 28** **KOMU NIE PODOBA SIĘ TA FUZJA?**
Maciej Wośko
- 30** **OPOZYCJA BEZ SKŁADU I ŁADU**
Marek Pyza, Marcin Wikło
- 34** **DYPLOMACI NON GRATA**
Stanisław Janecki
- 37** **JAD NA POLSKI ŁAD**
Konrad Kołodziejski
- 40** **Z TADEUSZEM KOŚCIŃSKIM**
rozmawia Maciej Wośko
- 43** **LEKARZE BEZ ODPOWIEDZIALNOŚCI
ZA BŁĘDY?**
Dorota Łosiewicz
- 46** **DOŁÓŻ SVOJĄ CEGIEŁKĘ DO ODLEWU
DWÓCH OSTATNICH FIGUR**
Jaromir Kwiatkowski

ŚWIAT

- 48** **ROZGRYWKĄ PUTINA**
Marek Budzisz
- 52** **DZIECKO KRÓLA LIRA**
Aleksandra Rybińska
- 54** **TRIUMF DOKTRYNERSTWA
NAD POLITYKĄ**
Jan Rokita

HISTORIA

- 57** **ZBRODNIA BEZ KARY**
Grzegorz Górny
- 60** **ARCHIPELAG WARSZAWA**
Wojciech Lada

OPINIE

- 64** **WIRTUALNI WODZOWIE**
Romuald Szeremietiew

SIECI KULTURY

- 69** **ZŁOTA PRZYGRYWKA**
Jolanta Gajda-Zadworna
- 72** **EWA ZNÓW ŚPIEWA**
Adam Ciesielski
- 73** **ZAREMBA PRZED TELEWIZOREM**
Piotr Zaremba
- 74** **NIEODPARTY UROK
ŚMIERDZĄCEJ SKARPETY**
Robert Tekieli
- 75** **WOJNA CYWILIZACJI**
Robert Tekieli
- 76** **CZYTANIE JAKO SPORT
EKSTREMALNY**
Wojciech Stanisławski

SPORT

- 80** **SZALONY CZŁOWIEK Z BAŁKANÓW**
Goran Andrijanić

KUCHNIA

- 82** **MOJE SMAKI: TOMASZ STRZELCZYK**
Jolanta Gajda-Zadworna
- 83** **SŁODKO-SŁONY/WILCZYM OKIEM**
Anna Monicka, Przemysław Barszcz

NA KONIEC

- 84** **PRL? A MOŻE GO NIE BYŁO...**
Hanna Karp
- 86** **ZAWÓD DZIENNIKARZ**
Alina Czerniakowska
- 87** **BANDZIORY I PLASTIK**
Wiktor Świetlik
- 87** **ROTA**
Lech Makowiecki
- 88** **GRANICE ZADUPIA**
Piotr Cywiński
- 88** **W PUŁAPCE LOSU**
Adam Ciesielski
- 89** **NOWOWIEJSKI, KOCHANOWSKI
I PRÓŻNE STARANIE**
Leszek Długosz
- 90** **UCHYLAM TO PYTANIE**
Andrzej Zybortowicz

teleexpress

TVP 1

TELEWIZJA POLSKA PRZYPOMINA, NOWY STANDARD SIĘ ZACZYNA

**SPRAWDŹ SWÓJ
TELEWIZOR**



**WYSZUKAJ W NTC KANAŁ TESTOWY SPRAWDZAM TV
LUB WEJDŹ NA [TELEWIZJANAZIEMNA.PL](https://telewizjanaziemna.pl)**

eprasa.pl 31b07ff718

Sygnalista nadaaje

W czasie późnowieczornej sejmowej debaty nad wnioskiem o odwołanie ministra sportu do siedzącego w pierwszym rzędzie szefa klubu PO **Borysa Budki** podszedł – wyraźnie chwiejnym krokiem – poseł Bartłomiej Sienkiewicz, też z Platformy. Reakcja Budki była błyskawiczna: wstał, wskazał na sejmowe schody i poprowadził kolegę, byłego ministra spraw wewnętrznych, do wyjścia. Po drodze Sienkiewicz zdołał jeszcze przybić piątkę z posłanką Marzeną Okłą-Drewnowicz tak mocno, że musiała ją rozboleć ręka. „Trzymajcie Sienkiewicza, bo się przewróci” – krzyczeli posłowie. „Ja jestem trochę człowiekiem biesiadnym” – mówił kiedyś Sienkiewicz, i widać, że nie kłamał.

Budkę zapytano, czy Sienkiewicz był pod wpływem alkoholu. „To są jakieś bzdury, bo rozmawiałem z **Bartkiem Sienkiewiczem** przed debatą i w trakcie wyszliśmy sprawę [rodziny Brejzów] omówić. Nie czułem alkoholu. Rozmawiamy o facycie, mówię o Mejsie, który próbował wyłudzać pieniądze od rodziców ciężko chorych dzieciaków, a co zamiast tego mamy? Jakies filmiki produkowane przez pisowskich trolli, pisowskich posłów sugerujące tego typu rzeczy”. Cóż, słowo „odór”, rzucone przez Tuska pod adresem PiS, wróciło do opozycji szybciej, niż można było sądzić.

Na sejmowym korytarzu Budka poszedł jeszcze dalej w odwracaniu kota ogonem. Nie odpowiedział na pytanie, zaatakował za to dziennikarza TVP: „Paweł Adamowicz zginął m.in. dlatego, że to są ludzie, którzy

szczuli na Pawła Adamowicza” – mówił, a następnie zmienił temat i opowiadało... Przemysław Czarnku i Łukasz Mejsie. Na końcu stwierdził: „Chciałbym, żeby za każdym razem przedstawiciele rządu byli sprawdzani alkomatem”. Strategia PO w pigułce. Ale prawda czasem wychodzi na jaw, tak jak w sprawie spalonej budki pod rosyjską ambasadą.

Jan Śpiewak alarmuje w sprawie jednej z propozycji „amerykańskiego” koncernu medialnego: „Jest taki program w stacji należącej do TVN TTV pt. »Królowe życia«. Prowadzi go burdelmama, która odbyła wyrok więzienia za stręczycielstwo i handel ludźmi. W jej burdelu handlowano kobietami za 5 tys. euro. Jak sama pisze, pobyt w więzieniu otworzył jej drogę do kariery w telewizji” – napisał. Cenny głos. Może wreszcie zawrócimy z drogi ku moralnej nicości? Państwo ma narzędzia, ale faktycznie może ich użyć tylko przy poparciu ze strony opinii publicznej.

Jeszcze jeden fragment z wypowiedzi Śpiewaka, dotyczący postaci określanej jako „Megakot”: „Lubi chwalić się w internecie zażywaniem twardych narkotyków oraz romansami z młodymi dziewczętami. Z jedną z nich związał się, już jak miała 15 lat albo i mniej... W popularnych nagraniach na YouTube chwali się tym, że nazwał świnię imieniem po byłej dziewczynie, która popełniła samobójstwo. Tych dziewczyn, które umierały tragicznie w młodym wieku po związkach z nim, było aż cztery. Z tego, co udało nam się ustalić,

Janusz
Lewandowski
– obecnie
europoseł
PO, w latach
90. minister
prywatyzacji
– protestuje

przeciwko połączeniu
Orlenu z Lotosem.

„Rozbiór Lotosu to
niejeden przykład, jak
rząd PiS zachowuje się
na terenie krąbnego
Pomorza. Zachowuje się jak
kolonizator – nie może podbić,
nie może zdobyć, więc zabiera
aktywa” – mówił Lewandowski,
dodając, że „na składnikach
Lotosu ma być wyhodowany
zagraniczny konkurent dla
naszych firm” oraz że „dzieje się
to z przyzwoleniem Solidarności”.

Lewandowski maluje fałszywy obraz
sytuacji, ale jednocześnie mówi tak jak
jego krytycy dwie dekady temu. Gdyby
wówczas postępował inaczej, mielibyśmy
dziś w Polsce więcej takich skarbów jak
Orlen. A tak mamy tylko to,
czego nie zdążył wyprzedać.

wszystkie przed śmiercią miały poważny problem z narkotykami. Jak sam »Megakot« przyznał, policja sama podejrzewała go o zabójstwo jednej z nich”. Tak wygląda telewizja dla „wykształconych z wielkich miast”.

🔊 Tolerujemy w naszych mediach truciznę i toksyny, a później słyszymy ubolewania nad kondycją psychiczną młodzieży. Celnie mówił o tym w Sejmie minister edukacji Przemysław Czarnek, odpowiadając Lewicy: „Różne są tego przyczyny, ale jedna z przyczyn jest właśnie taka, że robicie najpierw dzieciom wodę z mózgu, powodujecie rozchwianie emocjonalne tych biednych dzieci w szkole, a następnie mówicie, że depresji dostają. [...] Najpierw podpalacie, a później chcecie gasić pożary. Nie robicie tego, będziemy mieli dużo łatwiej walczyć rzeczywiście z poważnym problemem, któremu stawiamy czoła”. To prawda. Zanim młody człowiek okrzepnie, już słyszy, że wszystko jest płynne, nawet pleć.

🔊 Nie tylko Lewica demoluje podstawy cywilizacji. Posłanka PO Klaudia Jachira posunęła się do szyderstwa ze Święta Trzech Króli: „Kręciło się jakichś trzech włóczęgów ze Wschodu, ale nie wpuściłam. Chyba dobrze zrobiłam, prawda?”. Może gdyby wpuściła, wreszcie opuściłby ją ten straszliwy, tak wyczuwalny głęboki niepokój?

🔊 Donald Tusk wezwał do zapalania zniczy ofiarom pandemii, których liczba przekroczyła właśnie 100 tys. „Gazeta Wyborcza” tak oto opisała przebieg wydarzenia w ogrodzie Saskim w Warszawie: „Byli posłowie, senatorowie, burmistrzowie dzielnic Warszawy i radni PO. Wszyscy stali w milczeniu, nie było przemówień. Niektórzy długo pozowali przy zapalaniu zniczy, aby mieć dobre zdjęcie do swoich mediów społecznościowych. Radni PO zrobili sobie nawet grupowe zdjęcie”. Platforma chyba nie rozumie pojęcia żaloby. Nie od dziś.

🔊 Prof. Grzegorz Górski, wykładowca KUL, zrelacjonował rozmowę ze swoim przyjacielem, byłym współpracownikiem kanclerza Helmuta Kohla. „Zapytał mnie, czy my naprawdę nie dostrzegamy sensu tego, co się dzieje w Brukseli. I dodał: »Przecież to oczywiste, że wy nie chcecie wychodzić z Unii, ale czy jesteś pewien, że oni was – Polskę – w tej Unii, którą teraz budują, chcą? Przecież w Unii nie ma dziś Wielkiej Brytanii nie dlatego, że nie chcieli tego Brytyjczycy. Tego nie chcieli moi rodacy. I to oni – rękami Tu-

ska i Junckera – wypchnęli ich z Unii. A teraz wypychają was«”. Może przesada, a może i nie?

🔊 Na argument, że przecież Niemcy korzystają na naszej obecności w Unii, padła odpowiedź: „Słyszałeś już, że jesteście »strefą bezpieczeństwa«. I za Merkel, i teraz rząd federalny układa się z Rosją. Stary bismarckowski układ – Rosja politycznie obejmuje protektorat nad ową strefą, gwarantując nam w pełni zachowanie naszych interesów gospodarczych, a nawet więcej – poszerzenie naszych możliwości w Rosji. Nic nie tracimy. Mamy Unię sprzed rozszerzenia, łatwiej o wszystkim decydujemy, nie użeramy się z Polakami i Węgrami, bo to staje się zmartwieniem Moskwy. Wiesz już, po co Tusk został wysłany do Polski?”. Tak, powrót Tuska niczego dobrego Polsce przynieść nie może.

🔊 **Adam Michnik** podczas debaty w zakopiańskim Grand Hotelu Starmary wezwał do budowy zjednoczonej listy opozycji w najbliższych wyborach: „Gdybym mógł go do czegoś namawiać, to powiedziałbym tak: panie Szymonie, niech się pan dogada z kierownictwem PO czy Koalicji Obywatelskiej i idźcie do wyborów na jednej liście. D’Hondt jest tutaj okrutnym sprawdzianem, zróbcie te listy w taki sposób, żeby każdy mógł głosować na swojego. Wspólna lista pozwoli odsunąć od władzy PiS”. Czy pan Szymon posłucha? Na razie się nie pali. Wszyscy wiemy, Tusk przytuli, obgryzie i wyrzuci. Kosteczki.

🔊 Na konferencji w Zakopanem głos zabrał także sędzia Waldemar Żurek. Jak cytuje „GW”: „Jako prawnik przestrzegam przed jednym. Siły autorytarne zawsze są bardzo zwarte i zdyscyplinowane. Siły demokratyczne kochają różnorodność, ale żebyśmy tak bardzo nie kochali różnorodności, że stracimy wolność i demokrację. To jest podstawa funkcjonowania państwa”. O innej podstawie funkcjonowania państwa, czyli apolityczności sędziów, tym razem zapomniał.

🔊 Sąd Okręgowy w Płocku utrzymał w apelacji wyrok uniewinniający trzy lewicowe aktywistki oskarżone o obrazę uczuć religijnych poprzez rozlepienie w 2019 r. wokół tamtejszego kościoła św. Dominika nalepek z wizerunkiem Matki Bożej Częstochowskiej z tęczową aureolą. Prokuratura żądała kary w istocie symbolicznej: sześciu miesięcy ograniczenia wolności poprzez 30 godzin miesięcznie nieodpłatnych, kontrolowanych prac na cele społeczne. Cóż, sądy w Polsce nie po to są, by egzekwować prawo teoretycznie chroniące chrześcijan przed bluźnierstwami. ➤



„Do mojego biura poselskiego napisał człowiek, podający się za dziennikarza BBC. [...] Wywiad był bardzo merytoryczny, więc jest mi tak po ludzku przykro, że człowiek, który wykazał się wrażliwością w podejściu do tematu, zrobił to tylko dla żartu. [...] Konsultuję się z moim prawnikiem, czy pociągnąć go do odpowiedzialności prawnej za podszywanie się pod kogoś innego” (posłanka Koalicji Obywatelskiej, 10.01.2022).

Hełoł, missiz Jaszmir?

Czego jeszcze wydzwaniasz, chamie jeden? Złamałeś mi serce, imigrancie skończony, a teraz dręczysz o dziewiętej w nocy?!

Gudmorning! Landyn koling!

Sucham?

Bi-Bi-Si! Ju noł?

A kto mówi?

Sorry, ja się nie przedstawić, Siuba Duba from Bi-Bi-Si-Ti-wi. Telewizja taka. Brytyjska.

Sucham? To znaczy, sorry, bo myślałam, że to kolega z Ira...

From Dablin?

Nie! Z Ira... Jak się mówi: „Irak” czy „Iran”? Nieważne. Tak, ja oczywiście wiem, co to jest Bi-Bi-Si. I dziękuję bardzo, nie skorzystam, bo mam was już w Ju-Pi-Si. Kabłówka taka. Polska.

Ale ja chciał porozmawiać z pani o granica. Czy można po angielsku?

Ojej... Okej! Hełoł! Dał hujudu, maj darling? To znaczy, hałduju? Duju?

Ajm faj. End ju?

Maj nejim is Klaudia, aj hew...

Jes, jes, my wiemy. My pani podziwiać!

Och, dziękować. To znaczy senkju. A gdzie pan się nauczyć tak dobrze po polski?

Moja mama, to znaczy mama mamy mój kolega, być torunianka z Poznania, from Kresy, ju noł...

Jes, aj du. K..., aj noł. Jes.

A pani skąd zna angielski?

Sucham?

Wywiad z wampirem

Duju spik Inglisz?

Mejbi. To znaczy: aj du. Znaczy się... Dżizas, czemu ja nie chodziłam na lektoraty? Powiem panu tak, to znaczy, sorry wery macz, że mówię po polsku, chociaż myślę po europejsku, ale wie pan, ju noł, ja jestem generalnie średnio zaawansowana... O co pan pytał?

Nic ważnego. Czy możemy przejść do kłesszyns?

Oczywiście. Klaudia.

Nie na ty, ale do pytań...

Nie szkodzi. I tak pan świetnie mówi po polski. Och, eksmjuzmi, to takie przyzwyczajenie zawodowe, że ja najpierw słucham, jak ktoś mówi, a dopiero potem, co. Bo ja, ju noł, studiowałam... K..., jak jest „lalka”? Skul of de dolls. Patrz mi na usta, do jasnej cholery! Nie, no, kamerki nie włączę taka niezrobiona. Halo, ju hir mi?

Jes, ofkors! Czy możemy już zacząć wywiada, bo dzwonię z Landyn, a in Landyn tajm to pieniądz, a czas is many. To już można pytanie?

Oczywiście. Może takie: od kiedy pan jest dziurnalist?

Ale to ja miał pytać...

Aha. No, tak. Jasne. To przez treść, wie pan, ja jestem tak... Nie, nie przetłumaczę... Roz-chwy-ty-wa-na, ju noł? I czasem już nie wiem, czy ja mam teraz rozdawać żywność, czy konsumować? Nas, oczywiście, uczyli w Łajtstok, jak sobie radzić z popularnością i że nie ma w niej niczego złego... Ojej, języki mi się pomieszały już zupełnie... Pardon. Proszę pytać. Tylko żelazko odłóż... Bo ja rękami macham, jak myślę i lepiej, żeby mi się nie walnęła... O, jeszcze deskę przesunę...

Pani Klaudio, zatem...

A tak z ciekawości zapytam, jak jest „Klaudia” po angielsku? Coś jak nasza „kłoda” czy bardziej, jak „kłołn”?

Klodia. Czy możemy...

Jes, li ken. Ofde rekords! Nie... Ofkors!

A zatem pierwsze pytanie...

Jes, aj du. Aj noł. K..., ju du? Poproszę o powtórzenie pytania!

Zacznijmy od Bliski Wschód, okey? Co pani, jako osoba łamiąca wszelką granicę, także polsko-białoruską czy białorusko-europejską, uważa o konflikt izraelsko-palestyński?

Sucham? To znaczy, sorry, du ju ken ju... ripit? Pliiis...

Co pani sądzi o konflikcie izraelsko-palestyńskim?

No, cóż. Cóż ja mogę sądzić albo nie sądzić, ju noł. Mnie się wydaje, że sytuacja jest napięta, bo jest dełol, to znaczy mur. A jak jest mur, to na mur beton będzie też beton. To znaczy, zatebeno... no... zabetonowu... zabetonują. Się. Ju noł, łot is „się”? Trzeba rozwalić dełol, a wtedy człowiek z człowiek, pipoł lów pipoł, zawsze ollejs dogadają. Się. Tak jak ja z panem. A jak będzie pan w Łorsoł, może sobie pójdziemy razem, w sensie tuggeder, na kofi czy kawę, albo coś?

Oczywiście. Jak będę, to zadzwonię. Teraz jeszcze chciałem podpytać, skąd w pani tak ogromne pokłady wiary we własne możliwości? Pani wie, że nic nie wie, a jednocześnie mówi, jakby nie wiedziała...

Dziękuję za to pytanie, senkju za pana kłesszyn. No, więc, jak już wspomniałam, studiowałam lalkarstwo, bo mi te ręce, ju noł, ollejs na boki latały, flajing hends, że tak powiem. Robiłam sobie zdjęcia na łonie natury w krótkich sukienkach i czekałam na mojego prins z bajki. Kartun netłork, ju noł. Potem startowałam do Sejmu z Nowoczesnej, ale odpadłam. Aż tu nagle, cztery lata później mister Schetyna spodobały się moje filmiki na jutubie, to mnie wziął, ju noł, na listę wyborczą. Siks talzen ludzi zagłosoowało, no i jestem tu, gdzie jestem. I wery gud. A pan notuje czy nagrywa? Halo? Panie Bi-Bi-Coś tam? No i zerwało połączenie. Nawet dobrze, bo mi już oddechu brakowało... A co tu się tak dymi? O, Dżizas! Żelazko!

Krzysztof Feusette

Przed dziewięcioma laty, 17 stycznia 2013 r. odeszła
opatrzona sakramentami świętymi

ŚP

Jadwiga Kaczyńska

moja i mojego Brata Lecha Mama.
31 grudnia 2021 r. minęła 95. rocznica Jej urodzin.

Była mądrą, dobrą Kobiętą, troskliwą Matką, niosła ze sobą i przekazywała innym piękną tradycję polskiej inteligencji, patriotyzmu, uczciwości, zaangażowania w sprawy innych, otwartości wobec ludzi bez względu na ich życiową pozycję, głębokiego przywiązania do rodziny i Kościoła.

Była dla swoich najbliższych, dla mojego Brata i dla mnie, nauczycielem i podporą. Pozostała nią mimo bardzo ciężkiej choroby także w ostatnim okresie życia, po smoleńskiej tragedii. Pozostawiła po sobie najlepszą pamięć i niemożliwą do zapomnienia pustkę.

Msza Święta w dziewiątą rocznicę Jej śmierci zostanie odprawiona
17 stycznia 2022 r. o godz. 19:00 w Bazylice Świętego Krzyża w Warszawie.

Syn Jarosław

RZECZY POSPOLITE

Moskal nas podzielił

Za jedną z najciekawszych myśli, która może służyć diagnozie trwającej już od tylu lat wojny polsko-polskiej, mam tę sformułowaną niegdyś przez Jarosława Marka Rymkiewicza o Moskalach. Znakomity poeta przedstawił taki oto koncept, że Moskal, z którym kiedyś walczyliśmy w powstaniach i wojnach, potrafi atakować nie tylko bagnetem, lecz także zagnieździć się w duszy Polaka. Wtedy jest najgroźniejszy.

Ta wizja „wewnętrznego Moskala”, który niczym czerw drażny duszę polską i ją drenuje z odżywczych soków tożsamościowych, towarzyszy mi i powraca. Ostatnio coraz częściej, niestety, gdyż życie publiczne nabrało i ciągle nabiera coraz bardziej brutalnych wymiarów, wydzielając słodki odór, lejącej się w bratobójczym boju krwi. Duszący odór. „Moskal” wchodzi do duszy wielu Polaków różnymi otwartymi furtkami – sący się z łamów prasowych, płynie z ekranów telewizyjnych, pojawia się jak duch pośród wulgarnych tłumów współczesnych Wandalów, którzy z pasją diabelską profanują i dewastują świątynie.

Patrzę np. na nabazgrane napisy na kościele św. Krzyża. Przypomina mi się serce Chopina, które jest wewnątrz. I po-



**Tomasz
Łysiak**

grzeb Pięciu Poległych, których trumny sprowadzano 2 marca 1861 r. po tych samych stopniach, na których teraz jakaś dzicz kacapska (bo jak ją polską dziczą nazwać?) brodziła w oparach spreju, którym mazali po ścianach świątyni.

Co to za choroba duszy, która pcha do czynów antypolskich? Ta choroba to „odwieczny Moskal” właśnie – który raz zagnieździwszy się, siedzi w niej, niczym „Obcy, ósmy pasażer Nostromo”, pożera od środka i niszczy naszą wspólnotę.

Wojna trwa – tu w Polsce. Rosjanie nie muszą wysyłać czołgów czy rakiet. Mają swoich bezmyślnych żołnierzy: ci psują wszystko, plują, wrzeszczą, nienawidzą, rozdzierają państwo na kawałki. Gdyby ów kraj jako materię sobie wyobrazić albo dawną mapę wydrukowaną na płótnie, to oni przebrani w obcy mundur łapią za krawędzie i ciągną... Ciągną, ile sił w dłoniach. Czy polskie płótno narodowe wytrzyma? Boli też chyba najbardziej pęknięcie w rodzinach, małych grupach przyjaciół, niewielkich wspólnotach polskich. Boli to, że przy stole czasem siada Polak, a po drugiej stronie ma... No właśnie kogo? Osobę bliską czy daleką? Polaka? Czy może Moskala w polskiej skórze? 

WIEŻA BAB

Światelko w tunelu?

W Polsce mamy na horyzoncie piątą falę pandemii. Eksperci i lekarze przewidują, że choć wariant omikron jest łagodniejszy w przebiegu, to jednocześnie bardziej zaraźliwy, więc chorować będzie bardzo dużo osób. Dlatego poziom hospitalizacji i zgonów może być bardzo wysoki.

Jednak gdy spojrzymy na to, co dzieje się na świecie, to przy odrobinie optymizmu może uda się dojrzeć pierwsze jaskółki zwiastujące zbliżający się koniec pandemii.

Dla przykładu w Hiszpanii tamtejsze władze chciałyby uznać, że SARS-CoV-2 jest jak sezonowa grypa. Premier Pedro Sánchez stwierdził, że jego kraj chce zmienić sposób monitorowania rozwoju pandemii COVID-19. Jak donosi hiszpańska gazeta „El País”, koronawirus ma być traktowany jak kolejna choroba układu oddechowego. Oznacza to m.in. odejście od regularnego testowania. Jak ustalili dziennikarze „El País”, władze Hiszpanii pracują od miesięcy nad planem stopniowego odejścia od powszechnego nadzoru nad zakażeniami koronawirusem na rzecz tzw. punktowego. „Mamy warunki, aby stopniowo i z ostrożnością otwierać debatę na poziomie technicznym i europejskim, aby ocenić ewolucję tej choroby przy użyciu innych parametrów niż dotychczas” – uważa Pedro Sánchez. „El País” podaje, że zmiany mają dotyczyć przede wszystkim odejścia od regularnego testowania i raportowania każdego kolejnego przypadku, a to może być krok w kierunku normalizacji sytuacji i traktowania SARS-CoV-2 jak każdego innego normalnego wirusa, np. sezonowego wirusa grypy.

Optymizmem może także napawać sytuacja w Republice Południowej Afryki, która odeszła od restrykcji i obostrzeń. Niemiecki wirusolog Christian Drosten w wywiadzie dla „Süddeutsche Zeitung” zakomunikował, że są powody do „ostrożnego optymizmu” w związku z pandemią, wskazując na sytuację w RPA i Wielkiej Brytanii. Drosten powołuje się na dane medyczne z RPA, gdzie pierwotnie rozprzestrzenił się omikron. „W RPA widać już sygnały, że pandemię zastępuje endemia. Niestety, w Niemczech wciąż jesteśmy od tego daleko” – twierdzi wirusolog. Przejście od sytuacji pandemicznej do endemicznej oznaczać ma tyle, że wirus będzie się nadal rozprzestrzeniał, ale w już mniej niebezpiecznej formie, po-

równywalnej z typowymi wirusami przeziębienia.

Zajrzyjmy jeszcze do USA. Główny doradca Białego Domu ds. medycznych Anthony Fauci powiedział w trakcie spotkania z waszyngtońskim think tankiem CSIS, że nie ma możliwości wyeliminowania COVID-19 z życia społeczeństwa. W jego ocenie

USA zbliżają się do momentu, w którym przejdą do nowej normalności, życia z koronawirusem. Podobnego zdania jest Bill Gates. „Kiedy osłabnie fala COVID-19 napędzana obecnie omikronem, występować będzie znacznie mniej przypadków. Koronawirusa będzie można prawdopodobnie traktować jako sezonową grypę” – ocenił współzałożyciel Microsoftu. Poinformowała o tym w śróde telewizja CNBC, która powołuje się na wymianę opinii na Twitterze Gatesa z szefową ds. globalnego zdrowia publicznego Uniwersytetu w Edynburgu prof. Devi Sridhar. Jednocześnie departament zdrowia stanu Floryda wypuścił prozdrowotny spot, w którym główny lekarz Florydy podkreśla, że w walce z COVID-19 ważny jest aktywny, zdrowy styl życia i wczesne leczenie: tu pojawiają się takie leki, jak budezonid, fluwoksamina, mowa jest też o profilaktyce, na którą składają się: cynk, witaminy D3, C i szczepienie przeciw COVID-19.

Do tego wszystkiego Europejska Agencja Leków (EMA) ostrzegła właśnie, że regularne przyjmowanie dawek przypominających szczepionki przeciw COVID-19 może niekorzystnie wpłynąć na układ odpornościowy człowieka. – Przyjmowanie dawek przypominających szczepionki przeciw COVID-19 co cztery miesiące może ostatecznie osłabić układ odpornościowy i być męczące dla ludzi – oceniła EMA.

– Zamiast tego państwa powinny zwiększyć odstęp czasowy pomiędzy programami dawek przypominających i powiązać je z nadejściem sezonu zimowego w zależności od tego, na której półkuli się znajdujemy – zgodnie z planem wyznaczonym przez strategię szczepień przeciw grypie – dodaje EMA. – Dawki przypominające szczepionki mogą być podane raz, może dwa razy, ale nie jest to coś, co może być nieustannie powtarzane – uważa Marco Cavaleri, szef EMA ds. biologicznych zagrożeń dla zdrowia oraz strategii szczepień. – Musimy pomyśleć, jak możemy przejść z obecnej pandemicznej sytuacji w kierunku sytuacji endemicznej – dodaje ekspert.

Mam nadzieję, że to wszystko to światelko w tunelu, świadczące o końcu trudnych czasów, a nie... nadjeżdżający pociąg.

Dorota Łosiewicz



Prof. dr inż. Wojciech Paweł Mały (1946–2021)

Wojciech Paweł Mały – pionier i światowy lider w zakresie projektowania układów scalonych oraz światowy ekspert w dziedzinie mikroelektroniki zmarł 20 grudnia 2021 r. w Olsztynie

Wojciech Paweł Mały urodził się 5 stycznia 1946 r. w Inowrocławiu. Liceum Ogólnokształcące w Brwinowie ukończył w 1964 r., a studia na Wydziale Elektroniki Politechniki Warszawskiej, uzyskując tytuł magistra inżyniera, ukończył w 1970 r. W tym samym roku rozpoczął studia doktoranckie w Instytucie Cybernetyki Stosowanej PAN w Warszawie, gdzie uzyskał doktorat w 1975 r. na podstawie pracy na temat sterowania domieszek dyfuzji w produkcji układów scalonych, za którą, w uznaniu osiągnięć badawczych, został wyróżniony Nagrodą Ministra Szkolnictwa Wyższego.

W 1973 r. rozpoczął pracę na Politechnice Warszawskiej w Instytucie Technologii Elektronowej (dziś Instytut Mikroelektroniki i Optoelektroniki), gdzie pracował do 1994 r. i po przerwie w latach 2015–2017. Tytuł profesora nadał mu prezydent RP w 1996 r.

W latach 1979–1981 pracował jako wizytujący profesor w Carnegie Mellon University, Pittsburgh, USA. W 1983 r. wyjechał na stałe do Stanów Zjednoczonych i został zatrudniony w Carnegie Mellon University, Pittsburgh na stanowisku asystenta profesora, a od 1990 r. na stanowisku pełnego profesora z „tenure”. Pracował tam do 2015 r., cały czas ściśle współpracując z Instytutem Mikroelektroniki i Optoelektroniki Politechniki Warszawskiej. Należał do konsultantów i współpracowników wielu czołowych światowych przedsiębiorstw, np. PDF Solution, General Motors, National Semiconductor, Philips, Siemens...

Generalnie badania prof. Wojciecha Pawła Małego skupiały się na powiązaniach między projektowaniem, testowaniem i produkcją VLSI, z naciskiem na stochastyczną naturę zjawisk związanych z tymi trzema domenami VLSI. Jego zainteresowania badawcze koncentrowały się początkowo na metodach uwzględnienia zaburzeń procesów produkcyjnych w trakcie projektowania układów scalonych wielkiej skali integracji, a następnie dotyczyły analizy defektów i uszkodzeń strukturalnych układów scalonych oraz ich wpływie na topografię i działanie tych układów.

Jest autorem, współautorem i redaktorem ponad 200 książek, artykułów naukowych i konferencyjnych, a także



patentów, które starają się promować integrację projektowania, testowania i produkcji. Należał do komitetów redakcyjnych czołowych czasopism naukowych z branży jego badań, np. „IEEE Design & Test of Computers”.

Za prace naukowe i działalność dydaktyczną uzyskał wiele międzynarodowych nagród i wyróżnień, w tym The Aristotle Award Semiconductor Research Corporation (2007) w uznaniu pionierskich metod nauczania i przełomowych badań w branżach półprzewodnikowych układów scalonych, Carnegie Mellon Benjamin Richard Teare Teaching Award, Best Paper Award of ESREF 94, Best Paper Award 1994, Best Paper Award of IEEE Transaction on Semiconductor

Manufacturing, 1995 Best Paper Award of 1996 European Design and Test Conference oraz Eta Kappa Nu CMU Sigma Chapter Excellence in Teaching Award.

Na stałe wrócił do Polski w 2019 r.

Był żonaty, miał córkę.

Z głębokim smutkiem i żalem zawiadamiamy, że 20 grudnia 2021 r. zmarł po długiej chorobie nasz przyjaciel, wspaniały człowiek, wybitny naukowiec

PROF. DR WOJCIECH MAŁY

urodzony 5 stycznia 1946 r. w Inowrocławiu

*profesor zatrudniony na Politechnice Warszawskiej oraz
profesor of Carnegie Mellon University w Pittsburghu, USA.*

*Światowy lider w zakresie projektowania układów scalonych i światowy
ekspert w dziedzinie mikroelektroniki.*

*Uroczystości pogrzebowe odbędą się 18 stycznia br. (wtorek)
na Cmentarzu Wojskowym w Warszawie:*

*o godz. 13.15 zostanie odprawiona msza św. w kościele pw. św. Józefa
przy ul. Powązkowskiej 90,*

O godz. 14.00 wyruszy kondukt żałobny od bramy głównej Cmentarza Wojskowego

**Rodzinie i bliskim Wojtka
składamy wyrazy głębokiego współczucia**

Szczepan i Barbara Marczyńscy



Kazachstan

Konsolidacja władzy

Programowe wystąpienie prezydenta Kasyma-Żomarta Tokajewa (na zdj.) i powołanie nowego rządu kończy rewolucyjną fazę konfliktu w Kazachstanie i rozpoczyna, nie mniej interesującą, polityczną. Prezydent, który dzięki wsparciu kontyngentu ODKB (blok wojskowy państw przestrzeni postsowieckiej) przejął już kontrolę nad sytuacją, przystąpił teraz do uderzenia w najbardziej wpływowy klan w kraju, jakim są krewni i przyjaciele Nursułtana Nazarbajewa. W przemówieniu ostro skrytykował działalność funduszu państwowego Samruk-Kazyna, który kontroluje firmy odpowiadające łącznie za 60 proc. PKB kraju. Fundusz ten, jak się uważa, był głównym źródłem zysków rodziny byłego prezydenta, która na budzących wątpliwości transakcjach zarabiała miliony dolarów. Tokajew zaatakował też Bank Rozwoju Kazachstanu, na którego czele stoi wnuk Nazarbajewa. Zdaniem prezydenta bank jest „prywatną instytucją pożyczkową” dla niewielkiej grupy osób.

Zachłanność rodziny Nazarbajewa została przedstawiona jako jedna z przyczyn obecnych nierówności dochodowych

w Kazachstanie. Aby je przezwyciężyć, Tokajew zapowiedział powołanie specjalnego funduszu, który – jego zdaniem – powinien zostać zasilony przez miejscowych oligarchów. Jest to propozycja dla kazachskich klanów finansowych, aby wsparli nowy obóz władzy.

Jednocześnie rozpoczęła się czystka w kazachstańskich służbach specjalnych, o czym świadczą dymisje i serie dziwnych zgonów (samobójstwa i ataki serca) wśród wyższych oficerów resortów siłowych. Zbiegły się one w czasie z informacjami o aresztowaniu Karima Masimowa – wszechmocnego szefa służb, a zarazem zaufanego człowieka Nazarbajewa. Masimow nadzorował rozpoczęty w 2019 r. proces zmiany władzy, w którego wyniku Tokajew został prezydentem, a Nazarbajew dożywotnim szefem Rady Bezpieczeństwa.

W nowym rządzie, na którego czele stanął były wicepremier Alichan Smailow, zmiany są za to niewielkie. Wśród zaledwie sześciu nowych ministrów znalazł się, co w Moskwie już dostrzeżono, Askar Umarow (minister informacji), uważany za nacjonalistę i wroga Rosji. Zasłynął on z opublikowania mapy „wielkiego Kazachstanu” obejmującego m.in. Orenburg i inne terytoria rosyjskie.

Tokajew poinformował też, że misja wojskowa ODKB wykonała już swoje zadanie i rozpoczyna przygotowania do ewakuacji. Nie potwierdziły się więc obawy, że Rosjanie zostaną w Kazachstanie na stałe. Jednak za udzielone poparcie Tokajew będzie musiał Kremlowi zapłacić, chyba że dążąc do wzmocnienia swojej pozycji wewnętrznej, postawi on na dość popularną w Kazachstanie politykę nacjonalistyczną o antychińskim i antyrosyjskim ostrzu.

Marek Budzisz

To koniec sportu

Pływaczka Lia Thomas z Uniwersytetu Pensylwanii wygrała kobiece zawody pływackie Yale/Dartmouth na dystansie 200 i 500 jardów w stylu dowolnym. Co w tym ciekawego? Otóż Thomas jest transseksualistą, który jeszcze trzy lata temu był mężczyzną. Pikanterii tej historii dodaje fakt, że drugie miejsce w tych zawodach zajął (zajęła?) Isaac Henig, który jest w trakcie przemiany z kobiety w mężczyznę.

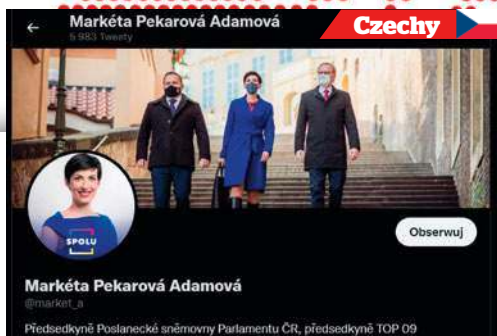
Henig przekonywała w czerwcu zeszłego roku na łamach „The New York Timesa”, że choć usunęła piersi (co również ma wpływ na szybkość i jakość pływania), to przerwała hormonalną terapię, aby nadal móc startować w zawodach z kobietami. „Jako transseksualny sportowiec postawiłem się w trudnej sytuacji. Mogłem rozpocząć terapię hormonalną, która przyspieszyłaby moją przemianę, albo poczekać, aby móc dalej walczyć w zespole kobiecym. Wybrałem to drugie” – stwierdził Henig.

Inaczej sprawa wygląda z Lią Thomas. Dyskusja wokół niej wybuchła miesiąc temu, gdy pływaczka (pływak?) z łatwością wygrała zawody Zippy Invitational Event w Ohio, docierając na metę 38 s przed drugą w kolejności Anną Sofią Kalandaze. Tak duża przewaga wzbudziła liczne protesty. Zwracano uwagę, że Thomas przez całe życie trenowała jak mężczyźni i ma mięśnie ukształtowane na ciężkich treningach. Warunkiem dopuszczenia do zawodów było wprawdzie zakończenie terapii hamującej wydzielanie testosteronu, jednak budowa ciała i mięśni z okresu treningu dla mężczyzn nie ma związku z obecnym poziomem testosteronu i musi korzystnie wpływać na wyniki osiągane w zawodach, gdy przeciwniczkami są słabiej zbudowane kobiety. Coraz częściej podkreślają to

zresztą środowiska kobiece, zwracając uwagę, że mężczyźni uważający się za kobiety bardzo łatwo wygrywają zawody kobiece, czym pozbawiają swoje rywalki możliwości stypendiów i dalszej kariery. Fox News cytuje jednego z rodziców, którzy po zawodach głośno domagali się zmian w przepisach dopuszczających zawodników. „Wszystko jest zupełnie pokręcone. Oni muszą dopuścić argumenty naukowe do dyskusji” – mówił zdenerwowany rodzic dziewczyny, która przegrała zawody z biologicznym mężczyzną.

Start transseksualistów w kobiecych dyscyplinach, w których zawsze będą mieli przewagę nad rywalkami, rzeczywiście trudno uznać za uczciwą rywalizację. Na naszych oczach ideologia zabija sport.

Łukasz Adamski



Zgrzyt Pragi z Budapesztem

38-letnia Markéta Pekarová Adamová wyrasta na jedną z najważniejszych postaci czeskiej polityki. Trzy lata temu stanęła na czele centroprawicowej partii TOP 09, a po niedawnych wyborach parlamentarnych została przewodniczącą Izby Poselskiej. Po ostatnich krwawych wydarzeniach w Kazachstanie napisała na Twitterze: „Viktor Orbán poparł dziś de facto strzelanie do obywateli Kazachstanu i wkroczenie armii rosyjskiej”.

Wpis czeskiej polityk jest fake newsem. W rzeczywistości premier Węgier nigdy nie popierał ani strzelania do demonstrantów, ani wkroczenia wojsk rosyjskich do Kazachstanu. Rozmawiał jedynie przez telefon z prezydentem Kasymem-Zomartem Tokajewem i złożył kondolencje z powodu śmierci demonstrantów. Podobnie postąpił zresztą przewodniczący Rady Europejskiej Charles Michel, który sam napisał: „Rozmawiałem z prezydentem Tokajewem o najnowszych wydarzeniach w Kazachstanie. Złożyłem kondolencje z powodu ofiar śmiertelnych w czasie, gdy cały Kazachstan pogrąża się w żałobie. Podkreśliłem znaczenie partnerstwa Unii z Kazachstanem oraz promowania suwerenności, bezpieczeństwa i stabilności, przy pełnym poszanowaniu praw człowieka i podstawowych wolności”.

Charles Michel oczywiście nie usłyszał krytyki ze strony Pekarovej Adamovej, która wkrótce potem zamieściła nowy wpis na Twitterze: „Dla Czech jest ważne, aby Węgry wybrały zmianę w kwietniowych wyborach, tak jak i my. To ważne, że w państwach członkowskich Unii Europejskiej są rządy, które szanują zasady demokratyczne”.

W ten sposób osoba nr 2 w czeskim państwie poparła lewicowo-liberalną opozycję, która w kwietniu w wyborach parlamentarnych zmierzy się z Fideszem. Można powiedzieć, że jest to zemsta na Viktorze Orbanie, który przed ostatnimi wyborami w Czechach poparł z kolei premiera Andreja Babiša przeciw centroprawicowej koalicji, w której była również Pekarová Adamová. Czas pokaże, czy ta konfrontacja się przełoży na przyszłą współpracę obu rządów w ramach Grupy Wyszehradzkiej i na forum unijnym.

Grzegorz Górny

Bratnia pomoc

Mali

Na początku stycznia władze Mali potwierdziły, że na terytorium tego saharyjskiego państwa wylądowali pierwsi żołnierze rosyjscy, którzy oficjalnie mają tam pełnić funkcję instruktorów wojskowych. Licząca co najmniej 400 osób grupa żołnierzy z Rosji rozlokowała się w historycznym mieście Timbuktu, w bazie opuszczonej niedawno przez wojska francuskie. Rosyjscy „doradcy wojskowi” dołączyli tym samym do swoich pobratymców z Grupy Wagnera, którzy pojawili się w Mali już na jesieni zeszłego roku.

Rosjan ściąga do Mali tamtejsza junta wojskowa. Oficjalnie mają oni pomóc oddziałom rządowym w walce z dżihadystami kontrolującymi północną część kraju. W rzeczywistości jednak – jak się spekuluje – zadaniem Rosjan, w tym zwłaszcza najemników z Grupy Wagnera, będzie nie tyle walka z dżihadystami, ile rozprawa z przeciwnikami malijskiej junty. W raportach organizacji obrony praw człowieka można znaleźć wiele przykładów zbrodni popełnianych przez wagnerowców w Afryce, Syrii i w Donbasie. Pod koniec zeszłego roku Unia Europejska nałożyła sankcje na Grupę Wagnera, a 15 państw (14 europejskich plus Kanada) potępiło zatrudnienie przez władze Mali rosyjskich najemników.

Warto tu przypomnieć, że wagnerowcy nie są zwykłą grupą płatnych zabijaków. W zamian za swoje „usługi” domagają się zwykle kontroli nad naturalnymi bogactwami kraju, który ich wynajął (w Republice Środkowoafrykańskiej czerpią dochody z wydobywania diamentów, w Syrii – z ropy naftowej). Zyski trafiają do Rosji, a ich dystrybutorem jest – jak się uważa – Jewgienij Prigożyn, biznesmen ściśle związany z Kreml i nazywany powszechnie kucharzem Putina, bo działał i częściowo nadal działa w branży gastronomicznej i cateringowej.

Wagnerowcy odgrywają też rolę awangardy wpływów Kremla w różnych zakątkach świata. Jest to politycznie bardzo wygodne dla władz w Moskwie, bo Grupa Wagnera jest prywatną firmą, która nawet nie jest zarejestrowana w Rosji. Dzięki wagnerowcom Moskwa stopniowo odbudowuje swoją pozycję w Afryce, gdzie wobec słabości państw zachodnich coraz więcej do powiedzenia mają Chiny, Turcja i właśnie Rosja.

W Mali rosyjska obecność wojskowa wiąże się z redukcją sił francuskich, które od kilku lat pomagały władzom w Bamako powstrzymać islamistyczną rebelię. Stosunki między Francją i jej dawną kolonią pogorszyły się po zamachu stanu, który w 2020 r. wyniósł do władzy obecną juntę wojskową. Junta odwołała zapowiedziane na luty tego roku wybory, co wywołało sprzeciw Paryża i doprowadziło do nałożenia przez państwa ECOWAS (Wspólnoty Gospodarczej Państw Afryki Zachodniej) sankcji na malijski reżim. Junta zwróciła się więc o pomoc do Rosji, a Moskwa skwapliwie skorzystała z okazji.

Konrad Kołodziejski



I ŚMIESZNO, I STRASZNO

Dzieją się dzieje



**Jan
Pietrzak**

Przyznaję, że z początkiem nowego roku jakoś nie-
zbyt uważnie śledzę codzienne nowinki. Głównie za
sprawą prezentu od św. Mikołaja, piątego tomu „Dzie-
jów Polski” Andrzeja Nowaka. To jest ta sama Polska, którą
znam osobiście od 85 lat, lecz kilka tomów wcześniejsza. No
i znacznie ciekawiej opisana, toteż wciągnąłem się w lekturę,
toutes proportions gardées, jak w serial Netflixa. Ubolewam,
że nie zdążę przeczytać tomu dotyczącego obecnych lat, lecz
nie wątpię, że profesor go napisze. Nasz narodowy dziejopis
jest młodym człowiekiem. Kiedy szedł do pierwszej klasy, śpie-
wał w Opolu „Za trzydzieści parę lat, jak dobrze pójdzie”.

Wśród wielu przymiotów uczzonego szczególnie docenić na-
leży umiejętność odkrywania prawdy w zagmatwanej materii
czasu przeszłego, dokonanego. Żyjemy w epoce szalejącego
kłamstwa. Media oplatające świat nie mają żadnych skrupułów
w szerzeniu dezinformacji. Coraz bardziej wykołowane ide-
ologie demolują świadomość społeczeństw. Cybernetyczno-
informatyczna technologia zarządzana przez globalne kor-
poracje ma większy wpływ na ludzkość niż odwieczne zasady
i sprawdzone przez pokolenia obyczaje.

Od wczesnego średniowiecza kształ-
towaniem i kultywowaniem zbiorowej
mądrości zajmowały się uniwersytety
i katedry. Im zawdzięczamy europej-
ską cywilizację, potocznie określaną
jako syntezę greckiej filozofii, prawa
rzymskiego i chrześcijaństwa. Komu
zawdzięczamy obecny zamęt pojęciowy, destrukcję kulturową,
mniej więcej wiadomo. Ale my, Polacy, musimy to wiedzieć
dokładnie, by przetrwać kolejną falę agresji nieznanych są-
siadów. A także, dodajmy z przykrością, ich nadwiślańskich
agentów. Najchętniej stosowany od wieków przez Rosjan
i Niemców rodzaj oręża to polscy zdrajcy. Prosta w obsłudze
broń biologiczna, opłacana srebrnikami, jednak per saldo dla
najeźdźców opłacalna...

Patrzcie państwo, jak szybko od historii przeskoczyłem
do teraźniejszości. Właśnie minister Czarnek wprowadził
do szkół taki przedmiot: historia i teraźniejszość. Bardzo po-
trzebny. Lekturą obowiązkową powinny być „Dzieje Polski”
prof. Andrzeja Nowaka.



**Dominik
Zdort**

PRAWDA NIGDY NIE LEŻY POŚRODKU

Lekarze zza granic

Gdański Uniwersytet Me-
dyczny miał w swojej klinice
kłopot z częścią chorych.
Wielu z nich – korzystając z praw pa-
cjenta – odmawiało poddania się ba-
daniom, które mieli przeprowadzać

niektórzy studenci uczelni. Badań więc nie wykonywano – ze
szkodą dla samych chorych.

Po analizie władze uniwersytetu zorientowały się, o jaką
grupę studentów chodzi. Otóż polscy pacjenci nie chcieli, aby
badali ich cudzoziemscy studenci – jak się można domyślać, byli
to ci, po których tę cudzoziemskość widać na pierwszy rzut oka:
może czarni, może śniadzi lub żółci. Chorzy reagowali nerwowo,
a kolorowym studentom było przykro. Władze uczelni posta-
nowiły więc uwrażliwić pacjentów na tę sytuację i na telebimie
umieściły informację, że jeśli ktoś nie chce być badany przez
studenta obcokrajowca, powinien oznajmić to z szacunkiem.

Ktoś mógłby powiedzieć: piękny przykład empatii i posza-
nowania dla odmienności. Ktoś inny – jak najważniejsza polska
gazeta – może dojść do wniosku, że apel o szacunek dla koloro-
wych, to dyskryminacja i rasizm. Nie żartuję – takie argumenty
padły w tekście.

Tropiciele antysemityzmu twierdzą, że każdy antysemita ma
swojego Żyda i przywołuje swoją przyjaźń z nim, gdy zarzuca mu
się nieodpowiedni stosunek do narodu wybranego. Gdyby mnie
więc ktoś podejrzewał o rasizm, to przywołał swojego Tybetań-
czyka – lekarza, który opiekuje się mną od paru lat. Na pierwszy
rzut oka widać, że to „obcy”. Choć od wielu lat mieszka w Polsce,
studiował tu medycynę, ożenił się z Polką, to w każdym jego wypo-
wiedzanym słowie słychać, że nie jest stąd. Ale od pierwszej wizyty
u niego poczułem zaufanie, korzystałem z jego wiedzy i fachowości.

Zastrzegam jednak, że jak każdy normalny człowiek mam
pewne granice akceptacji dla odmienności: gdybym się dowie-
dział, że badać mnie będzie lekarz gej, to wyszedłbym z gabinetu.
Uważam, że należy unikać niepotrzebnego ryzyka.

Rozumiem więc, że ktoś może nie mieć do cudzoziemca zaufa-
nia. I wolalbym, aby taki nieufny został przebadany przez Polaka,
jeśli wyrazi taką wolę, niż żeby wrócił do domu z kwitkiem albo
roznosił po mieście zarazki. Używanie argumentu rasizmu, gdy
w grę wchodzi obawa i niepokój ludzi chorych, często starszych,
uważam za nieludzkie. Jeśli ktoś uważa, że politpoprawność jest
ważniejsza niż życie i zdrowie człowieka, to powinien zrobić
poważny rachunek sumienia.

Autor jest szefem portalu tygodnik.tvp.pl

BRONISŁAW WILDSTEIN

Zlecenie na księdza

Tango down” – tym określeniem, oznaczającym w slangu NATO likwidację wrogiego celu, Janusz Schwertner skomentował na Twitterze rezygnację ks. Jacka Stryczka z funkcji prezesa założonego przez siebie charytatywnego Stowarzyszenia Wiosna, znanego głównie z inicjatywy Szlachetna Paczka. Ks. Stryczek złożył dymisję dzień po opublikowanym w Onecie artykule Schwertnera, który oskarżył go o mobbing, czyli znęcanie się nad swoimi pracownikami.

Uważniejszy czytelnik tego niezwykle długiego tekstu mógłby być zdziwiony. 21 anonimowych i 4 podpisanych relacji nie odwołuje się do żadnych konkretnych faktów. To niezwykle egzaltowane opisy frustracji pracowników, którzy mieli przeżywać głębokie stresy w konsekwencji presji, jaką wywierał na nich szef. Dowiadywaliśmy się, że praca w Wiosnie to płacz, omdlenia, wizyty u terapeutów i psychiatrów, ale powodów mogliśmy się wyłącznie domyślać. Również wysuwane w tekście zarzuty o poniżanie kobiet nie odwoływały się do żadnych faktów, towarzyszyły im za to komentarze w rodzaju „testowana z pasją technika mobbingowa”.

Artykuł Schwertnera uruchomił lawinę potępień i oskarżeń wobec księdza. Konkretne nadal się nie pojawiły, ale nagonka przerodziła się w medialny lincz. Kilka publikacji usiłowało się temu przeciwstawić. Artykuł Piotra Legutki w „Gościu Niedzielnym” wskazywał na stronniczość tekstu Schwertnera i brak podstaw do osądzenia ks. Stryczka, ale jak wszystkie głosy sprzeciwu został pominięty milczeniem przez medialną sferę.

Na podstawie publikacji Onetu do Państwowej Inspekcji Pracy zgłosiła skargę o łamanie prawa pracy posłanka Joanna Scheuring-Wielgus, specjalistka od kościelnych „przestępstw”, która m.in. lansowała oszusta Marka Lisińskiego, występującego w roli ofiary księżowskiej pedofilii. Partia Razem złożyła doniesienie w prokuraturze.

Wprawdzie PIP nie stwierdziła żadnych uchybień, prywatnie jej inspektorzy mówili o wysokich standardach w przedsięwzięciu ks. Stryczka, a prokuratura nie dopatrzyła się żadnego w nim przestępstwa, ale nie zmieniło to niczego w jego propagowanym powszechnie wizerunku. „Wyborcza” nadal domagała się procesu. A Schwertner był nagradzany i adorowany za zniszczenie księdza filantropa.

Ostatnio sprawą zajął się krakowski „Dziennik Polski”. Nie tylko wskazał bezpodstawność zarzutów wobec ks. Stryczka, ale odsłonił kulisy sprawy. Okazało się, że główni oskarżyciele założyciela Wiosny wcześniej byli oskarżani przez pracowników o mobbing. Zarzuty te ciążyły zwłaszcza na kluczowym



świadku Schwertnera, Łukaszu Miszonie, który jak wszystko wskazuje, z tego powodu został zwolniony ze stanowiska dyrektora stowarzyszenia. Schwertner, który wiedział o sprawie, pominął ją milczeniem. Cała akcja przeciwko twórcy Wiosny wygląda na wrogie przejęcie jego przedsięwzięcia.

Bezpośrednio po dymisji ks. Stryczka rozpoczyna się bezpardonowa walka wspieranych przez media nowych udziałowców Wiosny z dawną ekipą związaną z jej twórcą. Nowa prezes udziela obszernego wywiadu „GW”, w którym go potępia. Wprawdzie zostaje odwołana, ale nowa ekipa wbrew prawu uniemożliwia działanie kolejnemu prezesowi, a odwołana znowu wraca na stanowisko. Wiosna i Szlachetna Paczka podupadają, rosną natomiast place zarządu i pracowników.

W operacji szczególną rolę odgrywa mecenas Grzegorz Abram, pracujący wówczas dla kancelarii adwokackiej Clifford Chance. Zatrudniona jest w niej także jego żona, Sylwia Gregorczyk-Abram, działaczka lewicowa, inicjatorka #WolnychSądów, których celem jest blokada reformy wymiaru sprawiedliwości w Polsce. Clifford Chance jest jedną z największych firm prawniczych na świecie i deklaruje, że „prowadzi grupy LGBT do zwycięstwa w Polsce”.

Mniej więcej w tym samym czasie co sprawa ks. Stryczka wszedł na polskie ekrany film Wojciecha Smarzowskiego „Kler”, który pokazuje Kościół jako mafię opętanych żądzą zysku degeneratów. Nie znaczy to, że przedsięwzięcia były ze sobą koordynowane, ale odsłania strategię establishmentu III RP, który robi wszystko, aby uderzyć w autorytet Kościoła. I w tym jest spadkobiercą PRL. W tej kwestii zresztą kontynuatorem komunistycznej tradycji są dominujące zachodnie elity, które Kościół katolicki traktują jako swojego głównego wroga, a walkę z nim uznają za swój ideologiczny obowiązek.

W stosunku do księdza nie obowiązuje domniemanie niewinności, ale winy. Konsekwentne niszczenie ks. Stryczka, który stworzył jedną z najprężniej rozwijających się inicjatyw charytatywnych w Polsce, demonstruje to w całej rozciągłości. Dowodzi także, jak bardzo „wolne media” zaprzeczają etosowi, do którego się odwołują. To ideologiczne szczytnie, które służą niszczeniu politycznych i ideologicznych przeciwników, a w działaniu tym nie liczą się z żadnymi normami ani standardami. To za osiągnięcia w tej dziedzinie wynagradzani są ich funkcjonariusze.



Walizka Janusza Rosikon

fotografia

Podróżuję zwykle po to, by fotografować, i – szczerze mówiąc – nie przypominam sobie wyjazdu czysto wypoczynkowego. Duża liczba podróży wynika z faktu, iż „dotknięcie” tego, o czym chcę opowiedzieć w książce, jest dla mnie niezwykle istotne. Dlatego zrobienie z Grzegorzem Górnym serii książek „Świadkowie Tajemnicy”, „Szlaku nadziei” z Normanem Daviesem czy „Madonn Europy” wymagało dotarcia do wielu miejsc zarówno w Europie, jak i w Azji czy w obu Amerykach. Stąd podróż wpisuje się w moje życie w sposób niezwykle znaczący.

RÓŻANIEC

Zawsze staram się go mieć z sobą. Wykonany z drewna, dzięki czemu nie piszczy na przejściach przez bramki na lotniskach. Ten pochodzi z Kahlenbergu pod Wiedniem, ale mam różańce także z Jerozolimy, Fatimy i innych świętych miejsc.



FIGURKI MATKI BOŻEJ

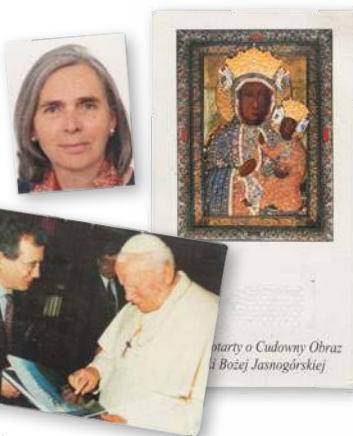
Gdy natrafiam na figurkę, która mnie urzeka uśmiechem czy formą, to z miejsca kupuję. Ich zacna kolekcja z całego świata stoi i czuwa nade mną w moim gabinecie. Te pochodzą z Medjugorje i Guadalupe.

ZDJĘCIA

Trzy fotografie, które zajmują stałe miejsce w moim portfelu.

Pierwsze zdjęcie to fotografia mojej żony – wspaniałej partnerki życiowej. Na drugim zdjęciu jest obraz Matki Boskiej Częstochowskiej.

Książka poświęcona Jasnej Górze, która jest mi szczególnie bliska, była moim debiutem fotograficznym. Tam zresztą mam do tej pory wielu przyjaciół. Trzecie zdjęcie ukazuje moment mojego spotkania ze świętym Janem Pawłem II, któremu prezentowałem projekt „Madonny Europy”.





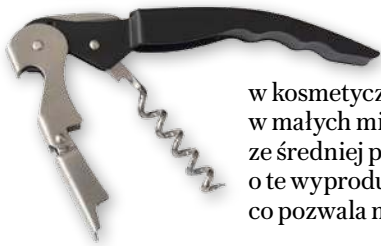
„PAS SZAHIDA”

Zawsze problemem jest poręczność torby fotoreporterskiej. Przez lata nosiłem torbę na jednym ramieniu, co zresztą odbiło się na moim kręgosłupie. Po rekonwalescencji zacząłem nosić wszystko w plecaku. Ale żeby zmienić obiektyw, trzeba go zdjąć, co jest dosyć problematyczne. Dlatego, gdy ujrzałem ten pas z wielkimi kieszeniami – w których mieści się praktycznie wszystko, co jest mi potrzebne – natychmiast nabyłem go z wielką radością.



OTWIERACZ

Trzymam go zawsze w kosmetyczce. Będąc za granicą, w małych miejscowościach kupuję wino ze średniej półki cenowej. Zawsze proszę o te wyprodukowane w tym regionie, co pozwala mi poznać gust lokalnych.



SCYZORYK

Ten jest niezwykle ostry, bo jak kupować, to kupować dobrej firmy. Choćby po to, żeby obrać jabłko czy przeciąć kartkę. Doświadczenie pokazuje, że scyzoryk zawsze się przydaje.



LEKTURA

Zwykle staram się wziąć z sobą książkę do poczytania chociażby w samolocie czy w hotelu, gdy człowiek nie jest zbyt zmęczony podróżą. Jest to jedyna okazja, bo kiedy jestem w domu, czasu na czytanie nie mam zbyt wiele.



SPRZĘT FOTOGRAFICZNY

Przez wiele lat używałem Nikona, ale w pewnym momencie pojawił się znacznie lepszy bezlusterkowy Sony o znakomitej jakości zdjęć. Ten aparat bardzo dobrze mi służy, choć sentyment do Nikona pozostał. Dużego obiektywu używam już rzadziej, ale przydał się, gdy fotografowałem papieża Franciszka przy kolumnie Niepokalanego Poczęcia czy podczas obchodów Wielkiego Czwartku w Rzymie. Nowym trendem są statywy karbonowe, znacznie lżejsze od metalowych. Najnowszy mój nabytek, poza tym, że jest stabilny, wysoki i lekki jak piórko, to mieści się w każdej walizce. Ponieważ w wielu miejscach trzeba coś doświetlać, zawsze staram się mieć z sobą dwie lampy błyskowe i oświetlenie ledowe.



PUBLIKACJE

Z Grzegorzem Górnym od ponad dziesięciu lat pracujemy nad serią książek, które ukazują styk nauki i wiary. Po to, żeby te pozycje mogły się ukazać, wszędzie podróżujemy razem. Grzegorz, tak jak ja, musi „dotknąć”, pojawić się w danym miejscu, przeprowadzić osobiście rozmowy z duchownymi i naukowcami. Seria już liczy dziewięć książek przetłumaczonych na ponad dziesięć języków, bo znajdują one czytelników na całym świecie.



IDENTYFIKATORY PRASOWE

W wielu miejscach trzeba się akredytować. Jestem w Stowarzyszeniu Dziennikarzy Polskich od lat 60. i zawsze mam z sobą międzynarodową legitymację prasową. Ten dokument otwiera drzwi na uroczystości, na które bez „zawieszki” trudno się dostać, a przy robieniu zdjęć bardzo ułatwia pracę.



STATUETKI

Owocem wręcz benedyktyńskiej pracy wydawnictwa rosikonpress.com są nie tylko wywiady w różnych stacjach telewizyjnych i radiowych, lecz także nagrody. Stowarzyszenie Wydawnictw Katolickich doceniło pracę zarówno wydawcy, fotografa, jak i autora tekstów.



Wysłuchał i zapisał Michał Korsun

OGNIEM NA WPROST

Wspólny wróg jednoczy



Brakuje mieszkań w Niderlandach. Są za to puste sklepy np. centrum handlowe w dzielnicy Hoogvliet w Rotterdamie. Po gruntownym remoncie była galeria oferuje teraz 47 nowych mieszkań na wynajem. Holendrzy zwalają wszystko na ludzi starszych, którzy ich zdaniem niechętnie przeprowadzają się do mniejszych mieszkań. I trudno im się dziwić. Zdziwienie natomiast budzi co innego. Mimo tak trudnej sytuacji na rynku mieszkaniowym rząd w Amsterdamie zmuszał niektóre gminy do przyjęcia na swoim terenie uchodźców, choć zdaniem sekretarza stanu ds. bezpieczeństwa Ankie Broekers-Knol „nie miał od tego podstaw prawnych”. Holandia od miesięcy boryka się z brakiem miejsc dla imigrantów. Schroniska są przepełnione. 2 tys. imigrantów nie ma praktycznie gdzie zmrznąć oka. Zdarzało się, że azylanci musieli nocować na krzesłach i leżakach. Dochodziło do zamieszek. W obecnym roku ma być jeszcze gorzej. Niderlandy spodziewają się bowiem kłopotów z zakwaterowaniem dla dodatkowych 13 tys. uchodźców. Rozwiązanie jest wbrew pozorom banalnie proste. Starych i bezproduktywnych na bruk, a ich mieszkania rozdać młodym i cudzoziemcom. To przecież w dzisiejszym europejskim stylu.

Zagrozenie ze strony Kremla ma także, o dziwo, i swoje dobre strony. Historia w stosunkach polsko-litewskich się powtarza, tylko zamiast Krzyżaków mamy dzisiaj putinowską Rosję. W ostatnim czasie nastawienie społeczeństwa litewskiego do Polski wyraźnie się zmieniło, a odsetek Litwinów darzących Polaków nieufnością w zauważalny sposób spadł. To niewątpliwie jeden z efektów tradycyjnej polityki

Moskwy. Po raz pierwszy w ponad 30-letniej historii niepodległości litewskiego państwa istnieje realna szansa na to, by mniejszość polska w tym kraju uzyskała prawo pisowni polskich nazwisk. W tym tygodniu czeka nas decydujące głosowanie w tej sprawie w litewskim parlamencie. Projekt uzyskał poparcie większości w litewskim parlamencie. Mówiąc krótko – wspólny wróg jednoczy i basta.

Zostańmy jeszcze na Litwie. Otóż tamtejsze Ministerstwo Obrony zawarło ze szwedzkim koncernem Saab umowę na zakup nowej generacji wyrzutni przeciwpancernych Carl Gustaf M4 wraz z amunicją. Pierwsze zamówienie opiewa na około 6,14 mln euro. W ten sposób Wilno przystąpiło do tego samego systemu, w którym wyrzutnie Carl Gustaf M4 wraz z amunicją pozyskiwane są przez Szwecję, Łotwę i Estonię. Litwa, jak podaje portal defence24.pl, jest użytkownikiem systemu Carl Gustaf od połowy lat 90., a teraz zdecydowała się na jego nowy wariant. Carl Gustaf M4 jako najnowsza wersja rodziny przenośnych wielozadaniowych granatników przeciwpancernych zapewnia wyższy współczynnik celności, ma lżejszą konstrukcję, jest także kompatybilny z inteligentnymi systemami celowniczymi i innymi nowoczesnymi rozwiązaniami technologicznymi, takimi jak amunicja programowalna. Widać Wilno potrafi stanąć na wysokości zadania na tyle, na ile pozwalają mu na to środki.

Mjr Aleksander Tarnawski ps. Uplaz to człowiek bardzo odważny, a przy tym bardzo skromny. Nigdy nie zabiegał o wyróż-

nienia i awanse. Dopiero po ponad 60 latach otrzymał awans na kolejny stopień wojskowy (kapitana – 2015 r., majora – 2018 r.), choć wojnę ukończył w stopniu podporucznika. Nie lubi o sobie opowiadać, jednak często powtarza, że w życiu ważne są pasja, uczciwość, praca i nieuleganie ideologiom. Jest jednym z 316, którzy skoczyli na spadochronie do okupowanej Polski. Ostatnim z żyjących cichociemnych. 7 września 2014 r. ponownie skoczył ze spadochronem, tym razem z byłymi i obecnymi żołnierzami GROM, którzy są jako jednostka spadohiercami cichociemnych. Miał wówczas prawie 94 lata. Dla żołnierzy GROM jest nie tylko przyjacielem, lecz i wzorem siły i odwagi, wciąż wzbudzającym szacunek i podziw. Do maja 1943 r. Aleksander Tarnawski służył w Wielkiej Brytanii w 1. Pułku Pancernym 1. Dywizji Pancernej. Zgłosił się do służby w kraju. Przeszedł szkolenie w dywersji. Cztery miesiące później został zaprzysiężony w Oddziale VI Sztabu Naczelnego Wodza w Chicheley. Skierowano go na staż w oddziałach brytyjskich. Potem trafił do Sekcji Dyspozycyjnej Sztabu Naczelnego Wodza. 1 marca 1944 r. został mianowany podporucznikiem ze starszeństwem. Skok do Polski wykonał z 16 na 17 kwietnia 1944 r. w ramach operacji „Weller 12”. Przydział otrzymał do 3. kompanii VII batalionu 77. Pułku Piechoty AK por. „Lwa” (Jana Wasiewicza). Po agresji Sowiec i operacji „Ostra Brama” przebywał w grupie ppłk. Janusza Szlaskiego, przedostał się do Grodna, a potem przez Białystok i Lublin dotarł do Otwocka, pozostając w dyspozycji ppłk. Szlaskiego. Został czterokrotnie odznaczony Krzyżem Walecznych i Srebrnym Krzyżem Zasługi. Właśnie skończył 101 lat. Czegoż to można życzyć weteranowi, skoro i sława, i zdrowie dopisują? Tylko żołnierskiego szczęścia i następnej setki, Panie Majorze!

Andrzej Rafał Potocki

Ferie szlakiem dawnego pejzażu Polski

11 listopada 2021 r. na terenie Muzeum Józefa Piłsudskiego w Sulejówku otwarto dla zwiedzających dworek Milusin, w którym od 1923 r. zamieszkiwał marszałek Józef Piłsudski wraz ze swoją rodziną. Wnętrza tego odrestaurowanego z pietyzmem domu zostały wyposażone w międzywojenne meble, a na ścianach wiszą obrazy należące do rodziny Piłsudskich. Ogród otaczający dworek został przywrócony do stanu sprzed wieku i poza bujną przyrodą tak jak niegdyś można w nim znaleźć urokliwy warzywnik, sad oraz pasiekę. Merytorycznej wiedzy o dokonaniach Józefa Piłsudskiego i jego dziedzictwie można zaczerpnąć, odwiedzając nowoczesny gmach muzeum i kilkukrotnie wyróżnianą prestiżowymi nagrodami wystawę stanowiącą chronologiczną opowieść o Marszałku i epoce, w której żył.

Opowieść o Polsce okresu dwudziestolecia międzywojennego można kontynuować, udając się do płockiego Muzeum Mazowieckiego, w którym na największej ekspozycji w Polsce poświęconej stylowi art déco zgromadzono blisko 2 tys. obiektów z lat 20. i 30. XX w. W ramach ekspozycji „Sztuka dwudziestolecia międzywojennego – art déco” w kamienicy przy ul. Kolegialnej można zobaczyć m.in. mieszkanie polskiej inteligencji lat 30. XX w., a także zwiedzić galerię designu z wyrobami pochodzącymi z polskich hut: Niemen, Zawiercie, Hortensja, Krosno, ceramikę z Cmielowa, Pacykowa, wytwórni śląskich. Nie brakuje także dzieł inspirowanych folklorem i narodowością, których to styl został doceniony na Wystawie Światowej w Paryżu 1925 r. W części poświęconej malarstwu prezentowane są portrety pędzla Zbigniewa Pronaszk, Stanisława Witkacego i Leona Chwistka, portret damy z psem Jana Rudnickiego. Niewątpliwie najcenniejszym obiektem na wystawie jest obraz bijącej ostatnio rekordy popularności na aukcjach Tamary Łempickiej zatytułowany „Martwa natura”. Wystawa poświęcona dwudziestolecu przedstawia nie tylko polskie ekspozyty, lecz także międzynarodowe tło epoki w postaci przedmiotów pochodzących z zagranicy.

W kamienicy przy Tumskiej 8 można się udać w podróż w czasie do wieków XIX i XX. Wystawa „Secesja” na kilku piętrach przedstawia wnętrza eleganckiego mieszkania sprzed 200 lat, rzemiosło artystyczne: szkło, metal, ceramikę oraz malarstwo uznanych zagranicznych twórców i przedstawicieli Młodej Polski, takich jak Malczewski, Wyspiański, Mehoffer, Chelmoński, Weiss, Szymanowski, Laszczka, Ostrowski. Ciekawym eksponatem jest szkic do „Szału uniesień” Podkowińskiego, którego oryginał jest jednym z najsłynniejszych obrazów w Muzeum Narodowym w Krakowie. Wśród wyrobów metalowych można podziwiać prace polskich firm: Frageta, Plewkiewicza, spółki Norblin, Braci Buch i Wernera, Braci Łopieńskich.

Niedaleko Płocka położona jest miejscowość Sierpc, w której od kilkudziesięciu lat znajduje się niezwykle ciekawy skansen wsi polskiej składający się z ponad 70 chat, zabudowań gospodarczych, przemysłowych i obiektów architektury sakralnej



**Marta
Kaczyńska-
Zielińska**

charakterystycznych dla mazowieckiej wsi w okresie od końca XIX w. do połowy XX w. Spacerując po terenie Muzeum Wsi Mazowieckiej w Sierpcu, podobnie jak zwiedzając wnętrza zrekonstruowanych w muzeach mieszkań, można poczuć atmosferę minionej epoki. Wnętrza i mikropejzaże stworzone z zagród, ogrodów, kapliczek i krzyży z żyjącymi tam zwierzętami pozwalają odbyć prawdziwą podróż w czasie, poznać nie tylko materialny, lecz także duchowy wymiar przeszłości. Kilkanaście tysięcy muzealiów ruchomych stanowiących przedmioty codziennego użytku, narzędzia pracy, elementy garderoby i różnego rodzaju ozdoby ukazują codzienność i czas

świąt mieszkańców polskiej wsi. Wystawa „Transport dworski w zbiorach Muzeum Wsi Mazowieckiej w Sierpcu” przedstawia liczne pojazdy konne, uprzęże końskie, a także kufry podróżne.

Urozmaicenie czasu ferii o wizytę we wspomnianych muzeach może być przyczynkiem do fascynującej opowieści o naszej historii, kulturze i tożsamości oraz ciekawym uzupełnieniem zajęć w szkole, pozwalającym lepiej zrozumieć sens starań podejmowanych w celu zachowania naszej zbiorowej pamięci. 

REKLAMA

"Wywiad z człowiekiem"
Paweł Kęska
wtorek, godz. 21.45

"Recepta na zdrowie"
Katarzyna Supeł-Zaboklicka
poniedziałek - piątek,
godz. 10.30



Radio Warszawa 106,2 FM i www.radiowarszawa.com.pl

20122/F

Elegancki Niemiec ośmiela kacapa

Jak to możliwe, że daleki od europejskich standardów morderca Władimir Putin niczym sowiecki żołdacz z brudnymi butami na stole rozdaje karty w Europie? By to zrozumieć, musimy się przyjrzeć temu, jak działa największy sojusznik Rosji na naszym kontynencie, czyli Niemcy, i jaką rolę odgrywają środowiska germanofilskie w Polsce.

„Skąd tyle cierpliwości [Niemiec] dla rządu PiS?” – pyta niemieckiego historyka Petera Olivera Loewa pracownik tygodnika „Newsweek”, należącego do koncernu RASP z niemieckim kapitałem. Jacek Pawlicki być może nawet nie rozumie niestosowności swojego pytania, bo przez lata nauczono go, że do naszego zachodniego sąsiada należy podchodzić na kolanach i jeśli mieć jakiegokolwiek pretensję do Niemiec, to o zbyt delikatne obchodzenie się z Polską. Wywiadowany przez niego Loew w odpowiedzi łaskawie zauważył, że Niemcy nie mogą być zbyt ostrzy wobec Polski, bo „za rok mielibyśmy nad Odrą i Nysą wojnę”.

Jeśli rosyjski szantaż gazowy ma być przedmiotem realnej troski w Europie, a być może nawet początkiem otrzeźwienia, to musimy uczciwie podsumować działania Niemiec, które ośmieliły Putina. Gdyby nie nasz zachodni sąsiad, to wzbudzałaby

odrazę swoimi działaniami na Ukrainie, w Gruzji i Kazachstanie Rosja nigdy nie miałaby takiej pozycji i relacji z Europą.

Słowa Adama Bodnara, który – dukając po niemiecku – porównywał Polaków do oswojonych przez Niemców zwierząt i błagał o zaopiekowanie się, wywołały w Polsce burzę. Co ciekawe, na tym samym spotkaniu padły również inne, szczerze słowa. Niemiecki polityk Dietmar Nietan, który jest skarbnikiem SPD i należy do władz partii, stwierdził, że z Polską „musimy rozmawiać mimo wszystko”, ponieważ „jeżeli od razu doprowadzimy do eskalacji, wstrzymamy wypłaty, nałożymy na Polskę kary finansowe, będzie to zgodne z prawem i byłoby aktem obrony wartości UE, jednak taka twarda polityka byłaby wodą na młyn PiS”. Dalej Nietan zdradził strategię Niemiec, by otwarcie nie ścierać się z naszym krajem, ale „wzmocnić i wspierać Komisję Europejską” przeciwko Polsce. Taka jest rzeczywistość w UE, że zamiast zatrzymać szkodliwe deale niemiecko-rosyjskie, przy wsparciu Niemiec zajmują się grillowaniem Polski. Ku chwale Putina.

Autor jest szefem portalu tvp.info



Samuel Pereira

W skarpetkach do domu numer pięć

Z Justyną Bednarek, autorką książek dla dzieci, rozmawia Jolanta Gajda-Zadworna



Jakie to były tytuły i jakie wyróżnienia?

Za „Zielone piórko Zbigniewa...”, czwartą część serii o skarpetkach, razem z ilustratorem Danielem de La-tourem otrzymałam Nagrodę im. Ferdynanda Wspaniałego. Przyznaje ją organizowany w Krakowie ogólnopolski Festiwal Literatury dla Dzieci.

To było zaskoczenie, bo nieczęsto doceniane są kolejne części cyklu. Potem przyszła następna miła wiadomość – w konkursie Książka Roku 2021 Polskiej Sekcji IBBY odebrałam główną nagrodę za „Dom numer pięć” (Wyd. Literackie, z il. Anny Sędziwy) oraz wyróżnienie za „Maryjki. Opowieści o Matce Boskiej” (Nasza Księgarnia, il. Marianna Oklejak).

Od czasu ukazania się „Niesamowitych przygód dziesięciu skarpetek (czterech prawych i sześciu lewych)” wydała pani ponad 50 tytułów. Imponująca liczba.

Pisałam do szuflady od czasów licealnych: opowiadania, wiersze. Dużo tego było. Brakowało mi jednak odwagi, by wyjść z tym do świata. W 2004 r. ukazały się trzy moje wierszowane opowiadania, jednak książkowy debiut nastąpił dopiero wraz z wydaniem „Skarpetek...” (2015). Ponieważ wcześniej zajmowałam się tłumaczeniem filmów, byłam też redaktorem i praca ze słowem, często pod presją terminów, nie jest dla mnie problemem, mogłam pełnymi garściami czerpać z pomysłów czekających na swój czas. Sporo ich jeszcze mam. I wciąż dochodzą nowe [uśmiech].

Podobno spadł na panią deszcz nagród.

Justyna Bednarek:

To prawda. Pod koniec minionego roku uhonorowano trzy moje książki.



3800

na tyle metrów
wzniosła się chmura
pyłu po wybuchu
wulkanu Wolf na
Galapagos 13 stycznia

164

tyle osób zginęło
w czasie zamieszek
w Kazachstanie

6,6

trzęsienie ziemi o takiej
magnitudzie dotknęło
zachodnie wybrzeże
Cypru 11 stycznia



**Wiedziałem, że strzelałem w ciemno,
ale to była moja ostatnia szansa**

– 57-letni Amerykanin David Bennett, któremu z powodzeniem przeszczepiono serce... świni

**Może pan poseł Sienkiewicz usłyszał,
że jest obniżka VAT również na alkohol
i chciał to uczcić**

– Marcin Horała o chwiejnym kroku posła Platformy w Sejmie

**Rosja jest zawsze
gotowa i robi
wszystko, co leży
w interesie kraju**

– groźba rzecznika
Kremla Dmitrija Pieskowa
na zachodnie sugestie
o nowych sankcjach
na Rosję

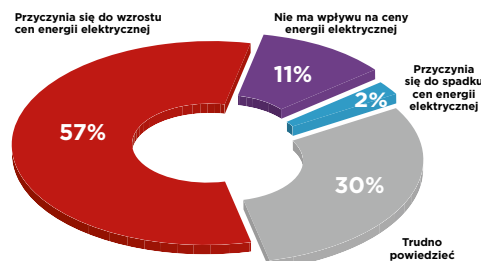
Zebrał Jakub Maciejewski



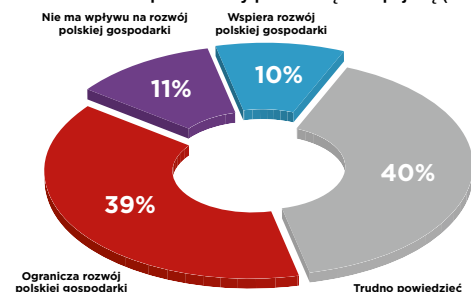
pracownia
Social Changes
dla **wPolityce.pl**

Na które ugrupowanie polityczne oddałaby Pani/oddąłby Pan głos, gdyby wybory do polskiego parlamentu odbywały się w najbliższą niedzielę? (bez niezdecydowanych)

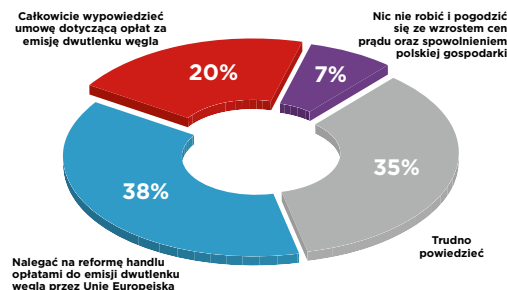
Jaki wpływ na ceny energii elektrycznej w Polsce według Pani/Pana ma system opłat za emisję dwutlenku węgla (ETS) wprowadzony przez Unię Europejską?



Jaki wpływ na rozwój polskiej gospodarki ma według Pani/Pana system opłat za emisję dwutlenku węgla wprowadzony przez Unię Europejską (ETS)?



Co według Pani/Pana powinna zrobić Polska, jeśli system opłat za emisję dwutlenku węgla wprowadzony przez Unię Europejską (ETS) prowadzi do wzrostu cen energii elektrycznej i ogranicza rozwój polskiej gospodarki?



Badania zrealizowane metodą CAWI (Computer Assisted Web Interview) na panelu internetowym. Badania przeprowadzone na ogólnopolskiej, reprezentatywnej (pod względem: płeć, wieku, wielkości miejsca zamieszkania) próbie Polaków. W badaniu wzięło udział N=1071. Zakres czasowy badania 7-10 stycznia 2022 r.

SIECI

ISSN 2544-2694
www.wSIECIprawdy.pl

E-MAIL: REDAKCJA@FRATRIA.PL; TEL.: (22) 616 36 00, (22) 255 93 32; UL. FINLANDZKA 10, 03-903 WARSZAWA

AUTORZY: ŁUKASZ ADAMSKI, GORAN ANDRIJANIĆ, PRZEMYSŁAW BARSCZ, MAREK BUDZIŚ, ADAM CIEŚLSKI, PIOTR CYWINSKI, LESZEK DŁUGOŚ, KRZYSZTOF FEUSEITTE, JOLANTA GAJDA-ZADWORNIA, GRZEGÓRZ GÓRNY, JERZY JACHOWICZ, STANISŁAW JANECKI, MARTA KACZYŃSKA-ZIELIŃSKA, MICHAŁ KARNOWSKI, KONRAD KOŁODZIEJSKI, Cezary KOWALSKI, ANDRZEJ KRAUZE, JAROMIR KWIATKOWSKI, TOMASZ ŁYSIAK,

WYDAWCA: FRATRIA SP. Z O.O.

PREZES: ROMUALD ORZEŁ
UL. LEGIONÓW 126-128,
81-472 GDYNIA

REDAKCJA@FRATRIA.PL, WWW.FRATRIA.PL



DYREKTOR WYDAWNICZY: MACIEJ WOŚKO
PRODUKCJA I DYSTYBUCJA: MARIOLA BARCOKOWSKA,
MARIOLA.BARCOKOWSKA@FRATRIA.PL

DYREKTOR ARTYSTYCZNY:
MICHAŁ KORSUN, MICHAŁ.KORSUN@FRATRIA.PL

STUDIO GRAFICZNE: ANDRZEJ SKWARCZYŃSKI (KIEROWNIK),
ANDRZEJ.SKWARCZYŃSKI@FRATRIA.PL
LIDIA SŁOWIKOWSKA-SMOŁIŃSKA, KATARZYNA ŁASKOWSKA
PROJEKT GRAFICZNY: MICHAŁ KORSUN
FOTODYDZIA: ANNA ŁABĘCKA, ANIA ŁABĘCKA@FRATRIA.PL,
OBROBKA ZDJĘĆ: TOMASZ KIERAS

PRENUMERATA WYDANIA PAPIEROWEGO:
TEL. (22) 616 36 00, (22) 255 93 32; PRENUMERATA@FRATRIA.PL
REGULAMIN ORAZ WARUNKI PRENUMERATY NA STRONIE
WWW.WSIECI.PRAWDY.PL

WPLAT ZA PRENUMERATĘ PROSIMY DOKONYWAĆ NA KONTO:
91 1240 5354 1111 0010 7713 6290
FRATRIA SP. Z O.O., UL. LEGIONÓW 126-128, 81-472 GDYNIA,
W TYTULE WPLATY WPISUJĄC PEŁNE DANE ADRESOWE DO
WYSYŁKI ORAZ RODZAJ PRENUMERATY

PRENUMERATA REALIZOWANA PRZECZ RUCH S.A.:
ZAMÓWIENIA NA PRENUMERATĘ W WERSJI PAPIEROWEJ I NA
E-WYDANIA MOŻNA SKŁADAĆ BEZPOŚREDNIO NA STRONIE
WWW.PRENUMERATA.RUCH.COM.PL

REDAKTOR NACZELNY: JACEK KARNOWSKI

ZASTĘPCY REDAKTORA NACZELNEGO: DOROTA ŁOSIEWICZ,
TOMASZ OZDOWY, MAREK PYZA, MARCIN WIKŁO

JAKUB MACIEJEWSKI, RYSZARD MAKOWSKI, MAJA NARBUTT,
MARZENA NYKIEL, MACIEJ PAWLICKI, JAN PIETRZAK,
JAN POSPIESZALSKI, ANDRZEJ RAFAŁ POTOCKI, WOJCIECH
RESZCZYŃSKI, JAN ROKITA, ALEKSANDRA RYBIŃSKA,
PRZEMYSŁAW SKRZYDELSKI, WOJCIECH STANISŁAWSKI,
WIKTOR ŚWIELIK, BRONISŁAW WILDSTEIN, PIOTR ZAREMBA,
DOMINIK ZDORT, ANDRZEJ ZYBERTOWICZ

EWTUALNE PYTANIA PROSIMY KIEROWAĆ NA ADRES E-MAIL:
PRENUMERATA@RUCH.COM.PL LUB KONTAKTUJĄC SIĘ
Z CENTRUM OBSŁUGI KLIENTA „RUCH” POD NUMERAMI:
22 693 70 00 LUB 801 800 803 – CZYNNE W DNI ROBOCZE
W GODZINACH 7⁰⁰ – 17⁰⁰.

KOSZT POŁĄCZENIA WG TARYFY OPERATORA.

DRUK: WALSTEAD KRAKÓW SP. Z O.O.

DYREKTOR DS. ROZWOJU BIZNESU:
KATARZYNA MARCHEWKA – KATARZYNA.MARCHEWKA@FRATRIA.PL

BIURO REKLAMY:
REKLAMA@FRATRIA.PL, TEL. (22) 463 49 93
PAULINA KAKOL – PAULINA.KAKOL@FRATRIA.PL
AGNIESZKA WOŹNIAK – AGNIESZKA.WOZNIAK@FRATRIA.PL
MARCIN DĄBROWSKI – MARCIN.DABROWSKI@FRATRIA.PL

KOLPORTAŻ: KOLPORTAZ@FRATRIA.PL

REDAKCJA ZASTRZEGA SOBIE PRAWO DO REDAGOWANIA
I SKRACANIA TEKSTÓW. COPYRIGHT © FRATRIA SP. Z O.O.
WSZYSTKIE PRAWA ZASTRZEŻONE
(WŁĄCZNIE Z TŁUMACZENIEM NA JĘZYKI OBCE).
REDAKCJA NIE ZWRACA MATERIAŁÓW NIEZAMÓWIONYCH.
OGŁOSZENIA I REKLAMY NIE STANOWIĄ MATERIAŁU
POCHODZĄCEGO OD WYDAWCY.
BEZUMOWNA SPRZEDAŻ NUMERÓW BIEŻĄCYCH I ARCHIWALNYCH
PO CENIE NIŻSZEJ OD USTALONEJ PRZECZ WYDAWCĘ JEST
ZABRONIONA, NIELEGALNA I GROZI ODPOWIEDZIALNOŚCIĄ KARNĄ.



FOT. NA OKŁADCE: ANDRZEJ WIKTOR (3)



TVP to bastion narracji polskiej niepodległości

Zarządzam największą i najsilniejszą telewizją w Polsce, w czasie kiedy przeprowadzana jest wobec naszego kraju jawna interwencja zewnętrzna i wewnętrzna w celu obalenia władzy dobrej zmiany.

Dlatego chcę nas teraz za wszelką cenę wyłączyć

*Jacek i Michał Karnowscy rozmawiają z **Jackiem Kurskim**, prezesem zarządu Telewizji Polskiej*

Mija właśnie sześć lat, od kiedy pełni pan funkcję prezesa TVP. I niewiele mniej od momentu, gdy opozycyjne media pierwszy raz ogłosiły, że nikt już Telewizji Polskiej nie ogląda. Nie lubią pana.

Jacek Kurski: Im akurat się nie dziwię. Gdyby nie było TVP, wiele ich nie-dobrych dla Polski planów, zamachów i puczów by się udało. Te opowieści o moim dorobku są zresztą od początku wewnętrznie sprzeczne: TVP ma być

jednocześnie zerem rynkowym i odpowiadać za wszystkie klęski. Prawdziwy bilans mojej kadencji jest zupełnie inny i w oczywisty sposób pozytywny dla telewizji publicznej. Najważniejsze było przełamanie zaraz na początku mojej

prezury monopolu informacyjnego obozu III RP. TVP stała się narracyjnym bastionem polskiej racji stanu, co w sytuacji jednostronnego i kłamliwego przekazu zaangażowanych w spór polityczny licznych mediów, często należących do zagranicznego kapitału, stało się jedyną możliwą w praktyce formą uratowania elementarnego pluralizmu, a tym samym demokratycznego wyboru Polaków.

I to jest oglądane?

Bardzo dobrze! Wbrew dramatycznej zmianie sposobu konsumpcji mediów, tj. spadkowi znaczenia telewizji linearnej i odpływowi do widzów do streamu i internetu, udało mi się odbudować i umocnić pozycję Telewizji Polskiej jako niekwestionowanego lidera rynku. Wśród blisko 200 telewizyjnych kanałów ogólnopolskich w Polsce udział TVP wynosi realnie 37–39 proc.

A 28,5 proc., które wykazuje niekorzystny dla nas pomiar Nielsena, również daje nam zdecydowanego lidera rynku. I nawet Nielsen po tym roku przyznał, że TVP rośnie, a Polsat i TVN spadają. Np. TVP1 (która gdy zostawałem prezesem, była czwarta) jest teraz zdecydowanym liderem i ma 10 proc. udziałów, a TVP2, która również zwiększyła udziały rok do roku, też jest na podium.

Dzięki rozrywce?

Nie tylko. Telewizja zapewniła milionom ludzi dostęp do wysokiej jakości sportu, kultury, seriali, teatru, wiedzy, rzetelnej informacji o Polsce i świecie oraz oczywiście masowej rozrywki. Kiedy zostałem prezesem, TVP była akurat po szóstym z rzędu przegranym z Polsatem sylwestrze. Dziś rozmawiamy świeżo po szóstym z rzędu, ale wygranym przez Telewizję Polską „Sylwestrze marzeń” i piątym w Zakopanem, gdzie na żywo dla kilkudziesięciu tysięcy śpiewały megagwiazdy popu Jason Derulo oraz Maryla Rodowicz. Polsat, na którego sylwestra, z playbackami i dokładanymi rozpaczliwie oklaskami, przyszła garstka ludzi na Stadion Śląski, został znokautowany, a TVN – po tym jak jego koncerty sylwestrowe w Warszawie w porównaniu z naszymi

wyglądały jak apel poległych – w ogóle dał sobie spokój z tą imprezą. I to jest wymowny symbol różnicy i progresu, jaki zrobiła TVP przez te lata.

A wczoraj wbił pan łopatę pod budowę hali zdjęciowej. Ma to sens w dzisiejszych czasach, gdy można wynająć dowolne studio na świecie dla dowolnej produkcji filmowej?

Telewizja musi się stać jeszcze mocniej podmiotowa wobec wcześniej rosnących głównie jej kosztem producentów zewnętrznych, dla których była jedynie bankomatem i słupem ogłoszeniowym. Nastąpił ogromny skok technologiczny, widoczny w rozpowszechnionej przez TVP jakości HD, która wkrótce stanie się standardem wszystkich oddziałów terenowych TVP. Do telewizji publicznej powróciła produkcja, wcześniej wypychana w ramach systemowej ka-

Nawet Nielsen po tym roku przyznał, że TVP rośnie, a Polsat i TVN spadają. Np. TVP1 (która gdy zostawałem prezesem, była czwarta) jest teraz zdecydowanym liderem

pitulacji na wielu frontach działalności. Tej produkcji własnej jest już tak dużo, że nie mieścimy się w istniejących studiach przy Woronicza. Hala zdjęciowa, której budowę właśnie rozpoczęliśmy, pozostawi konkurencję w tyle, wprowadzi nową jakość w produkcji Telewizji Polskiej i uniezależni nas od dostawców zewnętrznych.

Będziecie samowystarczalni?

Tak. Do naszych produkcji będziemy zatrudniać naszych ludzi i korzystać z naszych zasobów. Hala to aż 20 tys. mkw., w tym sześć modułów studyjnych, budynek sterowany inteligentnymi systemami smart, przystosowany do najnowocześniejszych procesów produkcyjnych, opartych m.in. na XR (rozszerzona rzeczywistość) czy sztucz-

nej inteligencji. Tym razem uczciliśmy rocznicę dobrej zmiany w TVP nie na galowo, ale na roboczo, na placu budowy. Ale to nie wszystko. Crème de la crème skoku technologiczno-inwestycyjnego będzie nowa siedziba TAI. Ultranowoczesny budynek, przystosowany do najnowszych procesów produkcyjnych telewizji, dziewięć studiów telewizyjnych – oprócz TAI również dla TVP Sport, TVP3 Warszawa i „Pytania na śniadanie”. Za dwa tygodnie nastąpi otwarcie ofert przetargowych, aczkolwiek liczymy się z tym, że w zmieniających się warunkach ekonomicznych projekt może wymagać osobnego, nowego montażu finansowego. Ten rozмах wynika nie tylko z wyzwai technologicznych, ale i rozszerzenia oferty o nowe kanały tematyczne, jak TVP Kultura 2, TVP Dokument, TVP Kobieta, TVP World, TVP Wilno, rozbudowany Bielsat, naziemny TVP Sport czy wkrótce jeszcze TVP Nauka.

A co uważa pan za największą porażkę?

Porażką dotyczącą TVP, ale przez nią niezawinioną, jest skandaliczne trwanie nierzetelnego monopolu telemetrycznego. Obca firma, niepodlegająca żadnej kontroli przez jakąkolwiek instytucję polskiego państwa, decyduje de facto o podziale wielomiliardowego tortu reklamy. Straty z tego tytułu dla TVP szacuję na idące w setki milionów. Suweren próbował wprowadzić rok temu 5–10-proc. podatek od reklam w mediach i zderzył się z medialną histerią oraz własnym imposybilizmem. Awantura po nic. Wystarczy tymczasem zrobić uczciwą telementrię i przychody niektórych komercyjnych mediów spadną nie o 10, a o 40 proc.!

Kłopoty z dystrybucją sygnału kanałów TVP w sieciach kablowych, o których rozmawialiśmy pierwszy raz już kilka lat temu, udało się rozwiązać?

Nie. To niepojęte, że po sześciu latach dobrej zmiany komercyjne platformy satelitarne nie mają obowiązku dostarczenia swoim klientom w pakietach telewizji płatnej właściwego terytorialnie programu telewizji publicznej.

ALAB laboratoria
ALAB laboratoria Sp. z o.o.
00-739 Warszawa, ul. Stepieńska 22/30
Laboratorium Analiz Lekarskich ALAB Warszawa
tel. +48 22 349 60 12, fax +48 22 349 60 99
e-mail: cs.warszawa@alab.com.pl, www.alabalaboratoria.pl

CZTELP

Information about the test POCT results

KURSKI JACEK
National ID Number: 660222
Date of birth: 22-02-1966
Address: 05-000 WARSZAWA
Patient ID: not implemented
Sex: male

Return address: Ordering Facility
Date of test execution: 2021-12-15

SARS-CoV-2 Antigen - POCT
Result and units: negative
Reference range: negative
Date of receiving: 2021-12-15 14:09

SARS-CoV-2 Antigen - POCT
Performing the test:
The test was performed with a Panbio COVID-19 Ag test by Abbott: sensitivity: 91,4 %, specificity: 99,8 % The test should be performed when the amount of virus in the respiratory tract is the highest: from the onset of symptoms to 5-7 days after the onset of symptoms.

EU DIGITAL COVID CERTIFICATE
CERTIFICAT COVID NUMÉRIQUE EU

QR code

Ministère des Solidarités et de la Santé

CERTIFICAT DE TEST
TEST CERTIFICATE

Maladie ou agent ciblé: Covid 19
Type de test / PCR / Antigénique: ANTIGEN
Résultat de test: NEGATIF
Date et heure de prélèvement: 2021.12.18 A 18H17

Dla pewności, że nie stwarzam żadnego zagrożenia dla uczestników Eurowizji Junior i innych osób, z którymi mam kontakt, i pomimo uzyskanego już statusu ozdrowieńca, wykonałem jeszcze trzy testy antygenowe w dniach: 15, 18 i 21 grudnia. Wszystkie miały wynik ujemny – mówi Jacek Kurski

Widzowie na Podkarpaciu czy Dolnym Śląsku dostają w płatnej ofercie TVP Warszawa na schowanym głęboko kanale 68 albo 88, w związku z czym nie oglądają telewizji regionalnej w ogóle. Państwo płaci za produkcję programów dla społeczności lokalnej, a dysyktorzy mają ich dostarczanie gdzieś. To złamanie świętej zasady „must carry/must offer”. Bo my, TVP, „offer” tak jak należy, a Polsat cyfrowy i Nc+ wcale tego nie „carry”. To samo dotyczy niezadowolającego pozycjonowania programów telewizji publicznej na platformach satelitarnych i w sieciach kablowych. Bardzo chciałbym wierzyć w zapowiedzi, że już wkrótce obie te węzłowe sprawy regulacyjne zostaną wyprostowane.

Co w planach?

Przed wszystkim chciałbym narzucić szybsze tempo udostępnienia oferty TVP w internecie i na streamie. To jest pole, na którym rozstrzygnie się bitwa o widzów, którzy nie stykają się już z telewizją linearną w klasycznym rozumieniu. I w końcu sprawa, o której też już nieraz rozmawialiśmy. Talent w produkcji tożsamościowej. Mamy tu pokazny dorobek – formaty tożsamościowe: gale, koncerty, teatr, dokument czy seriale, jak choćby „Stulecie Winnych”, „Wojenne dziewczyny”, „Ludzie i bogowie”, „Młody Piłsudski”, „Drogi wolności”, „Korona królów”, które się już

ukazały i zdobyły widownię. Ale jeszcze więcej jest tych produkcji i koprodukcji TVP, które już wkrótce znajdą się na ekranie, jak choćby Jagielonowie (ciąg dalszy „Korony królów”), „Dom pod dwoma orłami” (saga lwowsko-wrocławska), „Miłość i hańba” (do trzykowska powieść o rewolucji 1905 r.), „Raport Pileckiego”, „Orleń” (historia obrońców Grodna 1939 r.), „Figurant” (historia inwigilacji w PRL Kościoła katolickiego, w tym Karola Wojtyły), „Prorok” (o kardynale Wyszyńskim), „Orzeł. Ostatni patrol” (historia ORP Orzeł). W końcu zekranizowana historia współzałożyciela KOR „Zieja” czy „Lokatorka” (sprawa bestialskiego zabójstwa Jolanty Brzeskiej i złodziejskiej reprivatyzacji). I miniseria „Kamerdyner”. A w ostatnią niedzielę po skokach Pucharu Świata w Zakopanem mieliśmy przecież premierę przejmującego fresku telewizyjnego „Mariusz. Tatrzański orzeł”. Zatem moja kadencja

Oszustwo Onetu, „Gazety Wyborczej” i innych strumieni kłamstwa polega na tym, że mój test PCR z 13 grudnia traktują jako początek choroby, w sytuacji kiedy to był już jej koniec

obfituje w kino tożsamościowe. Na ogół są to rzeczy udane, ale życzyłbym sobie, aby to było regułą. Reguła talentu najwyższej próby przy każdej tożsamościowej produkcji. Ale to już nie zależy ode mnie. Telewizja zekranizuje każdy naprawdę wartościowy scenariusz, który wypełni istotną lukę w polskiej historii czy kulturze. Ale scenariusze muszą napływać ze wszystkich stron, tak by móc wybrać te naprawdę najlepsze. A z tym bywa różnie. Pięć lat już szukam scenariusza do serialu o Adamie Mickiewiczu. I co? Uroczysta grafomania.

Te sześć lat to też ciągle boje z mediami opozycyjnymi. Jaki tutaj jest pana bilans?

To nie krytyka, nawet nie ataki, to nieustanny hejt na telewizję publiczną. Mam stalowe nerwy i wytrzymuję go od lat, ale ostat-



nio osiągnął on taki pułap szaleństwa, w tym ataków na najbliższą rodzinę, że nawet ja czasem mam dosyć, widząc nieskrywaną podłość niektórych ataków. Ich metodą jest kłamstwo, a celem, jak w przypadku kłamstwa w sprawie mojego koronawirusa, jest obrzydzenie mnie ludziom.

Bo dla Polaków, którzy często siedzą na kwarantannach bez względu na wszystko, albo z dziećmi odesłanymi ze szkoły, to byłoby poważne nadużycie.

Dlatego wszystkich proszę, by przeczytali, jak było naprawdę. W związku z wyjazdem na Eurowizję zrobiłem po przebytej chorobie COVID-19 i uzyskaniu statusu ozdrowieńca dodatkowe trzy testy antygenowe: 15 grudnia, 18 grudnia i 21 grudnia (w drodze powrotnej). Pierwszy jeszcze w Polsce, dwa ostatnie zrobione we Francji. Wszystkie potwierdzały, że jestem ozdowieńcem.

Czyli to był koniec choroby?

Tak! Oszustwo Onetu, „Gazety Wyborczej” i innych strumieni kłamstwa polega na tym, że mój test PCR z 13 grudnia traktują jako początek choroby, w sytuacji kiedy to był już jej koniec. A izolację,

którą w związku z tym należy liczyć przed tą datą, beczelnie liczą po niej. Warto wyjaśnić rzecz dla tej sprawy fundamentalną (ta wiedza nie jest powszechna, sam tego nie widziałem): testy PCR wykazują śladowe ilości wirusa jeszcze przez wiele miesięcy po przebytej chorobie. Dlatego test ten nie jest wymagany jako warunek powrotu do normalnego funkcjonowania. W przeciwnym razie na niepotrzebnej izolacji przebywałyby setki tysięcy (jeśli nie ponad milion) ludzi. Tymczasem miliony Polaków, które przeszły COVID-19, wróciły do pracy bez dodatkowego testu PCR, a wyłącznie po izolacji.

Dlatego drugi „test” PCR nie był jedynie testem, tylko procedurą rtPCR (real time PCR), tj. rozszerzoną analizą stadium choroby wykluczającą w moim przypadku aktywność wirusa i potwierdzającą status ozdowieńca. Gdybym się jej nie poddał, trafiłbym na drugą, dodatkową izolację po izolacji, która łącznie trwałaby wtedy 30 dni zamiast standardowej 10–12-dniowej, którą realnie odbyłem tak jak każdy inny zakażony.

Sprawa jest ważna, więc jeszcze raz uporządkujmy fakty. Kiedy zaraził się pan koronawirusem?

Nie jestem w stanie wskazać kontaktu i sytuacji, w której się zaraziłem. Przez cały czas chodzę bowiem w maseczce. Mamy w domu małą córeczkę, jesteśmy z żoną bardzo wyczuleni na punkcie bezpieczeństwa. Każdy z naszych znajomych czy ludzi z pracy w TVP wie, jak bardzo ograniczyłem kontakty towarzyskie czy te mniej ważne zawodowe.

Kiedy pojawiły się objawy choroby?

Choroba rozpoczęła się 27–28 listopada i w żaden sposób nie przypominała typowego covidu, przebiegała łagodnie i ograniczała się do kataru, bólu głowy i zatok. Traktowałem ją jak przeziębienie, zapalenie zatok. Późną jesienią i zimą nieraz mi się one przytrafiają,

od początku pandemii miałem już trzy i żadne nie było skutkiem covidu. Dla pewności wykonałem w odstępie paru dni dwa domowe testy kasetkowe, które dały wynik ujemny. Większość objawów ustąpiła pod koniec pierwszej dekady grudnia, czyli po co najmniej 14 dniach od zakażenia. W ostatnich miesiącach mieliśmy w domu dużo poważniejsze infekcje, które wyglądały na naprawdę groźne. Joanna zgłaszała się nawet z dzieckiem do szpitala. Uważałem jednak za nadużycie, żeby przy stanie zaledwie podgorączkowym zawracać głowę szpitalom, które muszą się zajmować poważniejszymi przypadkami niż mój.

Czyli w listopadzie nie było „oficjalnego” testu?

Nie było i to jest paliwo manipulacji. Badający mnie lekarz nie widział konieczności zlecenia testu. Natomiast z powodu nawracających objawów przeziębienia poddałem się obowiązującym w TVP procedurom bezpieczeństwa, czyli kontynuowałem pracę zdalną z domu, co było realną i bezwzględną samoizolacją domową. Trwała ona nieprzerwanie od 2 do 12 grudnia po południu. Izolowaliśmy się w domu wszyscy, również moja żona i córka nie miały żadnych kontaktów. W tym czasie nie uczestniczyłem w planowanych aktywnościach, jak np. w gali „Paszporty wolności” 4 grudnia, koncercie „Murem za polskim mundurem” 5 grudnia czy w mszy smoleńskiej 10 grudnia. Bardzo łatwo to sprawdzić, gdyż wszystkie te wydarzenia były transmitowane przez TVP.

Po ustąpieniu choroby wykonał pan test na covid?

Tak, 12 grudnia, czując się już dobrze i w związku z planowanym na dzień później udziałem w koncercie IPN i TVP „Po co nam wolność”, zarówno moja żona Joanna, jak i ja wykonaliśmy rutynowe, przesiewowe testy antygenowe, które dały wyniki ujemne, czyli potwierdziły u nas brak aktywnej infekcji SARS-CoV-2. Dlatego pojawiłem się, a nawet przemawiałem na koncercie 13 grudnia.

Po co zatem potem wykonał pan pierwszy z testów, które stały się powodem ataku?

W związku z planowanym wylotem na koncert Eurowizji Junior wykonałem 13 grudnia dodatkowo przesiewowy test PCR (niesłusznie sądząc, że będzie potrzebny na lotnisku), który niespodziewanie dał wynik dodatni. Kiedy wieczorem 13 grudnia po koncercie „Po co nam wolność” dowiedziałem się o tym wyniku, natychmiast się izolowałem, odwołując nagranie debaty o stanie wojennym, którą miałem poprowadzić po koncercie. Podpięci już mikrofonami na łączeniach redaktor Piotr Semka oraz Kazimierz Graca, górnik ze strajku w KWK „Piast” w grudniu 1981 r., zastępczo weszli na żywo do TVP Info, a dojeżdżającego do studia prezesa IPN Karola Nawrockiego udało się odwołać z debaty. To dowody na moją natychmiastową reakcję wobec pozytywnego wyniku testu. Ale biorąc pod uwagę właśnie przeżytą chorobę, byłem niemal pewny, że to nie żaden początek covidu, ale konsekwencja dopiero co zakończonego chorowania.

Dobrze, ale wynik testu był pozytywny. W takiej sytuacji konieczna jest samoizolacja.

Dlatego natychmiast poddałem się izolacji. Analizując swoje kontakty i samopoczucie, uznałem jednak, że nie mogłem złapać covidu, przebywając wraz z żoną i córką tak długo w domu w izolacji, a co najwyżej musiałem lekko przejść covid, który wziąłem za przeziębienie. Aby zweryfikować, czy jestem chory, czy jestem ozdrowieńcem, poprosiłem lekarzy o przeprowadzenie badania rozstrzygającego. Badanie (to, którego wynik został wykradziony i w bezmyślny, antynaukowy sposób zinterpretowany przez Onet) wykonano w CSK MSWiA 14 grudnia, przy czym pomimo wykorzystania do niego znanej metody PCR nie było to badanie rutynowe, gdyż wykonując je, skupiono się na określeniu, czy i w którym cyklu badania wykryte zostaną fragmenty RNA wirusa. Wynik potwierdził, że niepatogenne (niezaraźliwe) fragmenty wirusa SARS-CoV-2 pojawiły się dopiero w przedziale 30.–35. cyklu, co potwierdziło, że badany, czyli ja, nie jest chorym, ale już ozdrowieńcem. Ozdrowienie przez wiele tygodni po chorobie wy-

dziela bowiem fragmenty RNA wirusa SARS-CoV-2, które nie zarażają ani nie są szkodliwe. To właśnie charakteryzuje ozdrowieńców. W ten sposób wynik badania rozstrzygającego potwierdził, że 13 grudnia miał miejsce koniec, a nie początek choroby, a ja z medycznego punktu widzenia jestem ozdrowieńcem.

Formalnie nie obowiązywała już pana kwarantanna?

Na podstawie wywiadu o przebiegu infekcji oraz przeprowadzonych badań laboratoryjnych w dniach 12–14 grudnia, czyli: ujemnego testu antygenowego, pozytywnego testu PCR oraz badania rozstrzygającego wątpliwości testu, lekarz postawił diagnozę: „ozdrowieniec”. Na tej podstawie i zgodnie z obowiąz-

Crème de la crème
skoku technologiczno-
-inwestycyjnego będzie nowa
siedziba TAI. Ultranowoczesny
budynek, przystosowany
do najnowszych procesów
produkcyjnych telewizji,
dziewięć studiów telewizyjnych

ującym rozporządzeniem ministra zdrowia lekarz złożył do sanepidu wniosek o zdjęcie izolacji. Pracownik sanepidu zapewne ocenił całokształt przedstawionych przez lekarza informacji, wyników badań i niezależnie oraz zgodnie ze swoimi kompetencjami potwierdził mój status ozdrowieńcy, podejmując decyzję o zwolnieniu mnie z kwarantanny od 15 grudnia.

Procedura jednak niestandardowa.

Niestandardowa w tym sensie, że nie miałem testu otwarcia choroby, całkowicie jednak zgodna z prawem. Dla absolutnej pewności, że nie stwarzam żadnego zagrożenia dla uczestników Eurowizji Junior i innych osób, z którymi mam kontakt, i pomimo uzyska-

nego już statusu ozdrowieńcy wykonałem jeszcze trzy testy antygenowe w dniach: 15, 18 i 21 grudnia. Wszystkie miały wynik ujemny. Wszystkie osoby, z którymi się wtedy spotkałem, są zdrowe, nikogo nie zaraziłem.

W tej sprawie zarzuca się panu, że sięgnął pan po przywileje niedostępne zwykłym śmiertelnikom oraz że mógł pan narażać osoby postronne. Jaka jest pana odpowiedź w tych dwóch kwestiach?

Nie ma mowy o żadnych przywilejach. Każdy ozdrowieniec z mylnym, dodatnim wynikiem PCR może pogłębić analizę swego stanu zdrowia i skorzystać z przepisów rozporządzenia ministra zdrowia, które właśnie w tym celu zostało wydane. To lekarze na podstawie wyników badań ocenili mój stan zdrowia, a pracownicy sanepidu zgodnie ze swoimi uprawnieniami nadali mi status ozdrowieńcy. Zarządzam wielką spółką, w której naturze leży to, że obecność szefa przekłada się na jej sprawność. Dlatego nie mogę sobie pozwolić na tak długie nieuzasadnione nieobecności. I tak ponad dwa tygodnie nie było mnie w Woronicza. Wróciłem zdrowy do zarządzania kumulacją węzłowych spraw dla TVP pod koniec roku.

Zapowiedział pan kroki prawne w sprawie publikacji Onetu.

Chodzi m.in. o wykorzystanie niejawnych danych medycznych. Czy wie pan, w jaki sposób te informacje wyciekły ze szpitala? Co wie pan o zmianach w pana profilu pacjenta w systemie EWP?

Kroki prawne podjąłem natychmiast, jeszcze w grudniu złożyłem zawiadomienie o popełnieniu przestępstwa oraz prywatny akt oskarżenia. W sprawie wycieku danych to adresatem pytań powinien być raczej redaktor Dziubka z Onetu, gdyż to on lub jego informatorzy się specjalizują, jak widać, w wykradaniu moich danych osobowych z systemów informatycznych, więc zapewne mogą też wyjaśnić opisywane przez siebie zdarzenia wokół mojego profilu w systemach informatycznych. Nie wykluczam, że rzekomy drugi pro-



Fot. Andrzej Wiktor

fil w systemie jest kolejnym elementem większej prowokacji przeciwko mnie. Jeśli pan Dziubka dopytuje i ma wiedzę o zhakowaniu tego systemu, to powinien złożyć stosowne zawiadomienie. Ja nic o tym nie wiem. Oczywiście chętnie się dowiem, kto się włamywał na mój profil, kto wykradał dane oraz kto ewentualnie zmieniał te dane w systemie. Liczę na to, że prokuratura znajdzie winnych, a sąd ich skaze.

Można odnieść wrażenie, że od kilku tygodni jest pan celem kolejnej dużej i skumulowanej kampanii medialnej. Coś się szykuje i opozycja za wszelką cenę chce mieć do tego czasu rozstrzoną TVP?

Zarządzam największą i najsilniejszą telewizją w Polsce, w czasie kiedy przeprowadzana jest wobec naszego kraju jawna interwencja zewnętrzna i wewnętrzna

w celu obalenia władzy dobrej zmiany. Na naszych oczach konkretyzuje się plan odzyskania władzy tajemniczo zapowiedziany przez Donalda Tuska po powrocie do Polski. Skoordynowana akcja ze Wschodu i Zachodu: obłęd klimatyczny wywołujący szaleńczy wzrost cen energii – prądu i gazu, bezprawne wstrzymanie funduszy europejskich w połączeniu ze zmęczeniem dwuletnią pandemią, inflacją, zużywaniem się władzy – ma wywołać kryzys, niepewność i bunt społeczny, który zmiecie dobrą zmianę. W tle jest realna próba zmiany architektury geopolitycznej, związana z niedołęstwem USA i planami oddania Europy Środkowej pod kontrolę Niemiec i Rosji, która ma z kolei wzbudzić poczucie niepewności i osamotnienia.

Ma to Polaków zmusić, by porzucili swój wybór polityczny z 2015 r.?

Zadziałać ma zasada podwójnego profitu: ci, którzy wywołali kryzys (blokada funduszy, polityka klimatyczna, zgoda na Nord Stream 2), mieliby być politycznymi beneficjentami jego skutków. I tu wracamy do Telewizji Polskiej. Ten plan ma szansę się udać, jeśli zmęczeni Polacy tej presji ulegną albo ulegnie choćby część dotychczasowego wyborczego zaplecza dobrej zmiany. A to wymaga wyłączenia albo osłabienia TVP. Ostatnim bastionem narracji polskiej niepodległości o masowym zasięgu, w dodatku zdolnym odeprzeć ataki wywoływanej co chwilę psychopanii moralnej i politycznej, jest bowiem Telewizja Polska. Rola mediów niepokornych jest oczywiście nie do przecenienia w warstwie intelektu, opisu i diagnozy, ale główna bitwa o prawdę jest tutaj. Dlatego bez obezwładnienia TVP i przetrącenia jej kręgosłupa ten plan się nie uda, i oni o tym wiedzą. Stąd też nieustanne ataki na mnie.

Jest wsparcie?

Ogromne. Miliony widzów, wiele wyrazów sympatii. Ze wzruszeniem przeczytałem w wywiadzie, jak jeden z bohaterów „Sanatorium miłości”, pan Edward, dziękował za ten „program dla takich starych ludzi jak on”. To ja dziękuję za taką rekordową oglądalność i lojalność. Cieszę się, kiedy robię zakupy w małym sklepie na Mazurach i pani za ładą opowiada mi, co jej się podoba w programie „Rolnik szuka żony”. To są prawdziwe emocje i prawdziwi widzowie. Dla nich jesteśmy. Miło mi, kiedy dostaję esemesy z gratulacjami od ludzi TVP, których zastałem na Woronicza. Byli na początku sceptyczni wobec mnie. Mówię o tych, którzy akurat znają się na tym, co widać na ekranie. Przekonali się do mnie. Poczuli, że razem możemy robić naprawdę wielką telewizję. I bardzo jestem wdzięczny za te wszystkie głosy, które wyrażają wsparcie w obliczu tych kolejnych kampanii nienawiści wobec mnie i mojej rodziny. Mądrzy ludzie rozumieją, że to jest cena, którą płaci się i płaci wielu innym ludzi za obronę polskiej wolności, za stworzenie wielkiego wylomu w systemie monopolu medialnego III RP.

Komu nie podoba się ta fuzja?

*Historyczna decyzja PKN Orlen – Saudi Aramco
partnerem połączenia z Lotosem*



Mohammed Al Qahtani, wiceprezes Saudi Aramco, oraz Daniel Obajtek, prezes PKN Orlen, podpisują porozumienie, na mocy którego saudyjski koncern stał się partnerem Orleu w związku z planowaną fuzją z Lotosem



MACIEJ WOŚKO

Rosja traci dominującą pozycję na rynku tradycyjnie zdominowanym przez rosyjską ropę – taki komentarz jednej z największych na świecie agencji informacyjnych – Bloomberg’a zamknął poniekąd spekulacje na temat oceny nowych kontraktów podpisanych przez Daniela Obajtka, prezesa PKN Orlen.

WARUNKI TWORZENIA POLSKIEGO CZEMPIONA

Przypomnijmy. W związku z planem fuzji dwóch polskich koncernów naftowych – Lotosu i PKN Orlen – Komisja Europejska wydała w 2020 r. pozytywną warunkową zgodę, wyznaczając polskim firmom kilka wymogów, których celem jest zapobieżenie „wystąpieniu negatywnych skutków planowanej koncentracji dla konkurencji na rynkach”. Zestaw założeń KE był dość drastyczny, co rodziło podejrzenia, że Bruksela próbuje w ten sposób zasygnalizować niechęć do planów polskiego czempiona. Środki zaradcze, wskazujące też na obowiązek

zbycia części aktywów Lotosu przed fuzją, natychmiast też uruchomiły lawinę zarzutów o wyprzedaż polskiego majątku, „kastację” sprawnie funkcjonującego zakładu w Gdańsku.

– Przez 30 lat się baliśmy. Zaczniemy budować, robić fuzje, łączyć. Bo nie będziemy mieli w Polsce firmy, która dokona jakiegokolwiek transformacji energetycznej. Możemy się spierać nad formą, nad treścią umów, możemy taką listę obaw sobie spisać i przez kolejnych 30 lat dyskutować, co jest, a co może być lepszym rozwiązaniem. I nikt nie będzie niczego realizował. Zagrożenia zawsze istnieją, ale kto ich nie pokonuje, ten stoi w miejscu – mówił nam w sierpniu ub.r. Daniel Obajtek, prezes PKN Orlen. – Przypominam sobie, gdy po raz pierwszy mówiłem o fuzji z Lotosem, pytano mnie: „Po co się w to pchasz, i tak nie dostaniesz zgody rządu”. Dostałem. Potem: „I tak nie zgodzi się Komisja Europejska”. Zgodziła się. Teraz słyszę, że sprzedaję część majątku. Nigdy nie powiedziałem, że coś sprzedaję. Będziemy szukać partnera, który zgodnie z ustaleniami w KE pomoże nam zrealizować środki zaradcze, tak aby uzyskać wiele korzyści, wzmocnić się w regionie. Wizja tworzenia multienergetycznego koncernu w Polsce jest naprawdę dokładnie zwymiarowana i przemyślana.

Komisja nakazała zbycie 30 proc. udziałów w Lotosie, co da kontrahentowi prawo do prawie połowy produkcji rafinerii w zakresie oleju napędowego i benzyny oraz zapewni dostęp do infrastruktury magazynowania i logistyki. Kolejny warunek to sprzedaż dziewięciu składów paliw na rzecz niezależnego operatora logistyki oraz budowa nowego terminalu importowego paliwa do silników odrzutowych w Szczecinie, który – po ukończeniu budowy – będzie przekazany temu operatorowi. W warunkach pojawił się też nakaz sprzedaży 389 stacji paliw Lotosu w Polsce, stanowiących ok. 80 proc. sieci gdańskiej grupy, a także sprzedaż 50 proc. udziałów w spółce joint venture Lotosu z BP, zajmującej się obrotem paliwem do silników odrzutowych. Warunków jest znacznie więcej, jednak te powyższe wywoływały najczęściej emocje u krytyków tworzenia silnego koncernu multienergetycznego w Polsce.

W ubiegłym tygodniu okazało się, że nawet dość drastyczne warunki koncentracji nałożone przez KE można przekuć w sukces.

PO CO TA FUZJA?

W środę 12 stycznia, podczas historycznej konferencji w siedzibie PKN Orlen, wszystko stało się jasne i proces połączenia dwóch polskich grup petrochemicznych wkroczył w ostatnią, decydującą fazę. Obecność przedstawicieli największego na świecie producenta paliw – Saudi Aramco, a także szefa rady nadzorczej węgierskiego koncernu MOL, zdradzała, że Orlen ogłosi, jak chce zrealizować środki zaradcze związane z planem przejęcia gdańskiej Grupy Lotos.

Zgodnie z komunikatem spółki PKN Orlen wybrał czterech partnerów do realizacji wynegocjowanych z KE środków zaradczych w związku z procesem przejęcia Grupy Lotos. To kluczowy etap budowy silnego koncernu multienergetycznego o mocnych fundamentach finansowych, gwarantującego bezpieczeństwo energetyczne Polski, a także stabilne i atrakcyjne ceny energii dla klientów.

– To historyczny dzień dla polskiej branży paliwowej. Finalizujemy transakcję przejęcia Grupy Lotos, która będzie korzystna dla polskiej gospodarki, obu spółek i ich klientów, pracowników oraz akcjonariuszy. Od początku tego procesu podkreślaliśmy, że priorytetem jest zapewnienie dodatkowych korzyści w ramach realizacji środków zaradczych, i to się udało. Finalizacja fuzji jest szansą na zapewnienie dostaw stabilnej jakościowo ropy naftowej do Polski od Saudi Aramco – mówił podczas konferencji prezes Obajtek.

Komentując umowę z Saudyjczykami, podkreślał: – To partnerzy, którzy nadadzą tempo dalszemu rozwojowi koncernu. Mamy przed sobą jeszcze sporo akwizycji, żeby móc wyznaczać trendy i standardy na tym rynku. To nie tylko spełnienie warunków zaradczych KE, podpisaliśmy też trzy inne strategiczne umowy z Saudi Aramco: w kwestii analiz i inwestycji w petrochemię, która jest dla nas bardzo ważna, w zakresie badań i rozwoju oraz umowę na dostawę ropy, do 400 tys. baryłek dziennie. To 20 mln ton ropy, która popłynie

do rafinerii Lotosu, do Płocka, do Możejek oraz do dwóch rafinerii czeskich.

Odnosząc się do umowy z węgierskim koncernem paliwowym MOL, prezes Obajtek tłumaczył: – W segmencie detalicznym wynegocjowaliśmy z węgierskim partnerem wymianę aktywów, co przełoży się bezpośrednio na realizację naszych planów ekspansji geograficznej, poprzez wzmocnienie sieci stacji paliw na Słowacji, ale też wejście na zupełnie nowy rynek – Węgry. Część środków pozyskanych ze sprzedaży stacji paliw przeznaczona zostanie na pozyskanie kolejnych 100 stacji w regionie, zgodnie z założeniami strategicznymi.

Węgierski koncern paliwowy MOL przejmie w związku z realizacją środków zaradczych 417 stacji paliw Lotosu, znajdujących się na terenie Polski, za 610 mln dol. Orlen zaś kupi od MOL 144 stacje paliw na Węgrzech oraz 41 stacji paliw na Słowacji za ok. 229 mln euro. To zdaniem przedstawicieli obu firm dobry biznes dla wszystkich stron.

HISTORYCZNY MOMENT

– To dzień, na który czekaliśmy i pracowaliśmy od wielu lat. Sam projekt historycznej fuzji Orlenu i Lotosu narodził się kilkanaście lat temu. Dzisiaj wracam myślami do czasu prezydentury śp. Lecha Kaczyńskiego, który był ojcem połączenia. Już wtedy wiedział, że dwie firmy działające na tak ograniczonym rynku, których głównym akcjonariuszem jest skarb państwa, powinny się połączyć, aby wykorzystać potencjał i móc się dużo szybciej rozwijać i pracować na rozwój kraju. Wtedy to była idea, która wydawała się trudna do zrealizowania. Nie było wiadomo, czy zyska zgodę odpowiednich organów Unii Europejskiej – komentował wicepremier, minister aktywów państwowych Jacek Sasin. – Nowy koncern, u którego progu powstania jesteśmy, to wielka szansa dla Polski. Pozwoli zmierzyć się z wyzwaniami, przed którymi stoimy – to transformacja energetyczna. To szansa dla regionu, by stał się niezależny. Przez wiele dziesięcioleci firmy lokalne były tylko tłem dla zagranicznych koncernów. Dzisiaj staje się regionem, który jest w stanie wygenerować ważny podmiot, który ma ambicje wychodzić szerzej na europejski rynek.

Warto zauważyć, że faktycznie projekt połączenia dwóch polskich koncernów naftowych ma długą historię. To naturalne, zważywszy na zmiany dokonujące się na rynku paliw i w branży petrochemicznej. Gdańska rafineria od lat poszukuje strategii rozwoju, także poprzez sprzedaż swoich aktywów. Ten wątek wraca jak bumerang, bo w czasie rządów PO, gdy premierem był Donald Tusk, istniało spore prawdopodobieństwo, że do Lotosu trafią Rosjanie.

„Nie ma żadnej ideologicznej przesłanki, by mówić kategorycznie »nie« inwestorom z jakiegokolwiek kraju, także z Rosji. Nasi sąsiedzi są również od tego, abyśmy robili z nimi wspólne interesy” – mówił wtedy Tusk. Dziś alarmuje, że sprzedaż stacji benzynowych Węgrom grozi rzekomo otwarciem rynku na rosyjskie wpływy.

„Jeśli PiS naprawdę sprzedał stacje Lotosu węgierskiej firmie MOL, politycznie związanej z Moskwą, to znaczy, że Ład Kaczyńskiego jest bardziej rosyjski, niż sądzili najwięksi pesymiści” – napisał na Twitterze były premier.

Ta wypowiedź została natychmiast sprostowana w mediach: „MOL nie tylko nie jest politycznie ani finansowo »związany z Moskwą«, ale wręcz stanowi jeden z bardziej znanych przykładów zdecydowanej walki z wpływami rosyjskich podmiotów w spółkach paliwowych i energetycznych. W statucie spółki są regulacje wymagające ujawniania informacji o właścicielach. Historia walki z rosyjskim udziałowcem koncernu, który został nim nie przez decyzję rządu węgierskiego, lecz za sprawą austriackiego koncernu OMV, determinacja i ostatecznie wykup rosyjskich udziałów w 2011 r. świadczą o czymś całkowicie przeciwnym niż to, o czym pisze Donald Tusk” – czytamy na portalu Polskiego Radia.

PKN Orlen spodziewa się decyzji Komisji Europejskiej w sprawie akceptacji środków zaradczych w ciągu dwóch miesięcy, a finalizacji całej transakcji przejęcia Grupy Lotos w czerwcu lub lipcu br. Grupa PKN Orlen zarządza sześcioma rafineriami w Polsce, Czechach i na Litwie, prowadzi też działalność wydobywczą w Polsce i Kanadzie. Jej skonsolidowane przychody ze sprzedaży sięgnęły 86,2 mld zł w 2020 r. Spółka jest notowana na GPW od 1999 r.

Opozycja bez składu i ładu

Niewiele wskazuje na to, by wybory parlamentarne odbyły się wcześniej niż w konstytucyjnym terminie w 2023 r. A jeśli tak, to za 12 miesięcy będziemy z impetem wchodzili w kampanię wyborczą. Dziś na opozycji nie ma zaufania, nie ma realnej współpracy, nie ma jednej wizji walki z PiS. Czy z tego chaosu może się wyłonić wspólny pomysł na skuteczne przejęcie władzy?





MAREK PYZA MARCIN WIKŁÓ

Grudniowy sondaż IBRiS dla „Rzeczpospolitej” daje w zasadzie jednoznaczną odpowiedź: opozycja nie jest obecnie gotowa do rządzenia – taką opinię wyraża aż 63,6 proc. ankietowanych. Jeszcze bardziej boleć musi wynik tego samego badania w grupie osób, które deklarują, że chcą głosować na KO, PSL, Polskę 2050 lub Lewicę. Aż 51 proc. z nich nie wie, czy w gotowość tych ugrupowań do zdobycia władzy.

MY TAK, A INNI?

– Nie wiem jak inni, ale Lewica jest gotowa do rządzenia, tak uważam – mówi nam Krzysztof Gawkowski, szef klubu Nowej Lewicy. – Złożyliśmy ponad 150 projektów ustaw, więcej niż PiS. Niech inne partie opozycyjne się pochwalą, ile mieli inicjatyw. Wszystko wydaje się jasne – dodaje z przekąsem poseł.

Paweł Zalewski, obecnie w Polsce 2050 Szymona Hołowni, uważa, że „koniecznością jest pokazanie Polakom, czego mogą się spodziewać po ich rządach” i zapowiada cykl debat. – Dziś trzeba widzieć, jakie są główne problemy Polaków i w jaki sposób je rozwiązać. Inaczej niż przez pracę programową się tego nie zrobi – ocenia polityk.

– Dość często rozmawiam z naszym elektoratem i często słyszę pytania: co wy zrobicie, jak przejmiecie władzę? Powiedz, zamkniecie ich do więzienia? Rozliczycie PiS z tego złodziejstwa? To jest ta część naszych wyborców, której ja się czasem boję. Rewanżyści, którzy uważają, że jeśli się na PiS nie zemścimy, to nie mamy po co władzy brać. Może stąd te wyniki – mówi Jerzy Borowczak, poseł PO.

Ten niełaskawy dla opozycji sondaż skomentował w rozmowie z tygodnikiem „Sieci” prezes PiS Jarosław Ka-

czyński: „Duża część społeczeństwa zdaje sobie sprawę, jak niespójne, złe i destrukcyjne dla kraju byłyby rządy tak egzotycznego niekiedy konglomeratu, jakim jest dziś opozycja. [...] Gółym okiem widać, że te siły nie niosą żadnej dobrej polskiej perspektywy, zwłaszcza w czasach tak niepewnych, pełnych niebezpieczeństw. Gdyby wspólnie stworzyły rząd, Polskę czekałby wielki chaos”.

Z naszych rozmów z politykami opozycji wynika jednak, że rozmowa programowa jeszcze daleko przed nimi. Nie pali się do niej nikt. Za to każdy uważnie wsłuchuje się w kolejne wystąpienia przewodniczącego Platformy. W większości z niepokojem, bo nie brakuje tam kuksańców wobec potencjalnych sojuszników.

Od powrotu Tuska można odnieść wrażenie, że relacje na opozycji się ochłodziły. Tusk z jednej strony mówi, że jest potrzeba łączenia, z drugiej dokonuje wyraźnych podziałów na opozycji – mówi poseł Nowej Lewicy Krzysztof Gawkowski

JEDEN CZY DWA BLOKI

Tylko pisowcy zacierają ręce po każdej wypowiedzi Tuska o konieczności zjednoczenia. Dla niego to optymalny scenariusz, w którym już realnie, a nie tylko w zakłękaniach swoich podwładnych, stałby się liderem opozycji. I choć na żadne wielkie zjednoczenie się nie zanosi, Platforma i jej medialni partnerzy jakby z klapkami na oczach powtarzają w kółko mantrę „jedna lista”.

Niedawno Adam Michnik na spotkaniu w Zakopanem tak analizował sytuację, mówiąc o liderze Polski 2050: „Gdybym mógł go do czegoś namawiać, to powiedziałbym tak: panie Szymonie,

niech się pan dogada z kierownictwem PO czy Koalicji Obywatelskiej i idźcie do wyborów na jednej liście. D’Hondt jest tutaj okrutnym sprawdzianem, zróbcie te listy w taki sposób, żeby każdy mógł głosować na swojego. Wspólna lista pozwoli odsunąć od władzy PiS”. Ten apel skierowany był również do Władysława Kosiniaka-Kamysza. Jednak w PSL wywołał tylko irytację.

„Jestem już znudzony tą michnikowszczyzną w zakresie »proletariusze wszystkich krajów, łączcie się«, jeden anty-PiS uszczęśliwi cały naród” – komentował dla portalu wPolityce.pl Marek Sawicki. Dzień wcześniej w Polskim Radiu były minister rolnictwa też nie gryzł się w język: „Martwi mnie to, co uprawia-

cie wokół Donalda Tuska – jako dziennikarze, publicyści. Bo wy uważacie, że jeśli Donald Tusk »chrapnie«, to już wszyscy mają słuchać, czy się budzi [...] A ja powiem szczerze, że PSL, jak widać wyraźnie, na to chrapanie, pobrząkiwanie, pohukiwanie nie reaguje. Reaguje Lewica, reaguje Hołownia, boją się, chcą, nie chcą – nie wiem [...] My mamy własną drogę, wybraną w 2019 r. – Koalicja Polska, umiarkowane centrum. I naprawdę nie będziemy dreptać za Donaldem Tuskiem”.

Inny z ludowców, Władysław Teofil Bartoszewski, w rozmowie z tygodnikiem „Sieci” wyjaśnia to bardziej obrazowo: – Zakładanie, że ktoś zgłasza na jedną listę, na której będą Klaudia Jachira i Władysław Bartoszewski, jest niekoniecznie racjonalne. Einstein powiedział kiedyś, że jeśli ktoś robi jakiś eksperyment, nic mu nie wychodzi i do znudzenia go powtarza w takich samych warunkach, to ma problem z inteligencją.

Prof. Waldemar Paruch, w latach 2018–2019 szef Centrum Analiz Strategicznych, tłumaczy nam: – Zderzenie z jednym opozycyjnym blokiem wyborczym pewnie byłoby dla PiS korzystne, gdyby ów blok był radykalny jak Koalicja Europejska zbudowana przez Tuska. Jego dziś nie stać na inną politykę niż radykalna. Taki model narzucił w 2006 r. i nie jest w stanie tego zmienić, to już jest poza jego zdolnościami politycznymi.

Broniąc swojej wizji jednego bloku, politycy PO często powołują się na

przykład węgierski, gdzie zjednoczona opozycja w sondażach idzie łeb w łeb z rządzącym Fideszem, a wybory już 3 kwietnia. Czy można jednak przenieść to na polskie podwórko?

– Tam jest zupełnie inna ordynacja wyborcza, w połowie większościowa, która wymusza porozumienie, takie jak u nas w 2019 r. w wyborach do Senatu. Do Sejmu jednak mamy inne zasady i tu lepiej sięgnąć po przykład czeski – dwóch bloków. Ale dziś rozmowa o tym nie ma żadnego sensu. Jest zdecydowanie za wcześnie – mówi Paweł Zalewski.

WOJNA TUSKA Z LEWICĄ

Posel Jerzy Borowczak zapewnia nas, że po powrocie Donalda Tuska w PO wszystko „się samo poukładało”.

– Jak widzi się dowódcę, to wszyscy stają na baczność. I klub lepiej pracuje, i ludzie się starają. Jak tylko Tusk zapowiedział, że będzie chciał zapalić świeczkę za 100 tys. ofiar koronawirusa, to niewiele osób brakowało, wszyscy pojechali – opowiada parlamentarzysta z Pomorza.

Borowczak głośno się zastanawia, jakie są szanse, by czarowi Tuska ulegli także politycy lewicowi, i nie ukrywa, że stworzenie wspólnej listy będzie trudne: – Ci, którzy są już z nami w koalicji, czyli np. Inicjatywa Polska Basi Nowackiej, to już zostaną, bo ta współpraca jest naprawdę dobra. Z Nowoczesną pod przewodnictwem Adama Szałpki też nie mamy w zasadzie żadnych problemów. Ale Czarzasty to nie jest człowiek z mojej bajki. Stosowane przez niego metody zarządzania partią mi nie odpowiadają.

Co zatem z Nową Lewicą? Czy można jej się dziwić, że notorycznie zaczepki szefa PO przyjmuje z dystansem? Czy może być inaczej, gdy padają z ust Tuska słowa choćby takie jak te w TVN24 na początku roku: „Znak zapytania jest taki, na ile partia Włodzimierza Czarzastego chce współpracować z PiS, a na ile chce zmienić tę władzę [...] tej jasności nikt dzisiaj nie ma”. I tak raz po raz.

– Generalnie opozycja ze sobą współpracuje, i to w sposób zdecydowany – mówi Krzysztof Gawkowski i wskazuje m.in. na zgodny wybór rzecznika praw obywatelskich oraz wyłonienie wspólnego kandydata na prezydenta Rzeszowa.

Zawiesza jednak głos. – Ale od powrotu Donalda Tuska można odnieść wrażenie, że te relacje się ochłodziły. Nie ma żadnych spotkań ani konsultacji, które były jeszcze za czasów Borysa Budki. Tusk z jednej strony mówi, że jest potrzeba łączenia, z drugiej dokonuje wyraźnych podziałów na opozycji – mówi poseł.

Krzysztof Śmiszek, poseł Nowej Lewicy, mówił portalowi wPolityce.pl: „Tusk próbuje nas obrzydzać, bo część naszego elektoratu się pokrywa”. Dodał także, że „Tusk ryzykownie się bawi, bo bez Lewicy PO nie stworzy rządu”.

– Celem Tuska jest zniszczenie Lewicy w jej podmiotowym kształcie – analizuje prof. Waldemar Paruch. – Najpierw będzie chciał zepchnąć ugrupowanie do poziomu 5–6 proc., potem będzie mógł straszyć ostatnich opornych, że mogą się nie dostać do Sejmu X kadencji i wreszcie zmusi ich do wejścia na tę wielką listę opozycyjną – przewiduje politolog. Dodaje, że z Czarzastym może Tuskowi wcale nie pójść tak łatwo. – Współprzewodniczący Nowej Lewicy doskonale rozumie, że to zabrałoby mu jakąkolwiek siłę przetargową.

Krzysztof Gawkowski potwierdza, że jest dziś zbyt wcześnie, by rozmawiać o wspólnych listach wyborczych, choć on sam wolalby pójść do wyborów w jednym z bloków. – Nie ukrywam, że bliżej mi do współpracy z PSL czy Hołownią niż z Platformą – wyjaśnia.

Marcin Kulasek, sekretarz generalny Nowej Lewicy, dla wPolityce.pl: „Zastanawiam się, dlaczego Tusk nie znajdzie nigdy złego słowa dla Konfederacji, która notorycznie głośnie z PiS, chociażby w sprawie granicy czy lex TVN? Czy Tusk wymyślił sobie, że będzie rządził z Konfederacją? Kiedyś poseł Nitras straszył nas na sali sejmowej, że będą rządzić z Konfederacją i PO zajmie się rządzeniem, a Konfederacja zajmie się Lewicą. Dobrze byłoby, aby wyborcy Lewicy mieli w pamięci te słowa”.

Jakub Kulesza, poseł Konfederacji, mówi nam: – Nasz program jest radykalnie odmienny od wszystkich innych ugrupowań. Widać to dobrze zarówno w kwestiach podatkowych, jak i np. ograniczeń praw obywatelskich pod pretekstem epidemii i konieczności segregacji sanitarnej. Jakikolwiek scenariusz przyjął: dwóch czy nawet pię-

ciu bloków opozycyjnych, to z nami jest sprawa jasna: Konfederacja będzie do wyborów szła samodzielnie.

„MIŁOŚĆ” NA OPOZYCJI

Tusk nie atakuje tak frontalnie również Polski 2050, ale w tej partii nie mają wątpliwości, że PO prowadzi z nimi wojnę. „Sądząc z dzisiejszego wściekłego ataku trolli platformerskich na Szymona Hołownię i Polskę 2050, to będzie rok prawdziwej »miłości« na opozycji. Pytanie, czy to się dzieje za wiedzą @donaldtusk, czy za jego plecami?” – pisał na początku stycznia na Twitterze Michał Kobosko. Kolejnego dnia wyjaśniał w rozmowie z portalem wPolityce.pl: „Zaobserwowaliśmy zbiorowe działanie w takiej skali, jakiej do tej pory nie widzieliśmy. To były różnego rodzaju krytyczne i prześmiewcze wypowiedzi z anonimowych kont, ale ewidentnie to konta kojarzone z Platformą Obywatelską. Cała sytuacja sprawiała wrażenie, jakby została wydana instrukcja czy dyspozycja do wzmożonej fali komentarzy typu hejterskiego”.

Do kont „kojarzonych z Platformą” z pewnością można zaliczyć profil Tomasza Lisa. Naczelną „Newsweeka” w służbie PO co jakiś czas niewybrednym wpisem atakuje Szymona Hołownię. Ostatnio stwierdził: „Od dwóch lat PiS i TVP całkowicie odpuszczają Hołowni. Uważają go po prostu za obiektywnego sojusznika w walce z Platformą i Tuskiem, będącymi według Kaczyńskiego jego jedyną poważną i prawdziwą konkurencją”.

Hołownia szybko ripostował: „Skutecznie opieramy się przemocowym załomom PO, więc jej propagandyści zaganiają nas do szeregu, twierdząc: »Kto nie chce być z PO, na pewno ustawił się z PiS«. Szkoda sił na komentowanie bredni”.

W zeszłym tygodniu Hołownia sprawił nie lada kłopot Tuskowi. Zaproponował mu, a także Kosiniakowi-Kamyszowi i Czarzastemu, wspólną konferencję o przyszłości Polski. Jest termin: 21 marca, i formuła: przed kamerami. A także najważniejszy element: postulaty programowe, których PO z założenia unika jak ognia.

To ewidentny cios w PO, nie ma się więc co dziwić reakcji Borysa Budki, który następnego dnia w Radiu Zet

drwił: „Za każdym razem jak widzę Szymona, mówię: stary, to nie jest talent show! Polityka to budowanie relacji, zaufania, a nie robienie medialnych spektakli. [...] Najpierw ustala się coś, co jest wspólne, a potem takie rzeczy się ogłasza. Nie robi się tego odwrotnie. Na tym polega polityka”.

KŁOPOTLIWE PROGRAMY

Ludzie Hołowni nie chcą jednak stosować się do tej lekcji byłego przewodniczącego PO. Wiedzą, że Platforma popełnia poważny błąd, unikając konkretnych propozycji dla Polaków. Paweł Zalewski w rozmowie z tygodnikiem „Sieci” przypomina wielki cykl debat programowych, jakie długimi miesiącami organizowało PiS, a które w 2014 r. przekute zostały w program wyborczy.

– To była bardzo ważna praca, która pozwoliła PiS przejąć władzę. Powinniśmy o tym pamiętać. W 2015 r. nie kandydowałem m.in. dlatego, że uważałem, iż Platforma nie znajduje dobrej odpowiedzi na pytania, które postawiło PiS. Dziś innym liderom będzie bardzo trudno nie odpowiedzieć na propozycję Szymona, zwłaszcza jeżeli ktoś deklaruje daleko idącą współpracę – słyszymy od posła Polski 2050.

To szlachetnie wobec PO ze strony nowego ugrupowania. Ale czy nie uderza również w ich największego potencjalnego sojusznika?

– Oczywiście, że na razie nie zamierzamy ujawniać naszych pomysłów na rządzenie. Już nieraz z czymś wychodziliśmy, a później albo PiS wprowadzało to jako swoje rozwiązania, albo podbierali nam to „przyjaciele” z opozycji, którzy mają lepszy dostęp do mediów i ogłaszali jako rzekomo własne pomysły. Do kampanii będziemy więc tego unikać – słyszymy od jednego z najważniejszych polityków PSL.

Propozycja Hołowni summa summarum nie będzie jednak problemem dla ludowców, bo... prawdopodobnie nic z niej nie wyjdzie. Skoro odmówi rozmów największa partia opozycyjna, debata przestanie mieć większy sens.

Zresztą, jak podkreśla prof. Waldemar Paruch, wspólny start Polski 2050

i PSL wcale nie jest taki łatwy do przeprowadzenia. – Interesy wyborców tych partii są skrajnie rozbieżne. Sukces sondażowy Hołowni oparty został na pewnym micie wprowadzonym do obiegu medialnego, jakoby miał on być politykiem spoza rywalizacji PO-PiS. W ten sposób przejął część wyborców Platformy i pewnie jakiś ułamek nowych wyborców, którzy skończyli 18 lat. Ale jeśli dojdzie do jego porozumienia z PSL, które jest wręcz symbolem III RP, to trudno będzie w kampanii ten element „nowości” wykorzystać.

Hołownia sprawił nie lada kłopot Tusкови. Zaproponował mu, a także Kosiniakowi-Kamyszowi i Czarzastemu, wspólną konferencję o przyszłości Polski. Z postulatami programowymi, których PO z założenia unika jak ognia

Politolog zwraca też uwagę, że peesłowska budowa centrum z Polską 2050 to ryzykowna operacja, skoro Hołownia zebrał wokół siebie postacie kojarzone raczej z lewicowym myśleniem i dość radykalne, jak Joanna Mucha, Hanna Gill-Piątek czy Paulina Hennig-Kloska. – One nie są żadnym centrum, które w Polsce musi się odnieść pozytywnie do kwestii religijnych. Nie da się w naszym kraju budować politycznego centrum, zwłaszcza z udziałem PSL, w kontrze do Kościoła – podkreśla prof. Paruch.

Może właśnie dlatego PSL, czyli najbardziej piwotalna partia na polskiej scenie politycznej, stara się grać na wszystkich fortepianach. W sejmowych kulisach można usłyszeć drwiny z jej prominentnych przedstawicieli, którzy wypowiadając się w TVN 24, są w stanie zrównywać PiS z faszystami, by za kilka godzin w TVP Info tymi samymi ustami

chwalić rząd Mateusza Morawieckiego za działania osłonowe w sprawie inflacji.

Wywołuje to zaniepokojenie zwłaszcza w PO, która obawia się, że stęsknieni za realną władzą ludowcy po kolejnych wyborach mogliby wejść w koalicję z Jarosławem Kaczyńskim. – Na korytarzach to nawet mówi się, że mogliby wykosić Ziobrę i wejść do koalicji rządowej z PiS już teraz – powtarza nam jedną z sejmowych plotek Jerzy Borowczak.

Oliwy do ognia dolewają sami peesłowcy, którzy jako jedyni z opozycji nie wykluczają żadnego scenariusza.

– Wszyscy rozmawiają ze wszystkimi. Nie wygląda to aż tak monstrualnie, jak jest przedstawiane w mediach. Ja osobiście utrzymuję kontakty również z posłami PiS. Z wieloma jestem po imieniu. W sytuacji niepublicznej oni potrafią bardzo racjonalnie rozmawiać – słyszymy od Władysława Teofila Bartoszewskiego. Jak dodaje, „po wyborach wszystko jest możliwe, bo zależy od rozkładu głosów na sali sejmowej”: – Jesteśmy gotowi wchodzić w rozmaite racjonalne koalicje dla Polski, ale pod pewnymi warunkami, np. zaprzestania destrukcji wymiaru sprawiedliwości. To dla nas nieakceptowalne. I rozumie to również pan prezes Kaczyński. Tu są jakieś punkty wspólne. Wszystko wymaga wielu rozmów, negocjacji. Ale na pewno nie dziś. [...] Na razie planujemy iść z Hołownią, a jak będzie dalej, to się zobaczy. Mamy jeszcze dwa lata.

Czyli w PSL po staremu – za wiele nie wiadomo, lecz wszystkie drzwi mają zostać otwarte.

Choć obóz władzy w siódmym roku rządzenia znalazł się bodaj na najpoważniejszym zakręcie – w związku z pandemią, inflacją i rewolucją podatkową – wciąż może być spokojny o mocną pozycję lidera w sondażach. Gdy wyleczone zostaną „choroby wieku dziecięcego” Polskiego Ładu, gdy ten program na dobre zafunkcjonuje, PiS może odzyskać wyborców, których straciło w ostatnich dwóch latach. I znów pojawi się szansa na samodzielne rządy Zjednoczonej Prawicy. A opozycja wciąż będzie dywagowała nad tym, w jakim składzie iść do wyborów. ▀

Dyplomaci non grata

Na początku 2022 r. sytuacja jest taka, że część dyplomatów już się nastawia na zmianę władzy i czeka na powrót fachowców z moskiewskiego MGIMO



Były ambasador Polski w Czechach Mirosław Jasiński

Fot. Radek/Pietruszka/PAP



STANISŁAW JANECKI

Przykłady nielojalności wobec rządu i Polski ambasadora w Czechach Mirosława Jasińskiego czy pełnomocnika rządu ds. kontaktów z diasporą żydowską Jarosława Nowaka nie są niczym nowym. Część

dyplomatów zawsze była i jest lojalna wobec „Europy”, poprzedniej władzy, część zaś orientuje się już na ewentualnych następców. Oportunizm i nielojalność są problemem polskiej dyplomacji właściwie od 1990 r., tym bardziej że na początku transformacji ustrojowej nie przeprowadzono wśród nich dekomunizacji, dezubekizacji, nie rozbito rodzinnych klanów czy systemu świadczenia wzajemnych usług. Stan dyplomacji, nawet obecnie, wynika ze sposobu kształcenia kadr dla MSZ w moskiewskim MGIMO czy w „kuźni” Bronisława

Geremka oraz z trudności w pozbyciu się ludzi poprzedniego systemu lub z hybrydy postkomunistyczno-postsolidarnościowej. Często ludzie starych układów bądź ci lojalni wyłącznie wobec rządów lewicowych i liberalnych byli nie do ruszenia, gdyż chroniły ich sądy. Nawet obecnie nowi ambasadorowie w swoich placówkach mają często piątą kolumnę wśród personelu.

Nieprzypadkowo szkalujący Polskę, a nawet demonstrujący lojalność wobec innych stolic, byli dyplomaci III RP stworzyli kuriozalne ciało zwane Konferencją

Ambasadorów RP. Wywodzą się oni ze starych układów, bronią ukształtowanej przez siebie polskiej dyplomacji po 1989 r., bo tylko w tym układzie czują się mocni. Dodatkowo w 2021 r. ujawnili się ludzie spodziewający się zmiany władzy i usilnie pracujący na to, żeby w takim wypadku nie stracić posad. Ci oportuniści i koniunkturaliści przedstawiają się jako fachowcy, których za wiedzę chce się zwalniać, nowi zaś są bojkotowani i opisywani jako pozbawieni kwalifikacji dyktanci bądź aparatczycy nagradzani posadami w dyplomacji za wierną służbę. Dyplomatów kojarzonych z awansami za rządów PiS porównuje się do kacyków z czasów PRL lokowanych w placówkach za dawne zasługi. Tyle tylko, że to autorzy takich opinii utrzymywali, a nawet rozbudowywali postkomunistyczny skansen zarówno w centrali MSZ, jak i na placówkach dyplomatycznych.

W efekcie ponad 32 lata po tzw. przełomie polska dyplomacja cierpi na podobne problemy jak sądownictwo. I w jednej, i drugiej dziedzinie stare trzyma się mocno, mimo kilku prób zmian systemowych.

PRZYTULISKO DZIECI FUNKCJONARIUSZY REŻIMU PRL

Gdy w marcu 2017 r. rząd Beaty Szydło przygotował nowelizację ustawy o służbie zagranicznej (z 27 lipca 2001 r.) protestowała nawet NSZZ „Solidarność” Polskiej Służby Zagranicznej. I okazało się, że wśród najaktywniejszych i najwyższej formalnie usytuowanych spośród nich cztery osoby przed 1989 r. ukończyły sowieckie uczelnie (w tym MGIMO), a jedna była TW. Protestowali, gdyż nowelizacja ustawy o służbie zagranicznej zakładała m.in. wygaśnięcie stosunku pracy byłych pracowników i współpracowników służb PRL. Ówczesny szef MSZ Witold Waszczykowski mówił: „Jesteśmy w roku 2017, przez 28 lat wyrosło nam już zupełnie nowe pokolenie Polaków, któremu to gronu należy się, aby było twarzą nowej Polski”. A ówczesny dyrektor generalny Służby Zagranicznej Andrzej Jasionowski w liście do pracowników pisał: „Wśród członków służby cywilnej w MSZ kilkaset osób nie ma potwierdzonej znajomości choćby jednego języka obcego. [...] Niestety, wiele osób przejęło ze służb to, co

najgorsze, tj. klanowość rodzinną, która prowadzi do zatrudniania całych rodzin i złe pojęty serwilizm, który każe wykonać każde (nawet sprzeczne z prawem) polecenie przełożonych, zamiast lojalnie przygotować stanowisko zgodnie ze swoją wiedzą i stanem prawnym (czego jaskrawym przykładem była nieudana budowa naszych ambasad czy przejmowanie z naruszeniem prawa nieruchomości w Warszawie)”.

Jak pisał Andrzej Jasionowski, „nadal [w 2017 r. w polskiej dyplomacji] pracowali oficerowie SB i ich tajni współpracownicy, którzy rozpoczęli karierę w latach 80. od śledzenia emigracji i donoszenia na kolegów. Byli oni jednym z filarów totalitarnego państwa, jakim było PRL, a w Polsce po 1989 r. nadal zajmowali wysokie stanowiska w dyplomacji, mając oparcie w swych dawnych przełożonych i układach służbowych. [...] Mamy w MSZ także liczne grono absolwentów uczelni sowieckich (nie tylko MGIMO)”.

Cezary Gmyz, obecnie korespondent TVP w Berlinie, ujawnił wtedy listę nazwisk 237 osób, członków służby zagranicznej, które przyznały się do współpracy z komunistycznymi służbami specjalnymi. „Polska dyplomacja jest przytuliskiem dla dzieci funkcjonariuszy reżimu PRL. Przykładem może być chociażby klan Bierutów. Za czasów ministra Sikorskiego już trzecie pokolenie tej rodziny wyjechało na placówkę dyplomatyczną. Spora część tych ludzi nie ma instynktu polskiego. Co było widać, gdy były ambasador w USA Ryszard Schnepf po odwołaniu z placówki oskarżył Polskę o antysemityzm. »Pokolenie 68« musi opuścić gmach przy ul. Szucha. [...] W niemieckiej dyplomacji popłuczyny po NRD praktycznie nie istnieją. Ci, którzy byli dyplomatami w komunizmie, zostali odsunięci już dawno” – mówił wtedy Gmyz.

Prezydent Andrzej Duda podpisał nowelizację ustawy o służbie zagranicznej 31 grudnia 2018 r., a kolejną 2 marca 2021 r. I mimo wprowadzonych na ich podstawie zmian wiele problemów pozostało.

MGIMO PONAD WSZYSTKO

Przy okazji nowelizacji ustawy o służbie zagranicznej była dyrektorem Krajowej Szkoły Administracji Publicznej prof. Józefa Hryniewicz mówiła: „Wszyscy

dobrze pamiętamy, że Krzysztof Skubiszewski, pierwszy minister spraw zagranicznych po 1989 r., nie zrobił porządku w dyplomacji. Ten stan w dalszym ciągu się utrzymuje. W służbie zagranicznej nie powinny pracować osoby po moskiewskich szkołach”. Nie powinny, ale pracowały. Jak Jarosław Bratkiewicz, absolwent MGIMO, w MSZ od 1992 r. do 2021 r., w latach 2010–2015 dyrektor polityczny ministerstwa.

Będąc ważną figurą w centrali MSZ, pisał on kuriozalne teksty o instytucji, w której pracował, np. w „Gazecie Wyborczej”. 21 sierpnia 2021 r. napisał tam hymn pochwalny o Moskiewskim Państwowym Instytucie Stosunków Międzynarodowych (MGIMO), którego był absolwentem. W istocie chodziło o uzasadnienie pozostawiania absolwentów MGIMO w polskiej dyplomacji jako najwybitniejszych fachowców, jakich można wykształcić. Przekonywał, że „wśród kandydatów [na studia w Moskwie] tzw. aktywiści PZPR ewidentnie stanowili mniejszość. Do sfery legend należy też twierdzenie, że na MGIMO szło potomstwo dygnitarzy peerelowskich”. Bratkiewicz pisał z zachwytem, że „kosmopolityczny aspekt wyróżnia absolwentów MGIMO na tle zadupia arcypolskiego, gdzie beztreściwie gwarzy się w języku »najbardziej katolickim« i wyjeżdza się sprawy proste jak łopata. Takie jak »patriotyzm« i walka z odstępami od niego (lewactwo, pedały); gdzie rozważa się, komu przyłożyć patriotycznie kijem bejsbolowym. Ten »niepodległościowy« zagon Polaków, niezdolnych do żadnej pomysłowości i nowatorstwa, które przekraczałyby grillowanie boczu i żłobanie taniego piwa, spode łba spoziera na Europę, innowację, postmodernizm”.

Hymn pochwalny o absolwentach MGIMO głosił, że to postacie wybitne, gdyż „największy nacisk kładziono [tam] na naukę języków obcych: tygodniowo zajmowało to 16–18 godzin lekcyjnych na dwa języki. W dalszej kolejności szły wykłady dotyczące różnych aspektów regionu specjalizacji: historii, polityki (wewnętrznej i zagranicznej), ekonomii, kultury. Dochodziły do tego wiedza o stosunkach międzynarodowych, historia dyplomacji, prawo międzynarodowe, gospodarka globalna, teoria współzależności międzynarodowych, protokoły dyplomatyczne, praktyka konsularna”.

I „wbrew czarnym mitom studenci obcokrajowcy nie mieli żadnych zajęć ze sfery działań wywiadowczych”. Ale jak mieli mieć, skoro „MGIMO od lat 90. to proeuropejskie nastawienie i opowiadanie się za ściślejszymi związkami Rosji z Zachodem”. Nic zatem dziwnego, że „przytłaczająca większość absolwentów MGIMO wybrała po studiach pracę w polskim MSZ. I w robocie tej się sprawdzili, zwłaszcza wyróżniło się w latach 90. pokolenie 30-latków [z Bratkiewiczem na czele], którzy jednoznacznie wsparli kompetentną pracę wielki wysiłek, aby nawet polskiej dyplomacji przesterować na zachodni kierunek strategiczny. Na członkostwo Polski w NATO i Unii Europejskiej. [...] Wielu z nich w III RP szybko awansowało dzięki tym przymiotom na stanowiska dyrektorskie w centrali MSZ oraz ambasadorskie za granicą. [...] Profesjonalizm MGIMO-wców wysoko ceniono w Europejskiej Służbie Działań Zewnętrznych w ramach UE”. Innymi słowy, gdyby nie absolwenci moskiewskiego MGIMO, Polska nie znalazłaby się w NATO i UE.

DOBRA ROSJA, ZŁA UKRAINA

W styczniu 2017 r. MSZ ujawniło notatkę z marca 2008 r., która – w ocenie ówczesnego szefa resortu Witolda Waszczykowskiego – „była początkiem porzucania przez rząd Donalda Tuska polityki prorosyjskiej na rzecz polityki prorosyjskiej”. Dokument „Tezy o polityce RP wobec Rosji i Ukrainy” z 4 marca 2008 r. podpisał nie kto inny, jak ówczesny dyrektor Departamentu Wschodniego MSZ Jarosław Bratkiewicz. A zachwycił się nim ówczesny szef MSZ Radosław Sikorski. To pokazuje, że pod rządami koalicji PO-PSL i podczas obecności Sikorskiego w MSZ karty rozdawali i wpływali na strategię resortu ci sami „dobrzy fachowcy” z czasów minionych. Tacy jak Jarosław Bratkiewicz albo Tomasz Turowski, oficer wywiadu PRL i III RP, potem dyplomata, m.in. minister pełnomocny w ambasadzie w Moskwie w czasie, gdy doszło do katastrofy smoleńskiej.

Witold Waszczykowski oceniał dokument jako koronny dowód przestawienia polskiej polityki zagranicznej na prorosyjskie tory: „Polska była pełnoprawnym członkiem UE i NATO, a obowiązkiem polskiej dyplomacji było forsowanie w tych organizacjach poglądów i interesów RP, a nie dostosowywanie polityki polskiej do jakiegś wypadkowej poglądów, interesów innych państw członkowskich pod taką retoryczną przykrywką, że to są poglądy UE lub NATO. [...] Autorzy nieświadomie czy świadomie przyznawali Rosji specjalne prawa w odniesieniu do naszego

Ponad 32 lata po tzw. przełomie polska dyplomacja cierpi na podobne problemy jak sądownictwo. I w jednej, i drugiej dziedzinie stare trzyma się mocno, mimo kilku prób zmian systemowych

regionu i to zaczyna się dopiero dzisiaj [w 2017 r.] zmieniać”. Ukraina była „stygmatyzowana, natomiast Rosja potraktowana jako kraj, który nie zagraża, który jest rezerwuarem surowców, który ma chęć współpracy. [...] Totalnie fałszywą tezą jest to, że Rosja nie będzie skłonna podjąć ryzyka zderzenia ze zjednoczoną Europą i Zachodem, już po kilku miesiącach mieliśmy Gruzję, a teraz od trzech lat wojnę na Ukrainie” – mówił Waszczykowski.

W dokumencie sygnowanym przez Bratkiewicza można było przeczytać, że „relatywna słabość Rosji w odniesieniu do swego otoczenia, zwłaszcza dynamicznie rozwijających się Chin, a także stwarzającego dotkliwie zagrożenia islamskiego Południa, skłania Rosję do orientowania się, przy wszystkich tradycyjnych oporach, ku Zachodowi, jako najbardziej wiarygodnemu partnerowi”. Dlatego Polska powinna się otworzyć na Rosję: „Jeśli obecne władze

rosyjskie świadome są ograniczonych możliwości oddziaływania na Polskę, to i polityka polska wobec Rosji powinna uwzględniać powyższe ograniczenia i uwarunkowania. Nie uzasadniają one żadną miarą zaniechania naszej aktywności na kierunku rosyjskim. [...] Ożywiony dialog z Rosją stanowi samorzystną wartość polityczną dla Polski. [...] Polskie zaniechania i eskapizm w polityce wobec Rosji (jak w czasach rządów PiS) uznać należy za przejaw nie »twardej dyplomacji«, lecz małostkowych polskich kompleksów, dyletantyzmu i bojaźni, swoistej »postawy kamerdynerskiej« wobec dziejów”.

W efekcie polska polityka zagraniczna brała pod uwagę te zalecenia, nawet po katastrofie smoleńskiej. Wszystko to okazało się błędne, a negatywne skutki działań „dobrych fachowców” z minionych czasów widać było szczególnie w 2021 r. i na początku 2022 r.

POWRÓT DO PRZESZŁOŚCI

Na początku 2022 r. sytuacja jest taka, że część dyplomatów już się nastawia na zmianę władzy i myślą oni wyłącznie o przetrwaniu. Stąd biorą się takie wykwyty „prawdomówności”, jak ambasadora Mirosława Jasińskiego czy pełnomocnika Jarosława Nowaka. Wynika z nich całkowite niezrozumienie roli i zadań przedstawicieli Polski za granicą (i przedstawicieli każdego innego państwa w podobnej sytuacji). To jest zresztą szersza platforma myślenia o polskiej dyplomacji, której wyraz dali 20 kwietnia 2021 r. uczestnicy debaty „Polska w świecie – rekonstrukcja”, zorganizowanej przez wspomnianą już Konferencję Ambasadorów RP. Uczestniczyli w niej m.in. Aleksander Kwaśniewski, Bronisław Komorowski, Andrzej Olechowski, Włodzimierz Cimoszewicz, Radosław Sikorski i Ryszard Schnepf. Trzeba odwrócić wszystko, co zrobiły rządy PiS, czyli zapewne przywrócić do pracy absolwentów moskiewskiego MGIMO, najlepszych na świecie fachowców. I takich ambasadorów, jak ci zrzeszeni w kuriozalnej Konferencji Ambasadorów RP. I zapewne trzeba wyciągnąć rękę do Rosji, do Putina i Ławrowa.

Odczuwamy dziś w Polsce negatywne skutki kryzysu wywołanego pandemią i unijną polityką klimatyczną. Naturalną powinnością rządu są w tej sytuacji działania osłonowe, które ochronią grupę słabiej zarabiających przed ubóstwem. Takich ludzi w ciągle dorabiającej się Polsce są miliony, zatem program osłonowy jest kosztowny i musi wiązać się z redystrybucją środków. Inaczej mówiąc, bogatsi powinni choć trochę zrzucić się na tych biedniejszych. Nie tyle nawet w imię solidarności społecznej – żyjemy w końcu w dość brutalnych czasach i nikt nie ludzi się, że leming z apartamentowca odczuje nagłą empatię do tych, którym się gorzej powiodło – ile w imię wspólnego bezpieczeństwa. Im mniej jest bowiem ubóstwa i nierówności, tym zdrowsze i stabilniejsze społeczeństwo. A na tym skorzysta każdy.

Wydawałoby się, że to oczywistości, które powinny wykraczać poza polityczne i plemienne spory. W takiej sytuacji, jaką mamy dziś, należałoby więc oczekiwać, że opozycja włączy się aktywnie w prace nad programami społecznymi, a przynajmniej rzetelnie je recenzuje, choćby po to, aby uniknąć błędów i dokonać korekt. Interes jest przecież – co jeszcze raz trzeba podkreślić – wspólny.

Problem w tym, że opozycja już dawno odrzuciła pojęcie wspólnoty i jakkolwiek formę współpracy z rządem uważa za niedopuszczalną kolaborację z wrogiem. Dlatego też z dziką satysfakcją przypuściła atomowy atak na wprowadzany właśnie Polski Ład. Błędy we wdrażaniu tego programu stały się dla niej pretekstem do zakwestionowania całości przyjętych rozwiązań. W imię zasady im gorzej, tym lepiej.

TO WYŁĄCZNIE POLITYKA

Po ponad sześciu latach tkwienia w totalnej opozycji antypisowcy zdają sobie powoli sprawę z tego, że kluczem do zmiany rządu może być dziś w Polsce jedynie zapaść gospodarcza. Dopóki bo-

wiem większość ludzi nie odczuje boleśnie pustki w swoich portfelach, dopóty nie będą na nich robić wrażenia kolejne „bomby” odpalane na łamach „Wyborczej” i historyczne awantury urządzane na ulicach. Nikt o zdrowych zmysłach nie odda przecież władzy nawiedzonym

ludziom, którym złe emocje przepalily już chyba wszystkie zwoje w mózgach. Chyba że jest zdesperowany, bo brakuje mu pieniędzy lub nie widzi dla siebie żadnych perspektyw na przyszłość.

To dlatego powodzenie Polskiego Ładu ma takie znaczenie dla przyszłości obozu rządowego. Jeśli ten program się nie powiedzie albo uda się wmówić większości, że jest nieskuteczny, to relatywnie ciągle wysokie słupki poparcia dla PiS zaczynają spadać. Nic więc dziwnego, że opozycja od samego początku gra propagandowo na porażkę Polskiego Ładu. Antypisowcy naprawdę chcieliby, aby większość Polaków poszła z torbami, bo to jedyna szansa na ich powrót do władzy. Nieprzypadkowo też Komisja Europejska idzie w sukurs antypisowcom, blokując wypłatę środków z Krajowego Planu Odbudowy. Polska ma zostać – jak się wyraziła jedna z unijnych urzędniczek – zagłodzona, a pieniądze pojawiają się dopiero wtedy, gdy wyborcy zrozumieją swój błąd i odsuną PiS od władzy. Mamy więc tu do czynienia z czysto polityczną grą, która ma niewiele wspólnego z troską o przyszłość Polaków.

Jad na Polski Ład

Ataki na Polski Ład są niezłą recenzją tego programu. Gdyby był tak fatalny, jak oficjalnie wypowiada się o nim opozycja, to przecież wystarczyłoby spokojnie poczekać, aż władza sama wpadnie jej do rąk. Skoro jednak jest inaczej i opozycja nie szczędzi sił na ataki, to oznacza to jedynie, że niczego nie jest pewna i ma się czego obawiać



KONRAD KOŁODZIEJSKI

JESTEŚCIE MENELAMI

Zamieszanie z wypłatami niższych pensji na początku roku było jedynie technicznym błędem, owszem irytującym dla zainteresowanych, ale przecież niepodważającym istoty i sensu zmian. Jeżeli kasjerka podczas zakupów wyda nam przez pomyłkę za mało reszty, to zwracamy jej na to uwagę, a nie rzucamy w nią historycznie zakupami i jak gówniarz wychodzimy obrażeni ze sklepu. Tymczasem opozycja chce, abyśmy zachowywali się właśnie jak gówniarz.

Charakterystyczne, że w tej sprawie najczęściej gardlują ci, których w ogóle ten problem nie dotyczy: zwykle ci o najwyższych dochodach, zatrudnieni w korporacjach na firmę i płacący niski podatek liniowy. Dla nich Polski Ład, podobnie jak wcześniej 500+, to wołające o pomstę do nieba prezenty dla hołoty. Bo przecież

tylko oni – wielcy biznesmeni – ciężko pracują i są solą tej ziemi. Szkoda tylko, że nigdy nie chcą się dorzucać do wspólnego budżetu, a czasem – jak pokazały liczne przypadki wyłudzenia VAT – nawet z niego coś dla siebie wyjmują. W końcu luksusowe auta i apartamenty należą im się jak psu buda.

Pokaz takiej postawy dał Roman Giertych, który umieścił w internecie obrazek przedstawiający pijącego wódkę menela, pisząc, że jest to pan Janusz, który zyska na Polskim Ładzie. W ten sposób dzięki mecenasowi miliony Polaków dowiedziały się po raz kolejny, że są Januszami i alkoholikami okradającymi innych. Co ciekawe – i dość typowe zarazem – takie obelgi rzuca ludziom ktoś, kto sam nie stawia się na przesłuchania i komu prokuratura chce postawić zarzuty w związku ze sprawą dotyczącą przywłaszczenia kilkudziesięciu milionów złotych.

Oczywiście wyskok Giertycha może tylko zaszkodzić opozycji. Antypis nie jest bowiem w stanie wyzwolić się od swojej pogardy wobec zwykłych ludzi. Bardzo chciałby ich podburzyć przeciwko PiS, ale nie może powstrzymać się od jednoczesnego splunięcia im prosto w twarz. I nie rozumie potem, dlaczego ludzie nie mają ochoty głosować na chamów.

NEGOTOWI NA REWOLUCJĘ

Wśród atakujących Polski Ład są jednak nie tylko nawiedzeni antypisowcy. Z programem osłonowym rządu walczy również część publicystów i polityków, którzy sami zaliczają się do grona konserwatystów. Oczywiście to ten rodzaj konserwatystów, który ma liberalne zabarwienie, precyzyjniej byłoby ich nazwać korwinistami lub wolnorynkowymi ortodoksami. Sporo takich zwłaszcza wokół Konfederacji, która – szukając swojego miejsca na prawicy – próbuje wygryźć PiS, szermując hasłami wolności gospodarczej i walki z omnipotencją państwa. Przy czym jej uwielbienie dla prywatnej własności i wolnego rynku nie jest bezwarunkowe, co pokazało – skandaliczne skądinąd – usunięcie profilu tej formacji z Facebooka. Wtedy się okazało, że jednak państwo może być do czegoś potrzebne.

Konfederacja lubi przedstawiać się jako reprezentacja drobnego biznesu (bo



ten mniej drobny popiera zwykle Platformę), ludzi, którzy każdego dnia walczą z urzędniczymi absurdami, zmagają się z nieżyciowymi przepisami i wysokimi kosztami. To grupa, która nie znosi etatowców, rzekomych darmozjadów leniących się całymi dniami przy biurkach za pieniądze z ich podatków. Grupa ta, podobnie jak platformerskie lemingi – nie znosi też korzystających z pomocy socjalnej – bo to przecież nieudacznicy żyjący na cudzy koszt. Oczywiście to wszystko mity. Bo sporo drobnych przedsiębiorców płaci niższe podatki niż niejeden etatowiec. Iniejeden etatowiec pracuje równie ciężko lub jeszcze ciężiej niż prywatny przedsiębiorca. Nie warto więc tutaj operować stereotypami. Sytuacje, w których znajdują się ludzie, są przecież różne.

Prawdą jest za to, że polski system podatkowy jest zbyt skomplikowany i uciążliwy, a Polski Ład jeszcze w nim trochę namieszał, próbując pogodzić ogień z wodą, czyli interesy uboższej i tej nieco bardziej zamożnej części społeczeństwa, nazywanej mocno na wyrost klasą średnią.

Być może lepiej byłoby więc przygotować rewolucyjną reformę, bez większości ulg i wyjątków, które tylko

komplikuja system i zachęcają do „op-tymalizacji” podatkowych, za to z dużą progresją podatku, taką, jaka jest w większości uważanych podobno za wzorcowe państw Europy Zachodniej czy w Stanach Zjednoczonych. Obawiam się jednak, że nikt nie jest na to gotowy, zresztą łącznie z Lewicą, która ma gębę pełną frazesów, ale gdy co do czego przyjdzie, to zawsze ostatecznie staje po stronie swoich liberalnych kompanów. W sprawie Polskiego Ładu jest zresztą tak samo.

ZA WCZEŚNIE NA WNIOSKI

Ataki na Polski Ład ułatwiają również okoliczności. Wdrożenie programu zbiegło się siłą rzeczy z różnymi zjawiskami kryzysowymi. Polski Ład nie zdoła ich całkiem wyhamować, bo w końcu to program osłonowy, a źródła większości zjawisk, przed którymi ma chronić, są poza zasięgiem rządu. Nie należy więc np. oczekiwać, że po wprowadzeniu Polskiego Ładu spadną światowe ceny energii, których nagły wzrost wynika m.in. ze spekulacji prawami do emisji CO₂. To, czego można i należy oczekiwać od rządu i jego programu, to elastyczna polityka podatkowa, aby skok cen nie był tak do-



kuczliwy. I rząd stara się robić to, co jest w jego obecnych możliwościach. Cudów jednak nie będzie.

W tej sytuacji narzekanie niektórych na Polski Ład, że nie działa (bo oni go nie odczuwają), ma taką samą wartość, jak biadolenie u cioci na imieninach. Po pierwsze, jest za wcześnie na podsumowania, a po drugie, warto się czasem wyrwać ze swojej wielkomiejskiej bańki i zrozumieć, że te „nędzne” kilkaset dodatkowych złotych ma ciągle duże znaczenie dla milionów ludzi w Polsce. Przerabialiśmy to już przecież przy okazji programu 500+.

Trudno też uniknąć wrażenia, że biadolenie na Polski Ład stało się rodzajem mody podsuwanej przez otoczenie i większość mediów. Są oczywiście ludzie, których sytuacja się nieco pogorszyła i którzy mają powody do narzekania. Wielu jednak takich powodów w rzeczywistości nie ma, ale skoro wszyscy wokół biadola, to i oni się dołączają. Zwłaszcza że – co jest akurat obiektywnym faktem – mnóstwo rzeczy zdrożało i żyje się ciężiej niż jeszcze rok, dwa lata temu. Pesymizm podgrzewany przez pandemię oraz pogarszającą się koniunkturę gospodarczą i międzynarodową nie skłania do pochwał.

W sprawie Polskiego Ładu najwięcej gardlują ci, których w ogóle on nie dotyczy: zwykle ci o najwyższych dochodach, zatrudnieni w korporacjach na firmę i płacący niski podatek liniowy

To spora różnica z sukcesem programu 500+, który miał tę zaletę, że był prosty i czytelny dla każdego i – co bardzo ważne z psychologicznego punktu widzenia – został wdrożony w warunkach szybko wzrastającej gospodarki. Dziś rząd takiego komfortu już nie ma.

WALKA KLASOWA

Przeciwnicy PiS liczą na to, że Polski Ład, nawet jeżeli nie skończy się porażką, to przynajmniej będzie na tyle dużym rozczarowaniem dla ludzi, że ostatecznie doprowadzi do odsunięcia PiS od władzy. Jednocześnie jednak – co wynika z wielkiej skali histerycznych ataków – poważnie obawiają się zupełnie odwrotnego rezultatu. Że jednak Polski Ład zadziała, ludzie odczują po-

prawie i wówczas znienawidzony „reżim” wzmacni się jeszcze bardziej.

W sondażu United Surveys dla WP, przeprowadzonym już po zamieszczeniu z wypłatą niższych pensji, zapytano Polaków, jak oceniają Polski Ład. Okazało się, że 48,5 proc. ocenia go pozytywnie, a przeciwnego zdania jest 40,9 proc. Dla jednych to dowód na klęskę programu, jednak ci mniej zafiksowani na punkcie PiS zauważają, że blisko połowa pozytywnych ocen sporo przewyższa obecne notowania PiS. A to oznacza, że korzyści z Polskiego Ładu dostrzegli także ludzie niegłosujący na rządzącą partię. To dobry prognostyk dla PiS.

Ataki na Polski Ład są zresztą niezłą recenzją tego programu. Gdyby był tak fatalny, jak oficjalnie wypowiada się o nim opozycja, to przecież wystarczyłoby spokojnie poczekać, aż władza sama wpadnie jej do rąk. Skoro jednak jest inaczej i opozycja nie szczędzi sił na ataki, to oznacza to jedynie, że niczego nie jest pewna i ma się czego obawiać.

Warto przy tym zwrócić uwagę, że opozycja – jak zwykle – nie ma żadnej kontrpropozycji wobec pomysłów rządu. Jediną obietnicą jest sugestia, zapewne trafna, że gdy tylko Tusk et consortes powrócą do władzy, to wtedy Komisja Europejska odblokuje fundusze i pieniądze popłyną do nas szerokim strumieniem. Pozostaje jednak wątpliwość, kto z tych pieniędzy skorzysta.

Zwłaszcza że partia Tuska nigdy nie słynęła z wrażliwości społecznej, wręcz przeciwnie. Domyślać się więc należy, że na kasie z Unii najbardziej utuczyliby się ci, którzy siedzą wygodnie w apartamentowcu i oglądając TVN, najgłośniej narzekają dziś na Polski Ład. A tym, którzy dzięki polityce obecnego rządu dostają „nędzne” kilkaset złotych, Platforma rzuci na pocieszenie kilka centów na zupe ze szczawiu.

Wojna o Polski Ład to po prostu kolejna odsłona trwającej już od wielu lat walki o szerokie upodmiotowienie społeczeństwa i dopuszczenie go do korzystania na równych warunkach z owoców wzrostu. Totaka współczesna walka klasowa. Czytelnicy muszą więc sobie odpowiedzieć na pytanie, czy czują się dziś klasą uprzywilejowaną czy też nie. Dalsze wnioski powinny im nasunąć się same.

*O Polskim Ładzie, zmianie systemu podatkowego, o tym, kto zyska na reformie podatków, a kto traci, z ministrem finansów **Tadeuszem Kościńskim** rozmawia Maciej Wośko („Gazeta Bankowa”)*



Wykorzystamy ten czas

Kolejny raz stało się tak, że Polski Ład – ogromny program społeczno-gospodarczy, wprowadzony został wyłącznie do kwestii związanych z podatkami. A przecież zmiany proponowane w tym programie mają wpłynąć na całą gospodarkę dźwigającą się z pandemicznego kryzysu.

Tadeusz Kościński: Oczywiście Polski Ład jest niezwykle szerokim programem, choć zmiany w systemie podatkowym są faktycznie ważnym elementem tego projektu. Około 90 proc. podatników, którzy skorzystają na zmianach w podatkach lub będą one dla nich neu-

tralne, tych 18 mln Polaków, którzy zyskają w nowym systemie – to ludzie przede wszystkim mniej zarabiający. Dociera do mnie wiele sygnałów wprost np. od emerytów, nauczycieli, którzy widzą, że dostali po te sto kilkadziesiąt złotych więcej. Zdecydowana liczba podat-

zwała odliczyć miesięcznie ok. 43 zł. I jeśli nauczyciel nie składał PIT-2 – na koniec roku, przy rozliczeniu podatku dostawał prezent w postaci zwrotu nadpłaty podatku w wysokości 525,12 zł. W tym roku, ponieważ podnieśliśmy kwotę wolną od podatku do 30 tys. zł, odliczenie wynosi 425 zł miesięcznie ($1/12$ z 5100 zł), więc osoby, które nie złożyły deklaracji, dostały niższe wypłaty.

Zabrakło informacji?

Ani ministerstwo, ani urzędy skarbowe nie wiedzą, czy podatnik złożył deklarację. To dzieje się między pracownikiem a pracodawcą. Jednak by zapobiec takiej sytuacji, pilnie podpisałem rozporządzenie, dzięki któremu pensje nie będą niższe i zostaną wyrównane. To oczywiście leczenie skutków całej sytuacji. Dlatego za całe zamieszanie przeprosiliśmy i naprawiamy sytuację.

Pieniądze wrócą na konta pracowników jeszcze w styczniu?

Tak, choć dało to paliwo do kolejnych ataków, że to przez bałagan, że mogliśmy poczekać jeszcze rok z wprowadzeniem zmian. Jestem ciekaw, ilu emerytów podpisałoby się pod takim wnioskiem, że czekają rok na wyższą emeryturę? Bo Polski Ład to także zerowy i niższy PIT od emerytur, 12 tys. zł Rodzinnego Kapitału Opiekuńczego i podniesienie drugiego progu podatkowego do 120 tys. zł. Te zmiany nie mogły czekać. Mamy inflację, kryzys energetyczny – Polski Ład to realne działania osłonowe.

Wyjątkowe ożywienie w medialnej dyskusji o zmianach podatkowych wzbudza także ulga dla klasy średniej. Wciąż straszy mechanizm, który powoduje, że po przekroczeniu 133 tys. zł rocznego wynagrodzenia ulgę trzeba będzie zwracać, jeśli była brana pod uwagę w comiesięcznych rozliczeniach podatkowych.

Niefortunnie niektórzy zaczęli podpisywać oświadczenia o rezygnacji z ulgi dla klasy średniej. I kolejna część kwoty nie weszła na ich rachun-

nek, bo składka zdrowotna jest już potrącana, a brakuje tej rekompensaty w postaci ulgi dla klasy średniej i kwoty wolnej.

A nie jest tak, że Ministerstwo Finansów nie doszacowało liczby osób zarabiających nieco lepiej – powyżej 133 tys. zł rocznie. I okazało się, że ta ulga raczej straszy, niż pomaga. I podniósł się krzyk.

18 mln osób zyska na Polskim Ładzie, a nie straci. Naprawiliśmy sytuację z początku roku.

Czy sprawiedliwe podatki oznaczają skomplikowany system podatkowy? Żegnamy upraszczanie systemu podatkowego w Polsce?

Sprawiedliwie oznacza, że biedniejsi płacą mniej podatków, a bogaci płacą więcej. W Polsce było na odwrót. Polski Ład jako program społeczno-gospodarczy wpływa na trzy elementy. Wszyscy wiemy, że ochrona zdrowia musi zostać dofinansowana. Dlatego zdecydowaliśmy, że składki zdrowotnej nie będzie już można odliczać od podatku. I gdybyśmy postawili tu kropkę, pewnie wszyscy zgodziliby się, że trzeba taki koszt ponieść. Więcej zarabiasz, to więcej płacisz na składkę zdrowotną. Bo przecież było tak, że pracownik miesięcznie płacił składkę podobną lub wyższą niż jego pracodawca, zarabiający więcej. To trzeba było uporządkować. Druga rzecz to sytuacja, gdy mniej zarabiający płacili wyższe podatki. Stąd wyższa kwota wolna i podniesiony do 120 tys. próg podatkowy. Te dwa mechanizmy są połączone. Stąd wprowadzenie ulgi dla klasy średniej i stąd tyle wariantów i możliwości.

No dobrze, więc nie dało się stworzyć przejrzystego kalkulatora podatkowego, który pozwoliłby księgowym i pracownikom na stronie internetowej, tak jak przy e-PIT, wyliczyć składki, ulgi, podatku?

Zderzyliśmy się z rzeczywistością. Taki algorytm jest wykonalny dla umowy o pracę i jednego pracodawcy, bez dodatkowych dochodów na zleceniu, renty, emerytury, bez wspólnego

ników na Polskim Ładzie skorzysta albo zmiany podatkowe będą dla nich neutralne.

Problem pojawił się w pierwszym tygodniu nowego roku. A to za sprawą głównie tych osób, które otrzymują wynagrodzenie z góry i w związku z błędnymi decyzjami księgowych dostały niższe wynagrodzenia.

To muszę sprostować. To nie były błędne decyzje księgowych, a pensje zostały policzone zgodnie z przepisami. Kłopot polegał na tym, że wiele osób nie złożyło formularza PIT-2 u pracodawcy, a niektórzy też niepotrzebnie złożyli oświadczenia o rezygnacji z ulgi dla klasy średniej. W ub.r. kwota wolna na poziomie 8 tys. zł po-

Fot. Andrzej Wiktoria

rozliczenia z małżonkiem. Do tego dochodzi umowa z 50-proc. kosztami uzyskania przychodu. I wariantów robi się bardzo dużo.

Infolinia i webinary mogą pomóc?

Muszę podziękować wszystkim za bardzo dobrą współpracę, także z osobami, które do nas dzwonią i łączą się z nami podczas webinarów. To bardzo rzeczowe i merytoryczne uwagi, pytania, propozycje. W piątek podpisałem rozporządzenie i natychmiast zareagowali też księgowi, którzy mimo weekendu wprowadzili niezbędne zmiany.

Słyszę jednak, że zabrakło też czasu na tzw. optymalizację podatkową, czyli znalezienie luk, sposobów obejścia nowych przepisów. Zabrakło vacatio legis, które dałoby czas na przygotowanie „dobrych rad” dla klientów.

Powiem tak, jako minister finansów skupiam się raczej na tym, żeby ludzie jak najwięcej zarabiali, a nie żeby obchodzili system podatkowy. Wolalbym skupiać się na estońskim CIT, na ulgach na innowacje, na robotyzację, na niższych ryczałtach dla wielu branż. Tu szukajmy, jak zyskać, a nie jak obejść system.

Mierzymy się z kryzysem energetycznym, który wprost przekłada się na nasze rachunki za prąd i gaz. Do tego wzrost stóp procentowych i kosztów kredytów. Pada argument, że to nie jest najlepszy moment na wprowadzanie zmian w systemie podatkowym.

Nikt nie pyta 18 mln obywateli, którzy zyskają. Polski Ład będzie zyskiem dla 2/3 podatników, dla około 1/5, czyli 20 proc., będzie neutralny, ale 10 proc. podatników zapłaci więcej. No to z kolei odzywają się przeciwnicy, którzy argumentują, że dajemy więcej pieniędzy na rynek, więc wspieramy inflację.

I wszyscy są nagle ekspertami od podatków, tak jak jeszcze kilka tygodni temu byli ekspertami od stóp

procentowych i roli Narodowego Banku Polskiego w gospodarce.

Na bieżąco wyjaśniamy kwestie związane z podatkowym Polskim Ładem.

A nie boi się pan przyszłego roku – roku wyborczego, gdy okaże się, że część podatników źle policzyła ulgi

Polski Ład to także zerowy i niższy PIT od emerytur, 12 tys. zł Rodzinnego Kapitału Opiekuńczego i podniesienie drugiego progu podatkowego do 120 tys. zł. Te zmiany nie mogły czekać. Mamy inflację, kryzys energetyczny

i zaliczki na podatek dochodowy i trzeba będzie oddawać skarbówce pieniądze?

Dlatego natychmiast korygujemy nieścisłości, żeby nie doprowadzać do sytuacji, gdy ktoś w rozliczeniu będzie musiał dopłacać. Dlatego jasno deklaruję, że będziemy korygować system w miarę pojawiania się ewentualnych problemów.

Mam wrażenie, że nowy system promuje umowy o pracę, tak by nieco wypierać z rynku umowy-zlecenia czy JDG, które w wielu miejscach zastępują etaty.

Zarówno dla pracodawcy, jak i dla pracownika umowa o pracę jest najbezpieczniejszym, stabilnym rozwiązaniem. Szczęśliwie w Polsce mamy już rynek pracownika, co zmienia sytuację od kilku już lat i ci, którzy chcą pracować na umowie etatowej, łatwiej mogą uzyskać zatrudnienie. Wciąż jednak jest wiele osób pracujących na czarno. To też jest niesprawiedliwe – także dla zdrowej konkurencji między firmami na rynku. Skupiamy się na podatkach, a Polski Ład rozwiązuje też właśnie kwestię płacy pod stołem. Szkoda,

że tak mało mówi się o abolicji, którą wprowadza właśnie Polski Ład, umożliwiającej dobrowolne i „bezkarnie” zgłoszenie pracownika zatrudnionego dotychczas na czarno. Wkrótce bowiem wprowadzimy poważne konsekwencje za płacenie pod stołem i to nie pracownik będzie odpowiadał za łamanie prawa, ale pracodawca. Stąd warto teraz rozważyć skorzystanie z abolicji.

Rząd nie oszczędza ministra finansów – były tarcze finansowe, antykryzysowe, teraz tarcza antyinflacyjna plus utrzymano wydatki związane z emeryturami... Stać nas jeszcze na finansowanie wychodzenia z kryzysu?

Tak. Polska gospodarka daje sobie radę z kryzysem, z pandemią i z recesją. Między innymi dzięki temu, że zareagowaliśmy szybko, wprowadzając tarcze antycovidowe i uratowaliśmy miejsca pracy. Uratował nas też nasz polski charakter – gdy załamały się dostawy globalne, gdy zerwane zostały łańcuchy dostaw, udało nam się wskoczyć w to miejsce. Dlatego rośnie polski eksport i rosną inwestycje w Polsce. Przypominam też, że planowaliśmy pierwotnie deficyt na poziomie 82,3 mld zł, nowelizacja zakładała 40 mld, a ostatecznie deficyt za cały 2021 r. może wynieść 25-26 mld zł. Jesienna nadwyżka budżetowa została ulokowana w funduszach, dzięki czemu będziemy mogli finansować inwestycje, których bardzo potrzebujemy. Mamy też fundusze na ewentualne tarcze i zabezpieczenie na wypadek rozwoju sytuacji z COVID-19.

Czyli pozostaje ministrowi finansów życzyć dobrych programistów, którym uda się złamać algorytm podatkowy i przygotować kalkulator wynagrodzeń.

Ja życzę wszystkim, żeby zarabiali jak najwięcej. Wszystkie kraje odczuwają skutki kryzysu covidowego, my wykorzystaliśmy w odpowiednim momencie recesję i wiem, że wykorzystamy także ten czas. Polscy przedsiębiorcy już wiedzą jak.



Lekarze bez odpowiedzialności za błędy?

Czy zasada no fault, czyli odejście od ścigania – na drodze karnej i cywilnej – lekarzy za niezawinione błędy medyczne zostanie wprowadzona w Polsce? Tego chciałyby Ministerstwo Zdrowia i środowisko medyczne. Ministerstwo Sprawiedliwości mówi: stop, to otwarcie furtki do bezprawia

Dykusja o wprowadzeniu w Polsce systemu no fault nie jest nowa. Wraca właściwie przy okazji każdego protestu środowisk medycznych. W 2017 r. doszło nawet do podpisania porozumienia lekarzy z ówczesnym ministrem zdrowia Łukaszem Szumowskim. Jednak później minister wielokrotnie przyznawał, że nie ma w Polsce politycznego klimatu



DOROTA ŁOSIEWICZ

na odejście od ścigania lekarzy za niezawinione błędy medyczne. Temat wrócił ponownie przy okazji protestów

w 2021 r. Wprowadzenie tej zasady było jednym z postulatów środowiska medycznego. Tym razem odpowiedni zapis pojawił się w projekcie ustawy o jakości w opiece zdrowotnej i bezpieczeństwie pacjenta w wersji z 16 listopada 2021 r., stając się kością niezgody w rządzie. W piśmie, jakie skierowało Ministerstwo Sprawiedliwości do sekretarza Stałego Komitetu Rady Ministrów,

czytamy: „Minister sprawiedliwości wyraża stanowczy sprzeciw wobec projektowanego wyłączenia odpowiedzialności karnej osób wykonujących zawody medyczne za przestępstwa wynikłe z błędów medycznych. Tym samym negatywnie ocenia projektowany art. 59, który został dodany do projektu na ostatnim etapie”.

CO TO JEST NO FAULT?

System no fault wprowadzono w Szwecji w latach 70. ubiegłego wieku. W kwietniu 2021 r. na stronie Okręgowej Izby Lekarskiej w magazynie „Puls” w tekście „No fault po polsku” przypomniano, na czym on polega. Wszystkie placówki medyczne w Szwecji wykupują obowiązkowe ubezpieczenie na rzecz pacjentów. Gdy dojdzie do niepożądanego zdarzenia medycznego, nie trzeba orzekać, z czyjej winy nastąpiło. Wystarczy udowodnić, że nastąpiło i pacjent poniósł szkodę. Pacjent otrzymuje rekompensatę, a osobno trwa analiza zdarzeń, które doprowadziły do powstania szkody. Szuka się odpowiedzi na pytanie, jak to się stało, że „coś poszło nie tak”. Według „Pulsu” pacjent szybko otrzymuje odszkodowanie, a znalezienie odpowiedzi na pytanie o przyczynę lub przyczyny niepożądanego zdarzenia w bardzo wielu przypadkach pozwala uniknąć powtórek w przyszłości. „System no fault w Szwecji sprawdza się: usprawnił wypłatę odszkodowań za szkody poniesione w trakcie leczenia przez pacjentów i poprawił bezpieczeństwo opieki medycznej. Powinniśmy pójść podobną drogą. Tak jak inne kraje, które wzorują się na Szwedach” – przekonywał na łamach „Pulsu Medycyny” neurochirurg prof. Romuald Krajewski.

Przypomnijmy, że w Polsce system, który teoretycznie miał zabezpieczać pacjentów i gwarantować im wypłatę odszkodowania czy raczej rekompensaty za szkodę poniesioną na skutek niezawinionego błędu medycznego (czyli takiego, który nie powstał w wyniku działania umyślnego lub rażącego, zawinionego zaniedbania), istnieje od dekady. W 2012 r. zostały powołane wojewódzkie komisje orzekające o zdarzeniach medycznych. Ich zadaniem

jest ustalenie, czy zaistniało zdarzenie medyczne. Nie orzekają o winie personelu medycznego czy szpitala, mają stwierdzić, że doszło do niewłaściwego postępowania, bo tylko wtedy można mówić o zdarzeniu medycznym. Propozycję odszkodowania składa podmiot leczniczy lub ubezpieczyciel, z którym szpital podpisał umowę. Maksymalne odszkodowanie może wynieść 100 tys. zł w przypadku zakażenia, uszkodzenia ciała lub rozstroju zdrowia, a jeśli doszło do śmierci pacjenta – 300 tys. zł. Niestety, komisje się nie sprawdziły. „Błędem było (pytanie na ile, parafrazując materię, której przepisy dotyczą, niezamierzonym i niezawinionym) określenie maksymalnej kwoty odszkodowania, bez określenia minimum, jakie przysługuje osobie poszkodowanej lub jej bliskim. Efekt? Proponowane pacjentom rekompensaty były z reguły bardzo niskie, a zdarzały się wręcz ośmieszająco niskie – w wysokości 1 zł” – czytamy w „Pulsie”.

JAK JEST TERAZ?

Choć wprowadzenia zasady no fault domaga się w Polsce środowisko medyczne i zapowiadali ją kolejni ministrowie zdrowia, to jednak zupełnie inaczej widzi tę kwestię Ministerstwo Sprawiedliwości, które w 2016 r. doprowadziło do powstania wyspecjalizowanych w badaniu błędów medycznych zespołów prokuratorskich, przenosząc do prokuratur wyższego szczebla wszystkie sprawy dotyczące zgonów pacjentów. Dwukrotnie podjęto również próbę faktycznego zastrzeżenia kar za błędy medyczne w Kodeksie karnym. – Pacjenci coraz częściej zgłaszają do prokuratury zawiadomienia o popełnieniu błędów lekarskich. W 2015 r. takich spraw było 3394, a na dziś mamy ich 5462. To znaczny wzrost. Pacjenci coraz częściej informują prokuraturę o zaniedbaniach lekarskich i oczekują ochrony na drodze karnej, cywilnej czy wreszcie w drodze postępowania dyscyplinarnych – podkreśla Marcin Warchoł, wiceminister sprawiedliwości.

„Odpowiedzialność za błąd medyczny jest coraz częstszym przedmiotem zapytań. Z roku na rok rośnie liczba spraw związanych z błędami medycznymi, za-

również o charakterze cywilnoprawnym, jak i przede wszystkim spraw karnych. Związane jest to z jednej strony ze zwiększającą się świadomością prawną w społeczeństwie, z drugiej natomiast strony – z coraz bardziej roszczeniowym podejściem pacjentów” – pisze na swoim blogu adwokat dr Aleksandra Rychlewska-Hotel.

Przedstawiciele środowiska medycznego podkreślają, że sytuację komplikuje to, że w polskich warunkach jako błąd medyczny często kwalifikowane są powikłania choroby lub niezadowolające wyniki leczenia. „Nie ma jednej, prostej definicji błędu medycznego. Co jednak kluczowe – nie należy utożsamiać z błędami powikłań choroby lub niezadowolających wyników leczenia. Im więcej natomiast mówi się o zdarzeniach niepożądanych, tym większa jest szansa na poprawę sytuacji w polskim systemie ochrony zdrowia. Dlatego, aby zwiększyć bezpieczeństwo pacjentów, trzeba prowadzić rejestr zdarzeń niepożądanych. Zebrane w rejestrze dane należy analizować, a zdobyta w ten sposób wiedza powinna służyć wyciągnięciu konstruktywnych wniosków” – mówił na łamach „Pulsu Medycyny” prof. dr hab. n. med. Romuald Krajewski z Centrum Onkologii – Instytutu im. M. Skłodowskiej-Curie w Warszawie.

ZAPIS NIEZGODY

22 lipca 2021 r. minister zdrowia Adam Niedzielski podczas spotkania w Dolnośląskim Centrum Onkologii we Wrocławiu przedstawił założenia projektu o poprawie jakości w opiece zdrowotnej oraz bezpieczeństwie pacjenta. Minister zapowiedział wtedy, że ustawa wprowadzi system no fault jako zasadę, która zakłada, że nie zostaną nałożone sankcje na personel medyczny zgłaszający niepożądane incydenty. „Chcemy, by personel medyczny mógł zgłosić zdarzenie niepożądane anonimowo” – tłumaczył minister. W projekcie w wersji z dnia 16 listopada 2021 r. obietnica przybrała kształt artykułu 59: „Nie podlega karze za przestępstwo nieumyślne określone w art. 155, art. 156 § 2, art. 157 § 3, art. 157a lub art. 160 § 3 ustawy z dnia 6 czerwca 1997 r. – Kodeks karny (Dz. U. z 2020 r. poz. 1444 i 1517 oraz



z 2021 r. poz. 1023) osoba wykonująca zawód medyczny w rozumieniu przepisów ustawy z dnia 15 kwietnia 2011 r. o działalności leczniczej, która zgłosiła zdarzenie niepożądane w ramach systemu zgłaszania zdarzeń, o którym mowa w art. 20 ust. 1, jeżeli zgłoszenie zdarzenia niepożądanego nastąpiło, zanim organ powołany do ścigania przestępstw dowiedział się o przestępstwie, chyba że sprawca w czasie popełnienia przestępstwa był w stanie nietrzeźwości lub pod wpływem środka odurzającego albo gdy spowodowany skutek był wynikiem rażącego niezachowania ostrożności wymaganej w danych okolicznościach”.

Taki kształt art. 59 oprotestował resort sprawiedliwości, tłumacząc, że nie chodzi wyłącznie o ochronę sygnalistów, ale o zagwarantowanie bezkarności lekarzom. – Te zapisy nie są sformułowane w ten sposób, by chronić personel medyczny, a dotyczą wprost lekarzy, zwalnianych z jakiejkolwiek odpowiedzialności nawet za zawnione z premedytacją zaniedbanie obowiązków. To jest otwarcie furtki do bezprawia i na to zgody być nie może – nie kryje oburzenia wiceminister Marcin Warchol. – Stanowczo się nie zgadzam z zapisem art. 59, gdyż jest to przepis zły, który pozbawia pacjentów ochrony w sytuacji popełnienia przez lekarza błędów medycznych. Nie da się pogodzić z dobrem pacjentów wyłączenia odpowiedzialności lekarzy. Nie da się tego pogodzić z dobrem całej ochrony zdrowia – tłumaczy Marcin Warchol.

Zdaniem resortu sprawiedliwości, jeżeli zapis w tym kształcie wejdzie w życie, pacjenci zostaną pozbawieni ochrony prawnokarnej. – Teraz pacjenci mogą występować do sądu cywilnego i dochodzić odszkodowania, podobnie w sądzie karnym. Gdyby przepis wszedł w życie, praktycznie nie mieliby żadnych narzędzi do ochrony swoich interesów, a lekarz nie musiałby dokładać żadnych starań, by zapobiec szkodzie – słyszę w Ministerstwie Sprawiedliwości.

Resort stoi na stanowisku, że zapisy, które wprowadzono przy okazji Funduszu Kompensacyjnego, gwarantują

lekarzom wystarczającą ochronę. – Na początku walki z pandemią z myślą o lekarzach resort zdrowia przygotował wiele przepisów ich chroniących. 29 listopada 2020 r. wszedł w życie przepis, który wprowadza ochronę dla lekarzy, wyłączając ich odpowiedzialność karną wtedy, gdy do błędu doszło podczas zwalczania COVID-19, a lekarz działał w szczególnych okolicznościach. Chyba że czyn był wynikiem rażącego

Te zapisy nie są sformułowane w ten sposób, by chronić personel medyczny, a dotyczą wprost lekarzy zwalnianych z jakiejkolwiek odpowiedzialności. To jest otwarcie furtki do bezprawia i na to zgody być nie może – mówi wiceminister Warchol

niezachowania ostrożności. Ponadto wprowadziliśmy ochronę przed hejtem – wylicza minister Warchol.

BŁĘDY SIĘ ZDARZAJĄ

O tym, że błędy się zdarzają, świadczy choćby głośna historia śmierci ciężarnej 30-latki w Szpitalu Powiatowym w Pszczynie. Przypomnijmy, że kontrola NFZ potwierdziła rażące nieprawidłowości w organizacji, sposobie realizacji i w jakości świadczeń udzielonych pacjentce. Według kontrolerów zachowanie lekarzy nie spełniało kryterium należytej staranności oraz nie zapewniało standardu bezpieczeństwa zmarłej pacjentki. – Ustalenia kontrolerów wskazują na rażące zaniedbania personelu medycznego i haniebną próbę zasłaniania się wyrokiem Trybunału Konstytucyjnego, który z tą sprawą nie ma nic wspólnego. Do takich przypadków dochodziłoby częściej,

gdyby zaprojektowany w Ministerstwie Zdrowia przepis wszedł w życie – słyszę w resorcie sprawiedliwości.

Lista błędów lekarskich z ostatnich lat, które znalazły finał w sądzie, jest długa. To tylko niektóre przypadki: lekarz, który przez nieuzasadnione odstąpienie od cesarskiego cięcia nieumyślnie spowodował śmierć noworodka, został skazany na karę trzech miesięcy pozbawienia wolności z warunkowym zawieszeniem jej wykonania. W innej sprawie lekarz nie zlecił odpowiednich badań, przedwcześnie wypisał pacjenta do domu, co przyczyniło się do śmierci tego człowieka. Lekarz został skazany na sześć miesięcy z warunkowym zawieszeniem wykonania kary.

– Takich spraw jest bardzo dużo, one są prowadzone bardzo skrupulatnie przez prokuratury regionalne. Tam pracują wyspecjalizowani prokuratorzy i zespoły biegłych, powołaliśmy specjalny Instytut Ekspertyz Medycznych w Łodzi, by te sprawy były rozpatrywane z najwyższą pieczołowitością. I teraz taki nowy przepis zdemolowałby system prawa karnego i pozbawiłby ofiary pomocy – nie ma wątpliwości Marcin Warchol.

Według resortu sprawiedliwości obowiązujące dziś przepisy są wystarczające w sytuacji, by ochronić lekarzy, gdy błąd się zdarzył, ale lekarz podjął wszelkie działania, by odwrócić ewentualną szkodę wynikłą z tego błędu. Chodzi m.in. o art. 15, par. 2 kk: „Sąd może zastosować nadzwyczajne złagodzenie kary w stosunku do sprawcy, który dobrowolnie starał się zapobiec skutkowi stanowiącemu znamię czynu zabronionego” czy art. 37A kk, dotyczący możliwości wymierzenia przez sąd kary wolnościowej. – Jest wiele przepisów chroniących lekarzy, ale ktoś musi jeszcze myśleć o pacjentach. Myślę, że jest wielu przedstawicieli zawodów medycznych, którzy nie chcieliby należeć do specjalnej, wyjętej spod odpowiedzialności kasty – podsumowuje wiceminister Warchol.

Dołóż swoją cegiełkę do odlewu dwóch ostatnich figur

Powstanie pomnika Żołnierzy Niezłomnych w Mielcu, największego w Polsce, jest już blisko finału. Ale potrzebna jest pomoc



JAROMIR KWIATKOWSKI

Do dokończenia monumentu, który zlokalizowano na terenie Parku Leśnego „Góra Cyranowska” w Mielcu, potrzeba jeszcze – jak szacuje Romuald Rzesutek, wiceprezes tamtejszego stowarzyszenia Klub Historyczny „Prawda i Pamięć”, inicjator budowy monumentu – ok. 120 tys. zł na odlanie dwóch ostatnich figur. Prace przy pomniku nie zakończą się przed 1 marca 2022 r., na kiedy pierwotnie planowano jego odsłonięcie. Wiadomo już, że uroczystość trzeba będzie przesunąć, prawdopodobnie na maj.

POMNIK PEŁEN SYMBOLI

Monument, autorstwa artysty rzeźbiarza Józefa Opali, absolwenta warszawskiej ASP, laureata wielu nagród i wyróżnień na wystawach ogólnopolskich, jest pełen symboli. To m.in. pięciometrowa kolumna z granitu, nazwana Drzewem Życia, która ma przypominać trudne losy naszego narodu. Na zwieńczeniu kolumny znajduje się odlany z brązu orzeł w zamkniętej koronie z krzyżem. Końcówka prawego skrzydła jest urwana, co symbolizuje utraconą bezpowrotnie w czasie wojny i po wojnie elitę polskiego państwa. W sercu kolumny został umieszczony ryngraf z wizerunkiem Matki Bożej Częstochowskiej, patronki Żołnierzy



Trójka Niezłomnych oraz trzy pierwsze figury z Korowodu Cieni

Niezłomnych. Przed podstawą pomnika znajdują się reliefy największych organizacji podziemnych – NSZ, AK i WiN. Te wszystkie elementy można już podziwiać na „Górze Cyranowskiej”.

Kamień węgielny pomnika, poświęcony 1 marca 2020 r., stanowi łuska artyleryjska, w której umieszczono m.in. 100 kapsuł z ziemią z miejsc uświęconych męczeńską krwią bohaterów, „List do potomnych” na dwóch arkuszach mie-

dzianych, monetę wybitą na 100-lecie odzyskania niepodległości, miniaturę ryngrafu, który znajduje się na pomniku, różaniec, a także zdjęcia i dokumenty.

12 FIGUR JAK 12 APOSTOŁÓW

Elementem składowym pomnika będzie 12 figur odlanych z brązu. – Jak 12 apostołów – zaznacza Romuald Rzesutek.



Rotmistrz Witold Pilecki, za nim ks. Władysław Gurgacz, modele w glinie (figury są odlane, a ich montaż czeka na lepszą pogodę)



Figura gen. Augusta Emila Fieldorfa „Nila” – model w glinie (odlew z brązu w trakcie realizacji)

Wiosną 2021 r. na pomniku, w tzw. Trójce Niezlomnych, zostały umieszczone postacie przykucniętego płk. Aleksandra Rusina „Rusala”, stojącego za nim mjr. Hieronima Dekutowskiego „Zapory” (z mapnikiem i w maciejówce) oraz chor. Wojciecha Lisa „Mściiciela”. Operację ich montażu obserwował wzruszony Roman Rusin, syn „Rusala”.

W lecie zamontowano pierwszą trójkę postaci z dziewięćoosobowego tzw. Korowodu Cieni: płk. Łukasza Cieplińskiego „Pługa”, prezesa IV Zarządu Zrzeszenia Wolność i Niezawisłość, zabitego strzałem w tył głowy w więzieniu UB na Mokotowie w Warszawie 1 marca 1951 r.; Janiny Przysiężniak „Jagi”, podkarpackiej „Inki”, która zginęła, gdy była w siódmym miesiącu ciąży, oraz por. Leona Wanatowicza „Boruty”, Sprawiedliwego wśród Narodów Świata, który zmarł we Wronkach w wyniku tortur.

Warto dodać, że 50 tys. zł na figurę Cieplińskiego ofiarował Jerzy Szmida, prezes firmy Garmond Press, po – jak sam przyznał – lekturze artykułu na temat pomnika w tygodniku „Sieci”, który ukazał się przed rokiem.

Na montaż czeka druga trójka figur: prowadzi ją rotmistrz Witold Pilecki w postawie dynamicznej, sięgający ręką do szabli; dalej będzie ks. Władysław Gurgacz „Sem”, urodzony w Jabłonicy Polskiej na Podkarpaciu, symbolizujący kapelanów wojskowych przesładowanych i zamordowanych przez komunistów, oraz Walerian Tumanowicz „Jagodziński”, Ormianin, żołnierz Legionów Polskich, oficer m.in. ZWZ-AK i WiN. Figury są już odlane, po

zdążymy – przyznaje Romuald Rzeszutek. – Odlewnia pracuje swoim rytmem, pewne elementy wykonuje na zewnątrz, a pogoda nie sprzyja pracom.

Uroczystość odsłonięcia pomnika trzeba będzie zatem przesunąć. Inicjator budowy monumentu ma nadzieję, że jeżeli uda się zebrać fundusze na dwie ostatnie figury – co jest warunkiem sine qua non – odsłonięcie pomnika będzie mogło odbyć się w maju 2022 r.

– Nie ma tego złego, co by na dobre nie wyszło. Będzie więcej czasu na przygotowania, a poza tym maj jest miesiącem cieplejszym niż marzec, co dla uroczystości plenerowej nie jest bez znaczenia – podkreśla wiceprezes mieleckiego Klubu Historycznego „Prawda i Pamięć”.

trzebna jest tylko lepsza pogoda, by można było je zamontować.

Ostatnia grupa figur tworzących Korowód Cieni to: gen. August Emil Fieldorf „Nil”; ppor. Anatol Radziwonik „Olech”, jako reprezentant polskich Kresów, oraz Dragan Sotirović „Draza”, jak go określa Rzeszutek – „Serb o polskim sercu”, zastępca dowódcy 14. Pułku Ułanów Jazłowieckich Armii Krajowej.

Figurę „Nila”, która jest obecnie w trakcie odlewania, oraz elementy z żeliwa stanowiące alegorię Kwatery Ł, ufundowała Kancelaria Premiera.

BRAKUJE OK. 120 TYS. ZŁ

Koszt monumentu, budowanego głównie ze środków pozyskanych od darczyńców, zamknie się kwotą ok. 850–900 tys. zł. Brakuje jeszcze ok. 120 tys. zł na figury „Olecha” i „Draży”. Romuald Rzeszutek i tym razem liczy na hojność polskich patriotów, którym idea pomnika jest bliska.

Odsłonięcie monumentu było pierwotnie planowane na 1 marca 2022 r., kiedy obchodzimy Narodowy Dzień Pamięci Żołnierzy Wyklętych. Jednak ta data jest już nierealna. – Nawet gdybyśmy mieli pieniądze na te dwie ostatnie figury, nie

CZEKALI NA TO KILKADZIESIĄT LAT...

Romuald Rzeszutek często powtarza motto Żołnierzy Niezlomnych: „Chcieli nas zakopać! Nie wiedzieli, że jesteśmy ziarnem...”

– Żołnierze Niezlomni czekali na takie upamiętnienie kilkadziesiąt lat – podkreśla inicjator budowy monumentu. – Ci ludzie zostali potraktowani przez historię w sposób bardzo okrutny. Ten pomnik to rodzaj naszej ekspiacji za to i wyrzut sumienia, że przez 60 lat tak niewiele osób o nich mówiło. Jesteśmy winni tym ludziom to, że będziemy ich przywoływać w naszej pamięci. A pomnik będzie stał i w sposób milczący przemawiał do nas.

Budowę monumentu można wesprzeć, wpłacając pieniądze na konto mieleckiego stowarzyszenia „Prawda i Pamięć”. Numer konta **92 1240 2656 1111 0010 7031 5571**, wpłata z dopiskiem: darowizna na budowę pomnika w Mielcu, Stowarzyszenie „Prawda i Pamięć”, ul. Wojsławska 2d, Mielec.

Rozgrywka Putina

Mamy do czynienia z wojną nerwów, każda ze stron pokazuje swój stanowczość, a Amerykanie zdają się sądzić, że Putin blefuje i ostatecznie nie zdecyduje się na „scenariusz wojenny”



MAREK BUDZISZ

Rosyjskie propozycje „to nie filharmonia w Czugujewie: tu nie gramy, a tu rybę zawijamy” – powiedział po spotkaniu Rosja–NATO rosyjski wiceminister spraw zagranicznych Aleksandr Gruszko. Nawiązał w ten sposób do popularnego w ZSRR skeczu, w którym artysta, chcący śpiewać, wyjaśnia swemu akompaniatorowi, aby ten nie zwracał uwagi na wszystkie nuty i znaki, zwłaszcza na tłuste plamy w partyturze, bo niektóre z nich mają inne, nie muzyczne pochodzenie.

RELACJE W KRYTYCZNYM STANIE

W opinii rosyjskiego negocjatora, ostatniego reprezentanta Moskwy przy

NATO, propozycje Władimira Putina, sformułowane w grudniu 2021 r., są spójne, trzeba je traktować jako powiązaną z sobą całość i przyjąć. Jeśli Zachód zdecyduje się na ich odrzucenie, to – jak zadeklarował gen. Aleksandr Fomin, wiceminister obrony, drugi z szefów rosyjskiej delegacji – konsekwencje mogą być poważne, bo „relacje Rosja–NATO są w krytycznie złym stanie”. Aby przekonać Zachód, że Rosja nie żartuje, tamtejszy resort obrony w dzień, kiedy zaplanowano rozmowy w Kwaterze Głównej Sojuszu Północnoatlantyckiego, poinformował o rozpoczęciu kolejnych ćwiczeń na poligonach położonych nieopodal ukraińskiej granicy. Równolegle Conflict Intelligence Team, międzynarodowa grupa dziennikarzy, doniósł o pociągach przewożących siły rosyjskie z najdalej położonego Wschodniego Okręgu Wojskowego w pobliżu ukraińskiej granicy, a amerykański dziennik „The New York Times” informował o dyslokacji rosyjskich śmigłowców bojowych, co może być dowodem na to, że Moskwa chce już niedługo zaatakować Ukrainę.

Amerykanie wzywają Rosję do deeskalacji, która – jak powiedział Ned Price, rzecznik Departamentu Stanu, już po rozmowach w Genewie i w NATO – „mogłaby się rozpocząć już jutro albo w najbliższy piątek”, ale jak na razie nie ma informacji potwierdzających, że Moskwa ma zamiar zmniejszyć napięcie. Co więcej, jak zadeklarował po rozmowach w Genewie Siergiej Riabkow, rosyjski wiceminister spraw zagranicznych stojący na czele grupy negocjacyjnej, Moskwa dopiero po zakończeniu spotkań ze Stanami Zjednoczonymi, NATO i na forum OBWE podejmie decyzję, czy kontynuować rozmowy, czy przejść do „rozwiązań techniczno-wojskowych”, o których niedawno mówił Władimir Putin.

Niezależnie jednak od wojowniczych deklaracji rosyjskich dyplomatów gołym okiem widać, że ani Stany Zjednoczone, ani NATO nie mają zamiaru dyskutować głównych rosyjskich propozycji. Jens Stoltenberg, sekretarz generalny Sojuszu Północnoatlantyckiego, powiedział po rozmowach z rosyjską delegacją, że NATO „nie pójdzie na kompromis z na-



Fot. Blaufort/Shutterstock, Luca Perna/Shutterstock

szymi zasadami dotyczącymi suwerenności państw europejskich i nienaruszalności ich granic”, obiecując przy okazji wzmocnienie obecności na wschodniej flance, gdyby Rosja eskalowała napięcie. Tego rodzaju opcję potwierdziła w rozmowie z Reutersem Kaja Kallas, delegatka Estonii, mówiąc, że „oczywiście rozmawiamy z naszymi sojusznikami, aby zwiększyć obecność wojskową, co może działać odstrasżająco”. Wendy Sherman twardo oświadczyła, że „nie będzie rozmowy” o wycofaniu się NATO na pozycję sprzed rozszerzenia, czyli sprzed 1997 r., czego domagała się Rosja, NATO utrzyma politykę „otwartych drzwi”, a Moskwa ma do wyboru albo deeskalacja sytuacji wokół Ukrainy i rozmowy dyplomatyczne, albo konflikt i konsekwencje, które dla Rosji będą fatalne.

Aby groźby Waszyngtonu nie wyglądały na gołosłowne, takie, które można zlekceważyć, dziennikarze „The New York Timesa” w ten sam dzień, kiedy trwały rozmowy w NATO, poinformowali o 200 mln dol. nadzwyczajnej pomocy wojskowej dla Ukrainy, o której przy-

dzieleniu Joe Biden miał zdecydować, bez specjalnego rozgłosu, pod koniec grudnia. Jak się spekuluje, środki te mają być przeznaczone głównie na amerykańskie stingery, które wykorzystywane w Afganistanie przez mudżahedinów znacznie utrudniły Rosjanom życie. Nieprzypadkowo w tym samym czasie w Kongresie znalazł się też projekt ustawy przygotowany przez demokratyczną większość, znacznie zaostrzający sankcje wymierzone w Rosję, który popiera administracja Bidena. Jak zadeklarowano, nowe regulacje mają wejść w życie automatycznie, jeśli Moskwa uderzy na Ukrainę.

ROZMOWY, NIE AKCJA WOJSKOWA

Mamy zatem do czynienia z wojną nerwów, każda ze stron pokazuje swą stanowczość, a Amerykanie zdają się sądzić, że Putin blefuje i ostatecznie nie zdecyduje się na „scenariusz wojenny”. Być może jest tak dlatego, że – jak donoszą amerykańskie media – Joe Biden konsultował się ze służbami meteoro-

logicznymi, Amerykanie regularnie wysyłają też nad wschodnią Ukrainę samoloty zwiadowcze E-8 JSTARS, których raporty są pocieszające. Koncentracja wojsk rosyjskich nieco zmniejszyła i Moskwa nadal nie dysponuje przy granicy siłami 175 tys. żołnierzy, które są niezbędne w opinii ekspertów, aby myśleć o inwazji, a ponadto niespodziewanie łagodna zima w tym regionie powoduje, iż ukraiński step jeszcze nie zamarzł i nie stanie się tak co najmniej do pierwszych dni lutego. A to oznacza, że rosyjskie czołgi mogą mieć problemy z przemieszczaniem się, i gdyby Putin dziś wydał rozkaz ataku, to zwyczajnie ugrzęzną w błocie.

Jest zatem czas na rozmowy i dlatego Amerykanie kładą nacisk na rozwiązania dyplomatyczne. Komentatorzy rosyjscy po rozmowach w Genewie zauważyli zmianę tonu Siergieja Riabkowa. Przed ich rozpoczęciem mówił on, że „NATO winno zabrać swe manatki z Europy Środkowej”, a po ich zakończeniu deklarował zadowolenie z tego, iż rosyjskie propozycje zostały potraktowane poważnie. A jeśli chodzi o kwestie nieprzyjmowania państw postsowieckich, w tym Ukrainy i Gruzji, do Sojuszu Północnoatlantyckiego, to – jak oświadczył – Moskwa chciałaby, aby w tej sprawie jednoznacznie wypowiedział się szczyt Sojuszu, który odbędzie się w Madrycie. Jest on zaplanowany na koniec czerwca, co może wskazywać, że Rosjanie raczej nastawiają się na długie i trudne rozmowy, poszukiwanie i prowokowanie pęknięć w obozie Zachodu, a nie na zdecydowaną akcję wojskową w najbliższych tygodniach.

Gdyby jednak ta ostatnia wchodziła w grę, to – jak napisał Fred Kagan w raporcie opublikowanym w ostatnich dniach przez US Institute of War – scenariusz okupowania przez Moskwę części Ukrainy, a w związku z tym perspektywa inwazji na dużą skalę jest jednym z najmniej prawdopodobnych wariantów. Rosjanie nie mają na to po prostu wystarczających sił. Aby myśleć o powodzeniu poważniejszej operacji wojskowej, większej niż lokalne uderzenie, musieliby mieć do dyspozycji co najmniej 175 tys. żołnierzy, a w przypadku okupowania Ukrainy jeszcze więcej, bo z wyliczeń wojskowych wynika, że co najmniej 325 tys. Tymczasem Ukraina,

która zapowiedziała walkę, dysponuje armią 145-tysięczną, co prawda znacznie gorzej uzbrojoną niż rosyjska, ale dodatkowo może zmobilizować 300 tys. przeszkolonych i uczestniczących w wojnie z Rosją rezerwistów.

Jeśli okupacja i agresja na większą skalę nie jest realna, to co można uznać za najpoważniejsze zagrożenie? Taras Kuzio, ekspert Henry Jackson Society, napisał, że najbardziej prawdopodobnym scenariuszem jest lokalna eskalacja w Donbasie, co najwyżej próba utworzenia korytarza lądowego na Krym, a nie wielka wojna. Podobne oceny formułuje również Jurij Butusow, ukraiński dziennikarz i ekspert wojskowy, do czerwca ubiegłego roku doradca ministra obrony. Jego zdaniem, jeśli Rosja zdecyduje się na eskalację, to przede wszystkim w Donbasie. Inne scenariusze, choć teoretycznie możliwe, są mniej prawdopodobne, zważywszy na rachunek zysków i strat, który w przeddzień ataku Moskwa będzie musiała przeprowadzić.

Podobnie zdają się myśleć Amerykanie i dlatego Wendy Sherman oświadczyła, że główne propozycje Putina to z punktu widzenia Waszyngtonu „non starters”. Zastępczyni sekretarza stanu, przezwana przez przedstawicieli irańskiej dyplomacji „srebrną lisicą”, bo to ona za kadencji Obamy prowadziła rokowania w sprawie programu jądrowego Teheranu, zaproponowała jednak Rosjanom grę dyplomatyczną i dyskusję o sprawach mniejszej rangi. Jak oświadczyła, w grę wchodzi negocjacje w kwestii ewentualnej dyslokacji w Europie nowych amerykańskich rakiet średniego zasięgu zdolnych do przenoszenia ładunków jądrowych, zmniejszenie intensywności ćwiczeń wojskowych i poprawa komunikacji między resortami obrony Rosji i dowództwem sił zbrojnych NATO. Oczywiście mowa jest nie o jednostronnych, jak chciałaby Rosja, ustępstwach ze strony Zachodu, ale posunięciach realizowanych przez obie strony. A zatem, jeśli zmniejszać intensywność manewrów wojskowych na wschodniej flance, to Rosja musiałaby wykonać podobny ruch, w tym zredukować swój garnizon w obwodzie kaliningradzkim. Warunkiem prowadzenia jakichkolwiek rozmów jest jednak – Amerykanie nie pozostawiają co

do tego żadnych wątpliwości – deeskalacja sytuacji wokół Ukrainy.

ROSYJSKA GRA NA ROZŁAM ZACHODU

Na co mogą liczyć w tej rozgrywce Rosjanie? Wydaje się, że przede wszystkim na pęknięcia w obozie Zachodu. Victoria Nuland, zastępcza sekretarza stanu, odpowiadająca w amerykańskim MSZ za Europę, w tym relacje z Rosją, która wystąpiła po rozmowach w Genewie na konferencji prasowej w Waszyngtonie, starała się akcentować zarówno stanowczość, jak i jedność wspólnoty państw Zachodu. Powiedziała przy tym, że amerykańska administracja „intensywnie współpracuje” z rządem Niemiec, aby ten

Amerykanie regularnie wysyłają nad wschodnią Ukrainę samoloty zwiadowcze E-8 JSTARS, których raporty są pocieszające

opóźnił uruchomienie Nord Stream 2. Dociśnięta przez dziennikarzy, którzy nie do końca wierzyli w stanowczość Berlina w tej kwestii, Nuland musiała przyznać, że w razie ewentualnej agresji Rosji na Ukrainę sankcje amerykańskie nie muszą w każdym szczególe pokrywać się z europejskimi, co oznacza pośrednie przyznanie, że różnica zdań między Ameryką a niektórymi państwami w Europie w tej kwestii nadal istnieje.

Osobną kwestią jest, czy Putin rzeczywiście obawia się sankcji Zachodu. Jego grudniowy telefon do Bidena miał służyć przede wszystkim przekazaniu informacji, że z perspektywy Moskwy nie są one straszne. Jest tak również dlatego, że Rosja korzysta z doskonałej koniunktury na światowym rynku ropy i gazu. Tegoroczny rosyjski budżet, który ma dysponować nadwyżką, był budowany przy założeniu, że średnia cena ropy naftowej wyniesie w tym roku 44,5 dol. za

baryłkę, a analitycy obecnie oceniają, iż może ona się wahać między 60 a 80 dol. Podobnie jest na rynku gazu. Gazprom notuje rekordowe zyski, tylko w ciągu 10 miesięcy ubiegłego roku zwróciły mu się nakłady poniesione na Nord Stream 2, a perspektywy są jeszcze lepsze. Rosja odbudowała swe rezerwy walutowe, ma ich obecnie łącznie ponad 800 mld dol. w gotówce, papierach wartościowych i w złocie i co najmniej od kilku lat przygotowuje się na zaostrożenie przez Amerykę polityki sankcji.

Władimir Wasiliew, ekspert z Instytutu Stanów Zjednoczonych i Kanady, jest wręcz zdania, że po wydarzeniach w Kazachstanie, które Putin scharakteryzował jako próbę kolejnej „kolorowej rewolucji”, w ogóle trudno wierzyć w to, że Kreml chciałby zawrzeć z Zachodem jakiegokolwiek, nawet najbardziej korzystne dla Rosji, traktaty. Dlaczego? Z tego powodu, że rosyjskie władze nie wierzą w trwałość tego rodzaju porozumień. Nawet jeśli Biden poszedłby na tak daleko idące ustępstwa, to – jak powiedział Wasiliew – „jego następcą po prostu może te umowy wypowiedzieć”.

A to oznacza, że z punktu widzenia Rosji bardziej obiecująca może być taktyka obliczona na „zameczenie przeciwnika”. Jej istotą nie jest dążenie do przesądzających o wszystkim rozstrzygnięć, ale utrzymywanie napięcia, nękanie, podejmowanie prób zastraszenia lub przekupienia przeciwnika po to, aby rozbić jednolity front Zachodu. Czy jest to strategia bez szans?

Kiedy Jens Stoltenberg i Wendy Sherman mówili w kontekście Ukrainy o tym, że NATO „nie odejdzie od polityki otwartych drzwi”, to kilka godzin później Steffen Hebestreit, rzecznik prasowy nowego niemieckiego rządu, uznał za celowe oświadczyć, że „kwestia członkostwa Ukrainy w NATO nie jest obecnie rozpatrywana”. Rząd Olafa Scholza otwarcie wzywa do normalizacji relacji z Moskwą, a Christine Lambrecht, niemiecka minister obrony, dzień po szczycie Rosja–NATO zaapelowała, aby „nie łączyć kwestii sytuacji wokół Ukrainy z ekonomicznym projektem, jakim jest Nord Stream 2”. Może zatem rachuby Rosjan nie są pozbawione podstaw?



UBEZPIECZENIE PKO DOM

- Kilka pakietów do wyboru + **opcje dodatkowej ochrony** (np. sprzęt elektroniczny, garaż)
- Atrakcyjny **assistance dla domu** 24/7
- Wygodny **zakup online** w serwisie iPKO i aplikacji IKO



Bank Polski
dzień dobry

www.pkobp.pl, infolinia: 800 302 302 brak opłat dla numerów krajowych na terenie kraju; w pozostałych przypadkach opłata zgodna z taryfą operatora, +48 81 535 60 60 opłata zgodna z taryfą operatora

Materiał marketingowy. Ochronę ubezpieczeniową świadczy PKO TU SA. Informacje o ubezpieczeniu, w tym o włączeniach oraz ograniczeniach odpowiedzialności Ubezpieczyciela, znajdziesz w Warunkach Ubezpieczenia, dostępnych na pkobp.pl.

Dziecko króla Lira

Zalamanie nerwowe, po którym na lata trafiła do szpitala psychiatrycznego, nie było pierwszym poważnym kryzysem O'Connor. Były inne, wcześniej, i zawsze rozgrywały się publicznie. Z tych skandali i prowokacji irlandzka gwiazda pop jest co najmniej tak samo znana, jak ze swojego ikonicznego przeboju „Nothing compares 2 you” z 1990 r. Cover utworu Prince’a znalazł się na szczycie list przebojów na całym świecie, podobnie jak album, z którego został zaczerpnięty: „I don’t want what i haven’t got” (Nie chcę tego, czego nie mam). Na przestrzeni ostatnich 32 lat nie udało jej się powtórzyć tego sukcesu. Ballada i towarzyszące jej wideo, na którym samotna ląza splaya po twarzy wokalistki, przetrwały dekady i stanowią dziś nadal fundament jej sławy.

Teraz O'Connor znów trafiła na czołówki gazet. Jej 17-letni syn Shane odebrał sobie życie. O jego śmierci piosenkarka poinformowała 10 stycznia na swoim Twitterze. Kilka dni wcześniej chłopak, który od miesiąca przebywał w szpitalu Tallaght w Dublinie po dwóch wcześniejszych, nieudanych próbach samobójczych, z niego uciekł. Poszukiwania nastolatka skończyły się odnalezieniem jego zwłok. O'Connor oskarżyła irlandzką ochronę zdrowia o brak należytej opieki nad jej synem. Shane miał planować swój pogrzeb, o czym wiedział personel placówki. Mimo tego nie zwiększono nadzoru nad nim. „Kiedy będę gotowa, opowiem dokładnie, w jaki sposób państwo irlandzkie przez nieświadome, złe, samolubne i kłamliwe działania TUSLA [irländzka Agencja ds. Dziecka i Rodziny] i HSE [irländzka ochrona zdrowia] przyczyniło się do jego śmierci” – grzmiała na Twitterze. Później przeprosiła za swoje słowa, twierdząc jednocześnie, że Irlandia jest jak kraj Trzeciego Świata, a dla labilnych psychicznie nastolatków jest dostępna zaledwie garstka łóżek. Rząd w Dublinie mimo tego zlecił śledztwo w sprawie okoliczności śmierci nastolatka, którego ojcem jest irlandzki muzyk folkowy Donal Lunney. Shane zostanie pochowany dokładnie tak, jak sobie zażyczył, w ceremonii hinduistycznej.

Wokół Sinéad O'Connor było przez ostatnie lata wyjątkowo cicho. To dlatego, że spędziła ten czas, jak przyznała w rozmowie z brytyjskim „Guardianem”, w „wariatkowie”. Sześć lat, z małymi przerwami. Teraz O'Connor znów trafiła na czołówki gazet. Po tym jak jej 17-letni syn Shane odebrał sobie życie



ALEKSANDRA RYBIŃSKA

ZAWIROWANIA

Zaledwie dwa dni przed śmiercią syna O'Connor skończyła 55 lat. Jest matką, babcią i mieszka „w uroczej małej wiosce, w której nie ma nikogo oprócz ekscentryków oraz krów po jednej stronie i kaczek po drugiej”. Jak przekonywała w licznych wywiadach, których udzieliła na przestrzeni ostatnich trzech dekad, nigdy nie chciała być gwiazdą. Uważała siebie i nadal uważa za autorkę pieśni protestu, za polemistkę. Od czerwonych dywanów i produkowania hitów woli koncerty na żywo. Po „oszałamiającym sukcesie” swojej drugiej płyty zaczęła wydawać albumy „niekomercyjne”, z tradycyjną muzyką irlandzką czy reggae, okraszane politycznymi komentarzami. O wielkim irlandzkim głodzie, Irlandzkiej Armii Republikańskiej (IRA) czy Kościele katolickim, na którego punkcie ma obsesję. W 1999 r. została nawet ordynowana na duchownego Irlandzkiego Ortodoksyjnego Kościoła Katolickiego i Apostolskiego. Potem zachwyciła się rastafarianizmem, by w końcu przejść na

islam. Jej życie uczuciowe było nie mniej skomplikowane. W 2000 r. zadeklarowała, że jest lesbijką, potem, że jest biseksualna, by w końcu oświadczyć, że jednak woli mężczyzn. Każde z czwórki jej dzieci ma innego ojca. Życie Sinéad miało kształt sinusoidy. Wzloty, upadki. Koncerty i skandale. Ostatnią płytę wydała siedem lat temu.

Za to w minionym roku opublikowała swoje wspomnienia „Rememberings”, w których oskarża swoją nieżyjącą już matkę o znęcanie się nad nią w dzieciństwie, opisuje swoją kleptomanię (za liczne kradzieże i wagarowanie trafiła w 1983 r. do domu poprawczego do tzw. azylu sióstr magdalenek), agorafobię oraz długą listę nieudanych romansów. A także incydent z Prince’em, który miał ją ganiać samochodem po autostradzie. Jest to książka, jakich wiele na rynku celebryckim. Nieszczęśliwe dzieciństwo to standard w biografii gwiazd. To coś, co ma tłumaczyć wszystkie późniejsze szaleństwa. „Zdobyłam nagrodę w przedszkolu za to, że

mogłam zwinąć się w najmniejszą kulkę, ale moja nauczycielka nigdy nie wiedziała, dlaczego tak dobrane mi to wychodzi” – pisze i później przyznaje, że „wielu rzeczy nie pamięta”, bo „była tak naćpana”.

NIEZROZUMIANA?

A Sinéad żyła skandalami. Miały jej pomóc uciec z klatki mainstreamowej sławy. W 1991 r. odmówiła udziału w rozdaniu nagród Grammy (choć była nominowana w wielu kategoriach), bo „nie chciała być częścią świata, który mierzy zdolności artystyczne sukcesem materialnym”. Uznano ją wtedy za „niezrównoważoną”. Rok później podczas występu w programie „Saturday Night Live” podała zdjęcie papieża Jana Pawła II. Miała zaśpiewać jeden ze swoich utworów, niespodziewanie wykonała a cappella piosenkę „War” Boba Marleya. Wykrzyknęła: „Walczyć z prawdziwym wrogiem!”. Tym wrogiem miał być Kościół katolicki ukrywający zdaniem wokalistki przypadki pedofilii wśród irlandzkich księży. Na początku lat 90. niechęć do Kościoła nie była jeszcze modna, jak jest dziś. Spadł na nią więc deszcz krytyki. Przeciwnicy wokalistki okrzyknęli USA „strefą wolną od Sinéad O’Connor”. Niszczono jej płyty, a Frank Sinatra nazwał ją „idiotką”. Skrytykowała ją nawet Madonna, nienależąca przecież do pobożnych. Jej kariera stanęła w miejscu. Jak przyznała wokalistka w rozmowie z BBC, przyszło jej przeżyć „dziesięć samotnych lat”, podczas których czuła się niezrozumiana. „Ludzie uważali, że moja kariera się skończyła, bo porwałam zdjęcie papieża. A było zupełnie inaczej. To, że odniosłam komercyjny sukces, zniszczyło moją karierę. Nie chciałam być gwiazdą popu” – zaznaczyła. Zdjęcie, które podała, pisze O’Connor w swojej autobiografii, należało do jej matki, zagorzałej katoliczki. Tej matki, która miała ją bić i poniżać, i dzięki której dziś cierpi na stres pourazowy i depresję (zdiagnozowano u niej także zaburzenie afektywne dwubiegunowe) oraz podjęła co najmniej jedną próbę samobójczą. To ją chciała w ten sposób symbolicznie uśmiercić. Takie – utrzymuje – były dzieciństwa w Republice Irlandzkiej lat 70. „Dorastając w domu, w którym dorastałam, i z taką przemocą, z jaką dorastałam, musiałam się upewnić, że cały świat wie, co się tu wydarzyło, bo inaczej to wszystko będnie na nic. Mogliśmy umrzeć w tym domu i nikt nie wiedziałby, że w rzeczywistości czwórka dzieci O’Connor to były dzieci króla Lira” – dodała. W irlandzkim micie patriotycznym dzieci Lira zostały zamienione w ląbędzie, ale zachowały swój głos. „Tak



jak ja” – podkreśla Sinéad. Jej brat Joseph O’Connor, wielokrotnie nagradzany pisarz, pamięta ich dzieciństwo inaczej. Mniej dramatycznie. „Nasza mama była chora przez wiele lat. Ciężko jej było się nami zajmować. Miała problemy, ale nie była złą kobietą. Sinéad wiele powiedziała o naszym dzieciństwie, czego zwyczajnie nie pamiętam. A to, co powiedziała, bardzo mnie zasmuciło” – wyznał w rozmowie z portalem Irish Central.

TO SAMO KAŻDEGO DNIA

Cały swój mit Sinéad zbudowała na tej przemocy, przemocy, którą tylko ona pamięta. Z tego powodu co chwila ląduje w szpitalu

psychiatrycznym. Ma jedno załamanie nerwowe za drugim. Musi się buntować. Podczas trasy koncertowej w 2019 r. w USA weszła na scenę z flagą palestyńską. Tyle że dziś to już mało kogo szokuje. Wrażliwe zety woła histeryzować z powodu klimatu. Narcystycznych milenialsów obchodzą tylko oni sami. Poza tym wokalistka szybko się przekonała, jak dużym polem minowym jest poprawność polityczna, gdy podczas wywiadu dla jednej z brytyjskich radiostacji stwierdziła, że ma czwórkę dzieci z różnymi partnerami, „zupełnie jak ojcowie z Jamajki”. Szybko się poprawiła, zapewniając, że „kocham Jamajczyków”. We wcześniejszym wywiadzie krzyczała, że „nienawidzi białych”, by potem tłumaczyć, że „mówiła to, bo miała zły dzień i wcale tak nie myśli”. Im więcej mówi, tym bardziej się gubi. W dziwnych teoriach o powiązaniach Afryki z Irlandią, feminizmie oraz Chrystusie jako „postaci głęboko antyreligijnej”. Gdyby dziś chciała zwrócić na siebie uwagę, musiałaby pewnie porwać zdjęcie jakiegoś imama.

Na to się nie zanosi, bo O’Connor w 2018 r. przeszła na islam, przyjmując imię Shuhada. A później nazwisko Sadaqat. Religie to dla niej platformy dla wiary, a katolicyzm to „marna platforma”. Mimo tego ma tatuaż z Jezusem, w którego wciąż wierzy i „nic nie jest w stanie zaburzyć jej wiary”. Historia – jak twierdzi – przyznała jej zresztą rację. „Dziś wiemy, co działo się w Kościele katolickim. Wszystkie te przypadki pedofilii. Ja przeczuwałam to już wtedy” – podkreśliła w rozmowie z BBC. Autobiografia ma być jej ostatnim aktem. Przejściem na emeryturę. O’Connor wprawdzie szykuje się do wydania kolejnej płyty, ale jednocześnie ceni nudne życie, które prowadzi na prowincji. „Mam 55 lat. Jestem zmęczona. Toczyłam dobrą walkę. Ale teraz cenię przewidywalność. To samo każdego dnia” – mówi.

*Na własne życzenie Niemcy
ponoszą porażkę w europejskiej
rozgrywce o kształt zmiany
energetycznej, która od lat była ich
narodowym znakiem firmowym*



Triumf doktrynerstwa nad polityką



JAN ROKITA

Der Spiegel” ubolewa w wielkim nagłówku nad tym, że „chaos rządowy w Berlinie daje polityczny sukces Macronowi”, a grobowy ton hamburskiego tygodnika nie odbiega nadto od tonu innych niemieckich mediów. To fakt, że trudno

ostatnio nie zauważyć rozbieżności myślenia o energetycznej przyszłości Europy pomiędzy lewicowym kanclerzem Olafem Scholzem i jego zielonym zastępcą Robertem Habeckiem. Ale ten „chaos w rządzie” nie jest przyczyną, ale skutkiem zapętłającego się nad Niemcami energetycznego „węzła gordyjskiego”, którego Berlin ani nie potrafi już rozsupłać, ani nie ma odwagi przeciąć. Niemcy wpadły bowiem w sidła wymyślonej przez same siebie antyatomowej doktryny, w którą nie tylko uwierzyli, lecz jeszcze traktują ją z właściwą sobie pedanterią czy wręcz fanatyzmem. Na zdrowy polityczny rozum aż trudno pojąć, dlaczego

europejskie mocarstwo, dysponujące rozległymi wpływami w Europie, przedkłada wierność jakiejś wykoncypowanej przed laty doktrynie ponad swoje oczywiste polityczne i ekonomiczne interesy. I z polityczną desperacją, trudną do zrozumienia dla nie-Niemca, prze do swej spektakularnej europejskiej porażki, przy okazji sprawiając sobie samemu niezliczone i długotrwałe kłopoty, które nie skończą się zapewne nawet w ciągu najbliższej dekady.

Nowa zielona minister środowiska Steffi Lemke z najzupełniej „niepolityczną” otwartością przyznaje ostatnio, że gdy idzie o kształt europejskiej zmiany

energetycznej, Berlin woli klęskę od jakiegokolwiek kompromisu z własnymi zasadami. I to nawet jeśli te zasady uderzają w zdrowy rozsądek i oczywiste interesy zarówno Niemców, jak i państwa niemieckiego. Lemke przewiduje, iż nad sprzeciwem Niemiec wobec kształtu europejskiej zmiany energetycznej nawet nie dojdzie do głosowania w Radzie Unii. „Muszę przyznać – mówi niemiecka minister – że prawdopodobieństwo zebrania tej liczby państw, jaka jest potrzebna do złożenia sprzeciwu, nie jest zbyt wysokie”. My w Polsce musimy z kolei przyznać, że nie jesteśmy przyzwyczajeni do tak defensywnej i z góry zakładającej fiasko niemieckiej polityki w Europie. Triumf niemieckiego doktrynerstwa nad niemiecką polityką jest tu aż zaskakujący. Co prawda doktrynerstwo bywało często w przeszłości inspiracją niemieckiej polityki, to bodaj nigdy dotąd Niemcy tak jasno nie przyjmowały z góry do wiadomości porażki zarówno własnej doktryny, jak i własnych państwowych interesów.

DOKTRYNA WALKI Z ATOMEM

W zasadzie jest już pewne, że Europa pójdzie całkiem innym torem od tego, który wyznaczyć chciała w roku 2011 Angela Merkel, gdy ogłaszała niemal z dnia na dzień odwrócenie dotychczasowej strategii energetycznej niemieckiej chadecji i nowy rewolucyjny program Energie-wende. Co prawda najważniejszą i przełomową naonczas doktrynę o likwidacji energetyki jądrowej do roku 2022 Berlin realizuje do dziś z istic niemiecką determinacją. Dlatego o północy w sylwestra 2021 r. na polecenie rządu wyłączono – zgodnie z tym planem – kolejne reaktory jądrowe o mocy 4 GW. Gdyby rząd Scholza (zrobmy sobie taką pouczającą zabawę myślową) zmienił starą strategię Merkel i zamiast wyłączać trzy sprawne i bezpieczne elektrownie, położone koło Hamburga, Hanoweru i Monachium, postanowił wysłać produkowaną przez nie moc do Polski, to zaspokoiłoby to połowę potrzeb polskiego przemysłu, ograniczając do minimum nasze kłopoty z prądem i ułatwiając nam przyjęcie europejskiego planu zielonej rewolucji, zawartego w pakiecie Fit for 55. Dziewięć lat temu – w lipcu 2013 r. – Berlin potrafił w ciągu jednego dnia wprowadzić

w prerażenie Komisję Europejską pod wodzą Barrosa, kiedy Anglicy wylobbowali po raz pierwszy decyzję o uznaniu atomu za pożądane i wspierane przez Unię źródło energii w Europie, Reuters zaś przedwcześnie ujawnił projekt Komisji. „Nein” – wypowiedziane wtedy nieoficjalnie, ledwie politycznym szepcikiem, przez Merkel sprawiło, że Komisja ze wstydem zaczęła się wypierać przygotowanych przez samą siebie projektów.

Różnica wobec tamtego czasu jest taka, że dziś mało kto w Brukseli przejmuje się żywiołowymi protestami wicekanclerza Habecka, odpowiadającego za zieloną rewolucję w nowym niemieckim rządzie. Francusko-unijny komisarz ds. europejskiego rynku wewnętrznego Thierry Breton tak dalece zaś ignoruje niemieckie protesty, że całkiem na przekór obwieszcza konieczność wielkich unijnych inwestycji w energię atomową. „Unia wyda 50 mld euro do roku 2030 na inwestycje jądrowe – mówi Breton – a do roku 2050 musi sfinansować inwestycje w energetykę atomową rzędu 500 mld euro, jeśli naprawdę chce przeprowadzić zieloną transformację i rewolucję przemysłową na bezprecedensową skalę”. Francuz dość bezceremonialnie dokonuje swoistego wrogiego przejęcia wielkiego programu zmiany energetycznej, w której Niemcy zawsze chciały być czempionem. Robi to na dodatek w chwili, gdy Zieloni właśnie zdobyli po latach udział we władzy w Berlinie, rząd Scholza zaś ma ambicję dowieść, iż co do „zielonej Europy” będzie jeszcze bardziej przebojowy, aniżeli była Merkel.

Tyle tylko, że w wersji Bretona europejska zielona transformacja ma całkiem inną naturę, niżli niemiecka Energie-wende. Opiera się ona bowiem na dwóch równoprawnych źródłach niskoemisyjnej energii: wiatrakach i słońcu z jednej strony oraz atomie z drugiej. Taki model jest nie tylko realistyczny, lecz przede wszystkim wygodny dla Francji, która aż przeszło 70 proc. swoich potrzeb energetycznych zaspokaja z elektrowni atomowych.

Tymczasem model niemiecki, na przekór wygórowanym ambicjom rządu Scholza, sprawia ostatnio coraz większe kłopoty samym Niemcom. Właśnie w tych dniach prestiżowy think tank Agora Energiewende opublikował roczny

raport, którego konkluzje są prawdziwym ciosem dla niemieckich Zielonych, a i nam w Polsce muszą się wydać zaskakujące. W nagłówku raportu instytut wybija główną tezę wynikającą z szczegółowych badań. Brzmi ona tak: „Spadek udziału energii odnawialnej w niemieckim miksie energetycznym i znaczny wzrost emisji gazów cieplarnianych stoją w sprzeczności z niedawno podniesionymi celami klimatycznymi na 2030 r., luka zaś w realizacji niemieckich celów klimatycznych jest większa niżli kiedykolwiek dotąd”. Dalej następuje całe pasmo coraz bardziej zdumiewających liczb pokazujących, jak rośnie znaczenie najbardziej brudnego węgla brunatnego i gazu w niemieckiej energetyce, a w ślad za tym – niemiecka emisja dwutlenku węgla i jeszcze bardziej niebezpiecznego metanu. W przypływie instynktu politycznego wicekanclerz Habeck już obwieścił, iż zarówno w roku 2022, jak i w 2023 Niemcy nie wywiążą się z podjętych zobowiązań klimatycznych.

PORAŻKA DEKARBONIZACJI

To jedna porażka. Ale jest i druga, niewinna ani dla polityków, ani dla społeczeństwa niemieckiego. Ceny energii dla gospodarstw domowych są w Niemczech najwyższe w Europie. A dostawcy prądu, nie chcąc dodatkowo uderzać w swych dotychczasowych klientów, wyżywają się na klientach nowych, którym rachunki podniesiono właśnie średnio o 172 proc.! Strach teraz w Berlinie czy Hamburgu zmieniać miejsce zamieszkania albo zakładać rodzinę. To wynik długoletniej polityki gabinetu Merkel, który, ratując doraźnie niemiecki bilans energetyczny, intensywnie budował wiatraki, aby zastąpić moc zamykanych elektrowni atomowych, jednocześnie utrzymując albo nawet w niektórych latach zwiększając zależność kraju od węgla. Dzisiaj, gdy lawinowo rosną ceny unijnych pozwoleń emisyjnych, mechanizmów uderza w niemieckich odbiorców energii w stopniu większym aniżeli w odbiorców polskich (z czego zresztą często słabo zdajemy sobie sprawę), bo i niemiecki poziom emisji jest ciągle sporo wyższy od polskiego. To niezwykle ciekawa rzecz, jeśli uświadomić sobie, że trwająca od 2011 r. niemiecka Energiewende nie miała de facto dotąd na celu zmniejszenia emisji

gazów cieplarnianych (jak często sądzi się nie tylko w Polsce), ale zastąpienie likwidowanej na gwałt ze względów doktrynalnych energetyki jądrowej. Jeśli tylko popatrzeć na precyzyjne niemieckie statystyki z ostatniej dekady, teza taka nie budzi najmniejszych wątpliwości.

W 2014 r. Sigmar Gabriel, ówczesny wicekanclerz i lider socjalistów, lobbował w szwedzkim koncernie Vattenfall, aby ten rozwijał inwestycje w niemieckiej energetyce węglowej. Nieco wcześniej Gabriel mówił amerykańskiemu klimatologowi Jamesowi Hansenowi, że „stosowanie węgla w Niemczech jest konieczne, ponieważ zapadła ostateczna, nienegocjowalna, polityczna decyzja o wycofaniu się kraju z energetyki jądrowej”. To, co szczególnie charakterystyczne w słowach niedysyjszego wicekanclerza, to owa „polityczność” i „nienegocjowalność” decyzji o likwidacji atomu. Zarówno niemieccy politycy, jak i eksperci są przecież nie od dziś świadomi, że rozwijanie atomu sprzyja polityce klimatycznej, jego likwidacja zaś torpeduje ochronę klimatu. Teraz dopiero, w dość bezceremonialnej formie, przyznaje to francuski komisarz unijny.

Ale w Berlinie raz przyjęta doktryna jest silniejsza aniżeli jakakolwiek kalkulacja polityczna, gospodarcza czy klimatyczna. Walka z atomem jest do dziś najgłębszą doktryną państwową Republiki Federalnej. Wcale nie jest nią – jak się zazwyczaj sądzi – przyspieszona ochrona klimatu; ta jest dopiero najwyżej na drugim miejscu. Ale rząd Scholza, a zwłaszcza wicekanclerz Habeck i partia Zielonych cały czas robią dobrą minę do złej gry, przekonując, że wprawdzie Merkel nie udało się pogodzić tych dwu sprzecznych celów, to obecna ekipa dysponuje jakimś cudownym remedium, które potrafi przezwyciężyć ową sprzeczność.

Do tego wszystkiego dochodzi jeszcze niemiecka geopolityka gazowa, która w takich warunkach nakazuje za wszelką cenę akceptować rosnącą zależność od gazu rosyjskiego i sławetnej rury bałtyckiej. O ile Zieloni, słabo ciągle przystosowani do sprawowania władzy, mają nadal skłonność do udawania, iż realne dylematy energetyczne nie istnieją, o tyle

chadecy i socjaliści mają silne wyczucie owych dylematów. Jeśli Niemcy z racji doktrynalnych muszą bowiem walczyć z atomem, a zarazem nie mogą się przyznać do porażki ambitnej polityki dekarbonizacji, to rosyjski gaz jest tu jedynym zbawieniem. Co prawda klimatycznie jest on także kiepski, gdyż zwiększa emisję metanu, ale biorąc od Rosji coraz więcej gazu, można przynajmniej jakoś urealnić obietnicę likwidacji węgla do końca obecnej dekady. I tak doktryna antyatombowa wiedzie logicznie do zależności od Kremla. Dzisiaj rozumie to już dobrze niemiecka publicystyka. Prawicowy „Die

Jeśli Niemcy z racji doktrynalnych muszą walczyć z atomem, a zarazem nie mogą się przyznać do porażki ambitnej polityki dekarbonizacji, to rosyjski gaz jest tu jedynym zbawieniem

Welt” pisał niedawno, iż „niestety Niemcy wolą gaz, więc tym samym gotowe są zmusić całą Europę do paktowania z Rosją”. Nie dziwota, że amerykański „Wall Street Journal” już jakiś czas temu nazwał tę całą niemiecką strategię „najgłupszą polityką energetyczną na świecie”.

ZIELONA LEGENDA

Tak naprawdę nie ma dobrego wytłumaczenia tego niemieckiego antyatombowego fanatyzmu. Najczęstszą próbą objaśniania owego fenomenu jest odwoływanie się do historycznego dziedzictwa niemieckiej tożsamości, a zwłaszcza niemieckiego romantyzmu, zanurzonego w mało racjonalnym kulcie natury, lasu, folkloru i słońca. Współczesny niemiecki pacyfizm, wegetarianizm, naturyzm, a w efekcie także polityczna siła ruchu Zielonych mają niewątpliwie zakorzenienie duchowe w tym nurcie niemieckiej tradycji. Faktem jest, że

geneza partii Zielonych sięga właśnie potężnego w latach 70. ubiegłego wieku ruchu antyatombowego, który wówczas obracał się zarówno przeciw amerykańskim rakietom, jak i niemieckim elektrowniom jądrowym. Do zielonej legendy z tamtych lat należy zwycięska walka z rządem kanclerza Schmidta i siłami policyjnymi, jaką ówczesni aktywiści stoczyli w lasach koło badeńskiego miasteczka Wyhl, w dolinie górnego Renu, gdzie udało się po ciężkich starciach z policją zablokować budowę elektrowni jądrowej. Cała znana nam dziś tak dobrze radykalna ideologia klimatyczna zrodziła się o wiele, wiele później, będąc swego rodzaju dodatkiem do źródłowych – czyli antyatombowych – pokładów niemieckiego ekologii.

Być może tamta historia, jak i stare romantyczne źródła niemieckiej tożsamości w jakimś stopniu tłumaczą współczesne niemieckie doktrynerstwo antyatombowe. Niemniej jednak to, co kluczowe dla dzisiejszej polityki, to fakt, iż inaczej niżli w ciągu ubiegłych dziesięcioleci Niemcy zaczynają w Europie przegrywać, dlatego właśnie, że jak pijany płotu trzymają się raz przyjętej doktryny. Przez długie lata Berlin miał zdolność pacyfikowania całej Unii poprzez narzucanie jej własnych doktryn politycznych. Ten czas najwyraźniej mija, a po odejściu „cesarzowej” Merkel niemiecki prymat w Unii wyraźnie słabnie. Jeszcze niedawno nie do pomyślenia była sytuacja, w której kanclerz Niemiec stanowczo i publicznie sprzeciwiałby się jakiejś decyzji unijnej, a Bruksela jakby nigdy nie i tak robiła swoje. Tak jest dziś zresztą nie tylko z niemiecką polityką energetyczną, lecz również z coraz bardziej oderwaną od realiów wizją federalistycznej organizacji kontynentu, ogłoszoną przez nowy socjalliberalno-zielony gabinet.

Z polskiej perspektywy najistotniejsze jest to, że nawet jeśli w sprawie atomu nasz kraj od dawna znajduje się w obozie „francuskim”, a nie „niemieckim”, to każda energetyczna perturbacja gospodarki niemieckiej jest dużym ryzykiem dla Polski, zważywszy na to, iż gospodarki obu krajów tworzą dziś ściśle zintegrowaną i współzależną strefę ekonomiczną. 

Dom Konferencyjny w Wannsee.
19 stycznia 1992 r. otwarto tam muzeum.
W latach 1941–1945 willa służyła jako hotel
i miejsce obrad SS. To tam zdecydowano
o zagładzie 11 mln ludzi
(wymordowano w sumie 6 mln)

Zbrodnia bez kary

Zbrodnia ludobójstwa Żydów na naszych ziemiach mogła się dokonać tylko po zniszczeniu państwa polskiego oraz na skutek uruchomienia niemieckiej maszyny państwowej, która podjęła się skomplikowanego logistycznie zadania przemysłowej eksterminacji milionów istnień ludzkich



GRZEGORZ GÓRNY

Dokładnie 80 lat temu, 20 stycznia 1942 r., w luksusowej rezydencji na przedmieściach Berlina doszło do śniadania roboczego, które przeszło do historii pod nazwą konferencji w Wannsee. Tamtego dnia 15 mężczyzn, spożywając w miłej atmosferze poranny posiłek, w ciągu półtorej

godziny zadecydowało o zagładzie 11 mln ludzi. Po latach podczas procesu w Jerozolimie uczestnik tamtego wydarzenia Adolf Eichmann powie, że w Wannsee „omawiano różne sposoby zabijania”, jednak w sporządzonym przez niego protokole znajdują się eufemizmy w rodzaju „ewakuacja” lub „deportacje”.

Podczas wspomnianej konferencji nie podjęto decyzji o ludobójstwie. Ta zapadła znacznie wcześniej na wyższym szczeblu. Zebrani mężczyźni nie dyskutowali, czy zabijać Żydów, ale jak to zrobić. Wszyscy odznaczeni się obowiązkowością, pracowitością i rzetelnością, dlatego starali się jak najlepiej wykonać powierzone im zadanie.

Naradę prowadził szef Głównego Urzędu Bezpieczeństwa Rzeszy (RSHA) Reinhard Heydrich. To właśnie

Fot. Fotinia

on 31 lipca 1941 r. dostał oficjalne pismo od marszałka Hermanna Göringa, by podjąć „wszelkie niezbędne przygotowania do globalnego rozwiązania kwestii żydowskiej na europejskim obszarze wpływów niemieckich”. Spotkanie w Wannsee było logiczną konsekwencją tego polecenia. Chodziło o podział zadań i nadanie ludobójstwu charakteru przemysłowego.

TRZECI ETAP ROZPRAWY Z ŻYDAMI

23 maja 1941 r. podziemny „Biuletyn Informacyjny”, wydawany przez Związek Walki Zbrojnej, pisał, że Niemcy przeprowadzili już dwa etapy rozprawiania się z Żydami – „okres obezwładnienia i okres odosobnienia”. Obezwładnianie polegało na grabieży całego majątku żydowskiego (fabryk, warsztatów, magazynów, banków), zablokowaniu kont bankowych, przymusowych zwolnieniach z pracy, zamknięciu wszystkich żydowskich szkół, zakazie wstępu do bibliotek, teatrów, kin, kawiarni, parków itd. Do tego dochodziło publiczne poniżanie przez obywateli noszenia opasek, korzystania z osobnych wagonów tramwajowych i kolejowych czy nakaz ustępowania z drogi i kłaniania się Niemcom. Drugi etap (odosobnienia) polegał na przymusowym zamknięciu Żydów w gettach, gdzie żyli stłoczeni w tragicznych warunkach sanitarnych, skazani na permanentne niedożywienie z powodu głodowych racji żywnościowych, które im przyznawano.

Autor tekstu w „Biuletynie Informacyjnym” zastanawiał się, jak będzie wyglądał trzeci etap rozprawiania się z Żydami. Prognozował, że będzie to „stopniowe wymieranie z nędzy, głodu i chorób zakaźnych”. Nie przypuszczał zapewne, iż „naród myślicieli i poetów” (das Volk der Denker und Dichter) dopuści się zorganizowanego w sposób przemysłowy ludobójstwa na masową skalę.

Zmianę statusu populacji żydowskiej na okupowanych przez Niemców terytoriach przyniósł atak Trzeciej Rzeszy na Związek Sowiecki 22 czerwca 1941 r. Przedtem w Berlinie rozważano koncepcję

masowego wysiedlenia Żydów na Madagaskar lub na podbite ziemie Związku Sowieckiego. Wojna na wschodzie przedłużała się jednak, co sprawiało, że plany te okazały się niewykonalne. Na dodatek pod panowaniem Niemców znalazły się kolejne rzesze Żydów. Zapadła zatem decyzja, by ich mordować. W ślad za frontowymi jednostkami Wehrmachtu posuwały się więc specjalne oddziały SS, tzw. Einsatzgruppen, które dokonywały masowych rozstrzeliwań żydowskiej ludności cywilnej.

Protokół sporządzony przez Adolfa Eichmanna nie pozostawia wątpliwości, że wina kryminalna za zbrodnie ludobójstwa spoczywa na najwyższych rangą urzędnikach państwa niemieckiego, wina polityczna zaś – jak pisał Karl Jaspers – na narodzie niemieckim

Eksterminacja polegała na tym, że spędzano skazańców do specjalnych miejsc, najczęściej położonych w lasach, z dala od ludzkich siedzib, i tam uśmiercano ich strzałami z broni palnej, zakopując zwłoki w dołach (jak np. w Ponarach pod Wilnem czy w Babim Jarze pod Kijowem). W ten sposób do końca 1941 r. zgładzono około miliona Żydów ukraińskich, besarabskich, białoruskich i bałtyckich. Niekiedy do pomocy w zabijaniu wykorzystywano miejscowych kolaborantów, np. litewskich strzelców z oddziałów Ypatingasis Būrys.

Z niemieckiego punktu widzenia ten sposób miał jednak istotne wady. Po pierwsze, w lasach nie można było wymordować i zakopać zbyt wielu ludzi naraz. Po drugie, proces przebiegał zbyt wolno w stosunku do założonych planów. Po trzecie, mordowanie dzień w dzień tysięcy kobiet, starców i dzieci

pozostawiało ślad na psychice niemieckich żołnierzy, którzy wpadali w alkoholizm, depresję, a nawet popełniali samobójstwa. W związku z tym Niemcy, z charakterystyczną dla siebie precyzją i metodycznością, postanowili przeprowadzić ludobójstwo w sposób zorganizowany przemysłowo.

NIEMIECKA MACHINA ŚMIERCI

Przeprowadzenie tak skomplikowanego logistycznie przedsięwzięcia jak planowane wymordowanie 11 mln ludzi wymagało uruchomienia całej maszyny państwowej. Dlatego w Wannsee spotkali się nie tylko wyżsi oficerowie SS, które było odpowiedzialne za „ostateczne rozwiązanie kwestii żydowskiej”, lecz także przedstawiciele niemieckich ministerstw i urzędów centralnych, reprezentujący m.in. resorty spraw wewnętrznych, sprawiedliwości, gospodarki, pracy, finansów, żywności, transportu i uzbrojenia oraz amunicji. Chodziło o wspólne stworzenie efektywnego mechanizmu, który podolałby gigantycznemu zadaniu, jakie postawili przed sobą władze Niemiec. Obowiązek skoordynowania wysiłku wszystkich instytucji spoczął na Adolfie Eichmannie.

Żaden z uczestników konferencji nie miał skrupułów czy zastrzeżeń natury moralnej. Ich uwagi czynione między jednym a drugim kęsem posiłku czy lykiem kawy lub herbaty dotyczyły jedynie kwestii technicznych. Josef Bühler z Generalnego Gubernatorstwa domagał się, aby eksterminację rozpocząć od Żydów polskich. Erich Neumann z Urzędu Pełnomocnika ds. Planu Czteroletniego chciał z kolei, by najbardziej sprawnych fizycznie Żydów wykorzystać jako tanią siłę roboczą do pracy przymusowej na rzecz Trzeciej Rzeszy. Reinhard Heydrich zastrzegł jednak, że tych, którzy zdołają przeżyć w niewolniczych warunkach, należy potraktować jako szczególnie niebezpiecznych i wymordować, ponieważ jako najsilniejsi mogliby w przyszłości „stanowić komórkę załazkową podźwignięcia się żydostwa na nowo”.

Planując masową operację zagłady, Niemcy pierwotnie próbowali uśmiercać

ofiary za pomocą spalin w zamkniętych szczelnie samochodach. Ten sposób zabijania praktykowali już wcześniej w ramach zapoczątkowanej w 1939 r. akcji T-4, gdy wymordowano ponad 200 tys. osób niepełnosprawnych, chorych umysłowo, porzuconych w przytułkach itd. Ten rodzaj odbierania życia uznano jednak za zbyt mało wydajny wobec rosnących potrzeb państwa niemieckiego.

Berlin postanowił skorzystać więc ze swych doświadczeń na okupowanych ziemiach polskich. Już jesienią 1941 r. w Kraju Warty powstał pierwszy obóz śmierci w Chełmnie nad Nerem, a niedługo potem w Generalnym Gubernatorstwie – w Bełżcu. Ten ostatni uruchomiony został z inicjatywy dowódcy SS i policji w dystrykcie lubelskim Odilo Globocnika, który prześcigał się wprost w pomysłach mordowania Żydów, przekonując do nich Heinricha Himmlera.

W ten sposób miejscem „ostatecznego rozwiązania kwestii żydowskiej” stały się obozy zagłady. Wszystkie z nich były niemieckimi instytucjami państwowymi, powstałymi z budżetu państwa niemieckiego i zatrudniającymi pracowników na państwowych posadach. Obozy korzystały z wielostronnej pomocy państwa, mając dostęp do wykwalifikowanej kadry urzędniczej oraz infrastruktury transportowej. Piecze krematoryjne i komory gazowe konstruowali niemieccy inżynierowie, którzy doskonale zdawali sobie sprawę, do czego posłużą ich dzieła.

Zgodnie z logiką optymalizacji Niemcy zorganizowali fabryki śmierci na ziemiach polskich ze względów praktycznych. Przede wszystkim istniało tam największe skupisko ludności żydowskiej w Europie. Poza tym terytorium podbitej Polski z jednej strony miało centralne położenie w Europie i dysponowało wystarczającą infrastrukturą kolejową, a z drugiej było odizolowane od wolnego świata, dlatego łatwiej można było tam dokonać i ukryć przed międzynarodową opinią publiczną tak olbrzymią zbrodnię.

NIEROZLICZONE ZBRODNI

Pośród 15 uczestników konferencji w Wannsee na karę śmierci za zbrodnie przeciwko ludzkości skazanych zostało

tylko trzech. Wpisuje się to doskonale w szerszy scenariusz denazyfikacji, która była po wojnie w RFN niezwykle powierchowna i pobłażliwa dla zbrodniarzy wojennych, o czym przekonują losy licznych esesmanów, m.in. kata powstania warszawskiego Heinza Reinefartha, zmarłego w 1979 r. jako szanowany obywatel miasta Westerland na wyspie Sylt, czy Gerharda Klopfera, reprezentującego w Wannsee centralę NSDAP, który dożył spokojnej starości jako emerytowany adwokat w Ulm i zmarł w roku 1987.

Kwestia nierozliczonych zbrodni dotyka szerszego zagadnienia, a mianowicie problemu winy. Po wojnie niemiecki filozof Karl Jaspers, który nie splamił się współpracą z nazistowskim reżimem, a w latach 1937–1945 był objęty zakazem nauczania, napisał głośną książkę poświęconą tej właśnie problematyce. Wyróżnił w niej cztery rodzaje winy: kryminalną, polityczną, moralną i metafizyczną.

Najtrudniej jest wypowiadać się o winach moralnej i metafizycznej, ponieważ dotyczą one czyjegoś życia wewnętrznego – w pierwszym przypadku ostateczną instancją jest sumienie, w które nie mamy wglądu; w drugim – Bóg, w którego rolę ryzykownie jest się wczuwać.

Znacznie łatwiej jest zbadać winę kryminalną i polityczną. Pierwsza z nich dotyczy konkretnych czynów, które powinny zostać osądzone i należyście ukarane. W tym sensie olbrzymia rzesza niemieckich zbrodniarzy nigdy nie została pociągnięta do odpowiedzialności za swe czyny lub ukarana ich jedynie symbolicznie.

WINA BEZ ZADOŚĆUCZYNIENIA

Jaspers pisał, że wszystkie wspomniane rodzaje winy mają charakter indywidualny – oprócz jednej: winy politycznej, która ma wymiar zbiorowy. Wynika ona z faktu, że to Niemcy jako naród w wyborach parlamentarnych wynieśli narodowych socjalistów do władzy, a potem przez lata popierali rządy Hitlera, czerpiąc z nich korzyści. Dlatego też muszą ponieść za to odpowiedzialność, od której nie ma ucieczki. Autor uważał, że żaden Niemiec nie jest wolny od tej winy – nawet on sam, który nigdy

nie kolaborował z nazistowskim reżimem. Konsekwentnie zatem napisał swą książkę w pierwszej osobie liczby mnogiej: „my, Niemcy”, utożsamiając się w ten sposób z niemieckim losem.

Wina polityczna – jak dowodził Jaspers – wymaga zadośćuczynienia, czyli przyjęcia na siebie wszystkich konsekwencji z nią związanych, takich jak np. reparacje wojenne, odszkodowania, poddanie się wysiedleniom czy pozbawienie lub ograniczenie praw politycznych na skutek denazyfikacji. Jest to wina, która ciąży także na następnych pokoleniach, o czym świadczy np. fakt wypłacania odszkodowań robotnikom przymusowym w Trzeciej Rzeszy nawet w XXI w.

Podobnie jak przy winie kryminalnej także w tym przypadku nie można mówić o sprawiedliwym rozliczeniu się z własną przeszłością. Dowodem tego jest trwające do dziś uchylanie się od zapłacenia należnych odszkodowań za zniszczenia wojenne Polsce czy Grecji.

Charakterystyczną metodą, której często używają niemieccy polemisci, jest pomieszanie różnego rodzaju win w ujęciu Jaspersowskim. Polega ono na podkreślaniu swej winy politycznej, ale wyciąganiu wobec niej konsekwencji wynikających z przyjęcia winy moralnej i metafizycznej. Oznacza to, że wyznajmy grzechy, wyrażamy żal, okazujemy skruchę, inicjujemy proces odnowy moralnej, a jednocześnie ma to nas zwalniać od obowiązku zadośćuczynienia materialnego za dokonane zbrodnie. W tym duchu nawet orędzie biskupów polskich z 1965 r. „Przebaczamy i prosimy o przebaczenie” bywa interpretowane wręcz jako zrzeczenie się jakichkolwiek roszczeń za zniszczenia wojenne, co jest oczywiście nieprawdą.

Okrągła rocznica konferencji w Wannsee stanowi dobrą okazję, by o tym wszystkim przypomnieć. Tym bardziej że w ostatnich latach odpowiedzialnością za dokonanie Holokautu próbuje się obdzielić także innych, w tym Polaków. Protokół sporządzony przez Adolfa Eichmanna nie pozostawia jednak wątpliwości, że wina kryminalna za zbrodnie ludobójstwa spoczywa na najwyższych rangą urzędnikach państwa niemieckiego, zaś wina polityczna – jak pisał Karl Jaspers – na narodzie niemieckim.

*77 lat temu wojska
polskie i sowieckie zajęły
Warszawę. Zajęły,
bo trudno byłoby nazwać
rozgrywające się tego
dnia wydarzenia
bitwą. Zarówno
większość Niemców,
jak i polskich cywili
opuściła już miasto.
Pozostało morze
gruzu, choć i na nim
trafiały się wyspy*

Archipelag Warszawa



WOJCIECH LADA

17 stycznia 1945 r. Armia Czerwona wyzwoliła Warszawę. Tak brzmiała oficjalna wersja wydarzeń. W niedawno wydanej, świetnej i zdaje się dość popularnej już książce „Wstecz” Błażej Brzostek zaproponował jednak inne słowo niż „wyzwolenie”. Historyk uznał mianowicie, że znacznie lepszym pojęciem będzie w tym przypadku to używane w wewnętrznym żargonie ówczesnych służb, a mianowicie „obsadzenie”. Istotnie, Warszawa została tego dnia przede wszystkim obsadzona.

Śródmieście południowe szczególnie upodobał sobie członkowie władz Polskiej Partii Robotniczej, sadowiąc się przy ul. Mazowieckiej, przy pl. Na Rozdrożu oraz w al. Róż. NKWD preferowało ściślej centrum. Funkcjonariusze zajęli więc sporą część hotelu Polonia, ocalałe kamienice przy ul. Marszałkowskiej w okolicach pl. Zbawiciela, a także przy ul. Wilczej. O znaczeniu zaś polskiej bezpieki w strukturze ówczesnych władz wiele mówi choćby to, że ich siedziby znalazły się raczej na peryferiach miasta. Na Woli przy ul. Górczewskiej, na Żoliborzu przy ul. Pogonowskiego, choć także przy ul. Grażyny na Mokotowie.

Można się śmiać ze sporów kompetencyjnych wśród prekursorów nowego systemu, ale topografia nowej władzy wiele mówi również o tym, co właściwie tego dnia obsadzano. „To, co zostało z Warszawy, miało strukturę wyspów: wokół szczątków śródmieścia i pustyni dzielnicy północnej [mniej więcej rejon getta – przyp. aut.] rozbiegały się nitki ulic o zabudowie na ogół nijakiej i luźnej, które wiązały wyspy Bielna, Marymontu, Żoliborza, Bródna, Targówka, Grochowa, Saskiej Kępy, Czerniakowa, Mokotowa, Ochoty, Koła, Powązek” – pisze Brzostek. „Wyspy te, choć pokiereszowane, opalone – przetrwały w swych kształtach. Zachowało się to,



Defilada Pierwszej Armii Wojska Polskiego na ulicy Marszałkowskiej w Warszawie, 19 stycznia 1945 r.

Fot. Wojcikowa Agencja Fotograficzna

co w Warszawie było najlichsze, ale też to, co najnowocześniejsze. Nie ocalało natomiast jej serce: dlatego też wielu sądziło, że Warszawa została zabita”.

KŁĘSKA MEGALOMANII

Określenie „Paryż północy” stosowane było w odniesieniu do przedwojennej Warszawy jednak cokolwiek na wyrost. Rzecz jasna nie brakowało budynków, placów, a zwłaszcza parków, które mogłyby stać się dumą największych metropolii ówczesnej Europy, ale wystarczyło przejść parę kroków na ich zaplecze, by zetknąć się z nędzą skłconych z byle czego baraków, zapleśniałych, robotniczych czynszówek czy terenów na wpół wiejskich, które rozciągały się tam, gdzie dziś kwitną największe dzielnice stolicy. Były wspaniałe kabarety, teatry i sale koncertowe, ale wszystko to upchane na stosunkowo niewielkiej przestrzeni, którą w zasadzie dałoby się obejść na piechotę podczas dłuższego spaceru.

Warszawa 20-lecia miała bowiem dwa urbanistyczne problemy, pozostawione w spadku po caracie, których po prostu nie zdążono pokonać przed wybuchem wojny. Pierwszym było to, że w polityce rosyjskiej Warszawa była miastem peryferyjnym. Stolicą jednej z dziesiątków guberni Imperium – jak traktowano Polskę po powstaniach. Nie istniał żaden rozsądny powód, by

w miasto inwestować – tym bardziej że leżało na potencjalnym terenie frontowym w wypadku wybuchu wojny z Niemcami. Jedyne więc, co w mieście robiono, to dostosowywano je do ogólnorosyjskiej normy: coraz jaśniej oświetlano latarniami, począwszy od lat 20. XIX w., a od 1866 r. kanalizowano i skomunikowano tramwajami. Ze strategicznego położenia Warszawy wynikał też drugi problem. Otóż pod koniec lat 70. XIX w. Warszawa została uznana oficjalnie za twierdzę i z pewnym opóźnieniem otoczono ją dwoma pierścieniami nieodległych od siebie fortów. Wyzaczyły one granice miasta, poza którą nie mogło się ono rozbudować.

Z tego ostatniego wynikał też trzeci problem. Otóż z biegiem XIX w. Warszawa stawała się w coraz większym stopniu miastem przemysłowym. Bardziej niż o piękno dbano więc o jego użyteczność. Gdzieś pomiędzy powstaniem styczniowym a rewolucją 1905 r. liczba warszawskich robotników wzrosła niemal ośmiokrotnie, z niespełna 6 tys. w 1863 r., osiągając pułap blisko 50 tys. na początku XX w. Rozwój miasta szedł więc raczej w kierunku ich pomieszczenia, a nie rozbudowywania przestrzeni estetyczno-reprezentacyjnej. Po odzyskaniu niepodległości problem ciasnoty pozostał, zniknęły natomiast ograniczenia przestrzenne – cała urbanistyczna para szła więc teraz w budowę dzielnic peryferyjnych, mających odciążyć

duszące się śródmieście. Stąd właśnie powstające wówczas błyskawicznie „superdzielnice” – wyposażone we własne zaplecze handlowo-usługowe – na Mokotowie, Żoliborzu, Powiślu czy Saskiej Kępie. Nawiasem mówiąc, to właśnie w nich przetrwały wojnę niekiedy prawdziwe perły modernizmu.

Tymczasem śródmieście stało w miejscu. Owszem, pojawiały się śmiałe założenia architektoniczne. Mniej więcej na linii dzisiejszej Trasy Łazienkowskiej miała powstać monumentalna aleja biegnąca na zachód, na wysokości Pola Mokotowskiego rozwijająca się w dużą dzielnicę mieszkaniowo-reprezentacyjną Marszałka Piłsudskiego, dalej zaś biegnąca przez Ochotę i zwieńczona ogromnym stadionem. Wszystko to było zresztą ogromne: i planowana Świątynia Opatrzności Bożej, i pomnik Marszałka. Znaczącej też przebudowie miał ulec plac Saski, na wybrzeżu Wisły miały powstać spacerowe bulwary. Wszystko to jednak pozostało w planach. Na ich realizację nie starczyło ani czasu, ani pieniędzy. Ale może nie stało się źle. Oglądane dziś projekty rażą monumentalizmem i raczej propagandowym niż estetycznym charakterem, wyraźnie potwierdzając megalomanię późnej sanacji. Nie mówiąc o tym, że istniałyby zapewne tylko kilka lat.

MINIATURYZACJA AGLOMERACJI

20 lat to zdecydowanie za mało, by radykalnie zmienić charakter całego miasta, w chwili wybuchu wojny centrum Warszawy było więc mniej więcej tym samym organizmem, który Polska odziedziczyła po zaborcach. Jedyną poważniejszą aktywnością było rozebranie cerkwi na placu Saskim – czego zresztą można dziś żałować, była bowiem bardzo piękna. To, co się zmieniło, to ówczesne peryferia, czyli wyspy, o których pisał Brzostek. I one właśnie najmniej zainteresowały niemieckich lotników, którzy praktycznie od początku działań wojennych zrzucali tony bomb głównie na centrum miasta. Zazwyczaj myśli się, że zniszczenia Warszawy pochodzą przede wszystkim z okresu powstania i późniejszych, planowych wyburzeń, ale to nieprawda. Większość z nich po-



Ulica Wąski Dunaj na warszawskiej Starówce przed wojną i po niej

wstała we wrześniu 1939 r. 17 września np. Niemcy bombardowali Warszawę przez wiele godzin. To wtedy zburzono Starówkę z Zamkiem Królewskim i katedrą św. Jana, ale też setki kamienic mieszkalnych. „Znów Niemcy wystrzelili na Warszawę dziesiątki tysięcy pocisków, rzucili tysiące bomb burzących i zapalających. Setki domów stoi w ruinie. Płoną kościoły i zabytkowe pałace. Ginią bezcenne dzieła sztuki. Stokroć gorsze straty ponosimy w ludziach” – mówił wówczas, jak co dzień zresztą, prezydent Starzyński na antenie Polskiego Radia.

Prawdziwym kataklizmem był jednak 25 września, natychmiast ochrzczony z charakterystycznym dla warszawiaków wisielczym humorem „lanym poniedziałkiem”. Od siódmej rano przez cały dzień kolejnymi falami 400 bombowców zrzuciło łącznie 630 ton bomb burzących i zapalających. Szacuje się, że zginęło wówczas ok. 10 tys. mieszkańców, straty materialne określa się zaś jako „niemożliwe do oszacowania”. Były w każdym razie tak ogromne, że to właśnie one skłoniły władze miejskie do kapitulacji.

Aż takiej skali zniszczeń Niemcy nie planowali, choć okazało się wkrótce, że były one im bardzo na rękę. Hitler

chciał ujarzmić Warszawę i pozbawić ją charakteru centralnego ośrodka Polski, ale wtedy jeszcze chyba nie miał na to konkretnego pomysłu, bo pierwsze niemieckie plany wobec miasta pojawiły się dopiero wiosną 1940 r., choć już kilka miesięcy wcześniej – na wszelki wypadek – wydano ścisły zakaz odbudowy zniszczeń. Pierwszym projektem był tzw. plan Grossa, zakładający dalsze, planowe wyburzenia śródmieścia, by zrobić miejsce pod dzielnice willowe. Miało w nich mieszkać maksymalnie 200 tys. osób, rzecz jasna, Niemców. Skromniejszy charakter miał kolejny z projektów, zwany planem Pabsta. Liczbę mieszkańców szacował on na ok. 130 tys., a mieliby oni mieszkać na stosunkowo niewielkiej przestrzeni, ciągnącej się od Al. Jerozolimskich na północ. Resztę zabudowy planowano wyburzyć, Polaków wysiedlić na wschód, a ludność żydowską do getta, które miało się znajdować na terenie Bródna. Ciekawie w tej koncepcji wyglądał dzisiejszy plac Zamkowy. Otóż w miejscu zamku chciano zbudować wielką halę do masowych nazistowskich wieców ludowych, tam zaś, gdzie stoi dziś kolumna Zygmunta, wznosić się miał germański obelisk z wyobrażeniem bogini zwycięstwa.

W obu przypadkach Warszawa zamieniłaby się w małe, ciche i pewnie dość sielskie miasteczko. Trwała jednak wojna i wkrótce miała się przesunąć daleko na wschód, przeważały więc względy praktyczne i najbliższej wcielenia w życie była trzecia z koncepcji, tzw. plan Otto zakładający wielką rozbudowę trakcji kolejowej i stworzenie wielu ogromnych fabryk zbrojeniowych. Ogromnym jego entuzjastą był Hans Frank, który podczas jednego z zebrań w czerwcu 1943 r. dość jasno określił swoją wizję miasta. „Z doświadczeń wynika, że w swej idealnej postaci miasto Warszawa powinno stanowić jedną wielką fabrykę, jeden wielki dworzec i port [...] Z jednego w każdym razie trzeba sobie jasno zdać sprawę: nie można w żadnym wypadku dopuścić do tego, żeby tak zwane kierownictwo polskie zdołało ogłosić Warszawę swą stolicą”. I tego nie zdążono dokonać, choć bardzo się starano. Podwładny Franka, gubernator dystryktu warszawskiego Ludwig Fischer, wspominał później: „Rząd Generalnej Guberni nakazał mi zrobić wszystko, aby pozbawić Warszawę dotychczasowego charakteru centralnego ośrodka Rzeczypospolitej Polskiej, a zarazem przedsięwziąć wszystkie środki, by Warszawa, również pod względem rozmiarów zewnętrznych, nie tylko się nadal nie powiększała, lecz przeciwnie, uległa zmniejszeniu [...] W ciągu mej przeszło czteroletniej tutejszej działalności na stanowisku gubernatora ściśle trzymałem się powyższych wytycznych”.

ZNISZCZYĆ GRUNTOWNIE

Warszawa nigdy nie była miastem pięknym, w klasycznym tego słowa znaczeniu, ale tym, co wyróżniało ją na tle bardzo wielu innych miast, była jej żywotność. Zawsze była miastem dynamicznym i w tym sensie niczego nie zmieniła niemiecka okupacja. Kiedy architekci z Berlina szkicowali swoje plany, ci z Warszawy robili dokładnie to samo, tyle że w podziemiu. Jeszcze nie ostygły ruiny po wrześniowych

bombardowaniach, a gdzieś po piwnicach i zakonspirowanych lokalach rozrysowywali swoje wizje przyszłej Warszawy architekci i urbaniści z kilku różnych, niezależnych od siebie ośrodków. Kompletnie ignorując okupację, działały na wysokich obrotach Wydział Planowania Miasta Zarządu Miasta, Komitet Rzeczników, Wydział Architektury Politechniki Warszawskiej, a także Pracownia Architektoniczno-Urbanistyczna przy Stowarzyszeniu Architektów Polskich. Wokół narastał

Prawdziwym kataklizmem był 25 września 1939 r. Od siódmej rano przez cały dzień kolejnymi falami 400 bombowców zrzuciło łącznie 630 ton bomb burzących i zapalających. Szacuje się, że zginęło wówczas ok. 10 tys. mieszkańców, straty materialne określa się zaś jako „niemożliwe do oszacowania”. Były w każdym razie tak ogromne, że to właśnie one skłoniły władze miejskie do kapitulacji

terror okupanta, trwały łapaneki, wózki do obozów, masowe egzekucje, płonęło getto, w tych kregach rodziły się zaś projekty i wizje przyszłej stolicy, niektóre zresztą później wcielone w życie.

A potem wybuchło powstanie. Na wieść o nim Heinrich Himmler podjął decyzję o całkowitym zniszczeniu Warszawy. W przemówieniu z października 1944 r. oznajmił: „Uważam wszakże za szczęśliwe zrządzenie losu, że Polacy to robią. Za pięć–sześć tygodni opuścimy te obszary. Wtedy jednak już zniszczona będzie Warszawa, stolica i serce tego 16–17-milionowego na-

rodu, który od 700 lat blokuje wschód, a od bitwy pod Grunwaldem stale zagradza nam drogę w tym kierunku. Warszawa zniszczona zostanie wraz z jej inteligencją. W konsekwencji problem polski przestanie być problemem dla naszych dzieci, dla ich potomków, a nawet już dla nas. Wydałem natychmiast rozkaz, aby Warszawę zniszczyć gruntownie. Jeżeli chcecie, możecie nazwać mnie barbarzyńcą. Tak, jestem nim, ale tak być musi. Rozkaz brzmiał: »Każdy dom należy wypalić i wysadzić w powietrze tak, aby Warszawa nie stanowiła więcej strefy działań operacyjnych«”.

Efekt? Zniszczeniu uległo ponad 70 proc. budynków mieszkalnych, 90 proc. zabytkowych, tyle samo zakładów przemysłowych, obiektów kulturalnych i edukacyjnych. W tym kontekście stosunkowo dobrze poradziły sobie warszawskie drzewa, których poległo „zaledwie” 60 proc. I to była najlepsza wiadomość dla Armii Czerwonej, która dotąd spokojnie obserwowała wydarzenia z drugiego brzegu Wisły. To właśnie w ich otoczeniu mogli odpocząć strudzeni wyzwolicieli, których dwie nacierające grupy spotkały się w ogrodzie Saskim. Rosnące tu drzewa, choć w styczniu bezlistne, i tak musiały być ulgą dla oczu i prawdziwą oazą na betonowej pustyni miasta. Choć w mieście prawie nie walczone – ot kilka potyczek w Lasku Bielańskim czy na skrzyżowaniu Nowego Świata z Al. Jerozolimskimi – właśnie w Alejach, szybko uprzątniętych z gruzu, natychmiast zorganizowano defiladę zwycięstwa. Jej aury doskonale oddał w swoich wspomnieniach Jeremi Przybora:

„Upiorne wyzwolenie trupa miasta i upiorna defilada zwycięskich oddziałów, maszerujących między dwoma milczącymi szpalerami widm” – zanotował poeta. On akurat mieszkał wtedy na Sadybie. To uroczę miasto ogród nad Jeziorkiem Czerniakowskim przetrwało wojnę w całkiem niezłym stanie. Było właśnie jedną z opisywanych przez Brzostka wysp archipelagu Warszawa.

Wirtualni wodzowie

Jacek Bartosiak zaczerpnął z historii Polski i uważa, że polskie zwycięstwo powinno przypominać wiktorię pod Cudnowem w 1660 r., kiedy dowódca rosyjski „Hrabia Szeremietiew został otoczony i zmuszony do zaakceptowania porażki”





ROMUALD SZEREMIETIEW

Studia gen. Tadeusza Kutrzeby z lat 1939–1945, dowódcy Armii „Poznań” w 1939 r., zebrano w książce pod wspólnym tytułem „Wojna bez walnej bitwy”. W jednym z tekstów znajdujących się w książce Kutrzeba zauważa, że w czasie kampanii 1939 r. nie było walnej bitwy. Nie była nią nawet bitwa nad Bzurą, w której generał dowodził grupą polskich armii.



Co to jest walna bitwa? Teoretyk sztuki wojennej Carl von Clausewitz w swoim dziele „O wojnie” w „Księdze czwartej” poświęcił trzy rozdziały bitwie walnej („Rozstrzygnięcie bitwy”, „Wpływ zwycięstwa”, „Wykorzystanie bitwy”). Clausewitz wskazuje, że walna bitwa to „walka sił głównych”, „toczona z całym wysiłkiem o istotne zwycięstwo”, jest to „właściwy punkt ciężkości całej wojny”. Takie spotkanie na polu bitewnym przypominało w pewnym stopniu pojedynek, gdy dwaj rycerze krzyżowali miecze i jeden z nich zwyciężał, a drugi, pokonany, musiał akceptować swoją przegraną. Walna bitwa była więc podobnym rozstrzygnięciem, decydowała, kto wojnę wygrał. Taką rolę walnej bitwy w wojnie można dostrzec zwłaszcza w kampaniach toczonych przez Napoleona w pierwszej połowie XIX w. Clausewitz, przeciwnik Napoleona, zbierał doświadczenia do swojej teorii wojny w tamtym okresie właśnie.

BITWA Z PRZESZŁOŚCI

W miarę jak rozrastały się liczebnie armie i następował rozwój techniki wojskowej, coraz trudniej było skupić całość „sił głównych” dla stoczenia jednej walnej bitwy rozstrzygającej o wyniku wojny. Było to coraz wyraźniej widoczne w I wojnie światowej, a stało się oczywiste w II wojnie światowej, gdy na frontach pojawiły się miliony żołnierzy, tysiące samolo-

Biorąc pod uwagę polskie doświadczenia historyczne i kierunki zmian w relacjach międzynarodowych, czas dostrzec, że kwestia bezpieczeństwa kraju wymaga uwzględnienia w naszym planowaniu obronnym założenia: umiesz liczyć, licz na siebie. Powinniśmy rozpoznać własne możliwości, pamiętając, że wsparcie sojuszników ich nie zastąpi, a obrona naszego kraju to nasz polski kłopot i nikt nas w tym nie wyręczy

tów i czołgów. Rozwój sztuki wojennej w drugiej połowie XX w. doprowadził do odrzucenia walnej bitwy jako uznawanego sposobu rozstrzygania konfliktów zbrojnych. Strona słabsza materialnie po prostu nie chciała się wystawiać na hazard rozstrzygnięcia bitewnego, gdy przeciwnik miał widoczną przewagę materialną. Słabszy unikał takiej bitwy, tak jak to zrobiła strona polska we wrześniu 1939 r., nie decydując się na żadną walną

bitwę z Niemcami, nad czym zresztą utyskiwał gen. Kutrzeba.

Współcześnie sposobem na prowadzenie wojny przez słabszego przeciwnika stało się zastosowanie w masowej skali działań nieregularnych. Pojawił się konflikt „asymetryczny”, gdy potężny napastnik, dysponujący nowoczesną i dobrze uzbrojoną armią, musi się zmierzyć z walczącym nieregularnie, słabszym i gorzej uzbrojonym broniącym się. Ten sposób wojowania nazywano dawniej partyzantką, ale współcześnie, z racji pojawienia się nowych środków bojowych na niskim poziomie taktycznym (improwowane ładunki wybuchowe, drony, amunicja krążąca, roboty, działania cyber), żołnierz „asymetryczny” staje się bardzo trudnym i wymagającym przeciwnikiem. Współcześnie uważa się, że w konflikcie asymetrycznym nie można wygrać, o czym przekonali się Rosjanie, którzy przez 10 lat, i Amerykanie – przez 20, usiłowali wygrać w Afganistanie. Rekapituluując powyższe: współczesna teoria sztuki wojennej odrzuca walną bitwę, jest ona nieużyteczna.

Obejrzałem wielogodzinne nagranie propagowane przez Radio Wnet, w którym grupa Strategy and Future (pol. Strategia i Przyszłość) przedstawiła wizję Armii Nowego Wzoru i sposoby jej wykorzystania dla potrzeb obronnych RP. Organizator i twórca tej grupy dr Jacek Bartosiak wystąpił jako pierwszy, przedstawiając kierunkowe rozwiązanie przygotowania do stoczenia „bitwy manewrowej”. Otóż według niego Rosja będzie chciała zdominować Polskę, chociaż nie zamierza jej okupować, Rosjanie będą tylko manewrować na naszym terytorium batalionowymi grupami taktycznymi, aby wymusić na Polakach uległość. Przy czym to nie będzie oznaczało, że Rosja „zaleje nas wojskiem” – za dużo wojska Rosja nie ma. Prelegent zakłada, że Polacy muszą wydać Rosjanom „bitwę manewrową” i ją wygrać, od tego zależy bowiem nasze

zwycięstwo w wojnie. Tak więc p. Bartosiak chce rozgrywać walną bitwę, którą nazywa „bitwą manewrową”. Zamierza ją wygrać w warunkach bezpośredniego starcia zbrojnego, w tzw. wojnie kinetycznej, wprawdzie krótkiej: „Rosjanie będą chcieli wojny nie dłuższej niż dwa tygodnie”, ale bardzo intensywnej „z dużym zużyciem i zniszczeniem sprzętu”. To wszystko w sytuacji, gdy Rosja będzie dysponowała przewagą materialną nad Polską w siłach i uzbrojeniu!

Mamy przedstawiony scenariusz tej bitwy, „trójkąt strategiczny”, strefy walki i strefy śmierci, gdzie Armia Nowego Wzoru zniszczy wojska rosyjskie. A ten scenariusz wymyślił anonimowy „duży zespół” osób, w tym takich „ze środka naszego wojska”. Jak jednak mamy wygrać: „Mamy trwać twardo na szczyblach drabiny eskalacyjnej”??? No i koniecznie sprawić, aby stoczyć bitwę „NA NASZYCH WARUNKACH”. Do tego zaś będzie potrzebny „nasz własny kompleks rozpoznawczo-uderzeniowy”, który ma zdominować kompleks rosyjski. Okazuje się, że Armia Nowego Wzoru ma wygrać, posługując się uzbrojeniem, które przewidywał program „Polskie kły”, tj. uzbrojenia WP w ograniczoną liczbę bojowych środków ofensywnych (rakiet), którymi zamierzano odstraszać Rosjan, a czym p. Bartosiak zamierza ich zniszczyć w zakreślonej przez siebie „strefie śmierci”.

Krytykowałem pomysł programu „Polskie kły” i nie stało się nic takiego, co by osłabiło mój krytycyzm. Na czym bowiem polega niebezpieczeństwo związane z tym programem? Otóż strona rosyjska wie, że mamy takie środki i zamierzamy ich użyć. W związku z tym, kiedy spoglądam na rosyjskie systemy rakietowe, które zostały zainstalowane na terenie obwodu kalininogradzkiego, to wydaje się, że one mogą posłużyć, żeby Polska swoich ograniczonych liczbowo środków ofensywnych nie mogła użyć. Mówiąc kolokwialnie, Rosjanie mogą chcieć wybić nam kły, zanim użyjemy ich w jakiejś „bitwie manewrowej”.

Według p. Bartosiaka ostatecznie zwycięstwo zapewni Wojsku Polskiemu tzw. pętla decyzyjna lepsza od pętli realizowanej w armii rosyjskiej. Jej istota zawiera się w procesach zdobywania i przetwarzania

informacji przeważnie zachodzących równolegle w czterech obszarach obserwacja-orientacja-decyzja-akcja. Nie trzeba nadzwyczajnej wiedzy, by dostrzec, że Rosja będzie miała w tym zakresie większe możliwości niż Polska. Skąd więc przekonanie dr. Bartosiaka, że przy zastosowaniu „pętli” to Polska, a nie Rosja będzie odnosić sukcesy; pytanie, czy „pętla decyzyjna” jest w użyciu Amerykanów i jak ona zadziałała w Afganistanie, zwłaszcza w czasie ewakuacji sił USA z tego kraju?

Dowodzenie wojskami, planowanie działań na poziomie taktycznym i operacyjnym to zadanie i kompetencja dowódców wojskowych, dowództw i sztabów. Nie powinni się tym zajmować ludzie, którzy nie mają żadnego doświadczenia dowódczego, i nie powinien tego robić lider S&F

STRATEGICZNE MYŚLENIE

Dowodzenie wojskami, planowanie działań na poziomie taktycznym i operacyjnym to zadanie i kompetencja dowódców wojskowych, dowództw i sztabów. Nie powinni się tym zajmować ludzie, którzy nie mają żadnego doświadczenia dowódczego i nie powinien tego robić lider S&F. W czasie II wojny światowej, kiedy „feldfel” Hitler zdenerwował się na swoich generałów i zaczął sam bezpośrednio wydawać rozkazy związkom taktycznym na froncie wschodnim, dało to jak najgorsze efekty. Dowódcę wojskowego charakteryzuje nie tylko wiedza wojskowa, ale też odpowiedzialność za podwładnych, nabywana w karierze oficera idącego po kolejnych stopniach dowodzenia, gdy uczy się odpowiedzialności za coraz większe jednostki liczące coraz więcej żołnierzy. Kiedy więc pojawia się cywil pozbawiony

tej wiedzy i doświadczenia dowódczego, który poucza, jak należy kierować związkami taktycznymi na polach bitewnych, to nie można go brać poważnie.

Polska nie prowadzi polityki agresywnej i nie jest mocarstwem dysponującym ogromnym potencjałem, aby móc wyprzedzająco zaatakować wroga na jego terytorium i zwyciężyć go z dala od własnych granic. Biorąc pod uwagę wszystkie uwarunkowania geopolityczne, geostrategiczne, gospodarcze, siłę własnej armii, trzeba założyć, że to wróg, „ten” wróg, będzie miał nad Polską przewagę, to on wybierze moment ataku na nas, czyli będziemy musieli bronić naszych granic, do tego na własnym terytorium. Funkcjonowanie państwa i społeczeństwa stanie się trudne w obliczu takiego najazdu, a będzie skrajnie utrudnione, jeśli agresor zniszczy naszą armię i dojdzie do okupacji kraju, jak to się stało w 1939 r. Tym samym zapewnienie bezpieczeństwa narodowego staje się, gdy uwzględnimy polskie, a nie mocarstwowe możliwości militarne, niezwykle trudne. Konieczne jest stworzenie takiego systemu obrony, który zapewni oddalenie zagrożenia wojennego od granic państwa, a nie będzie tylko przygotowaniem do prowadzenia wojny. Polska musi mieć wojsko, które będzie zdolne bronić całego terytorium, a nie

tylko, jak Armia Nowego Wzoru, stawiać opór na wybranych kierunkach natarcia wojsk nieprzyjaciela.

Powszechnej obrony nie da się jednak wykonać ograniczoną liczbą żołnierzy zawodowych. Dlatego należy oprócz wojsk operacyjnych zbudować kilkuset tysięcy obronę terytorialną. Błędne jest przekonanie p. Bartosiaka, że zapowiadane przez Jarosława Kaczyńskiego zwiększenie armii do 300 tys. jest niepotrzebne. Liczba żołnierzy jest istotna, jeśli chcemy mieć armię zdolną do obrony całego terytorium kraju. Dzięki temu można odstraszyć potencjalnego agresora, wykazując, że Polska jest trudnym przeciwnikiem, Polacy bowiem – nie tylko kilkanaście tysięcy zawodowych żołnierzy – będą państwem bronić. Wykazywać, że ten opór będzie powszechny, a Polacy są do niego dobrze przygotowani. Przygotowani tak dalece, że nawet zniszczenie wojsk regularnych

(operacyjnych) nie będzie oznaczało końca wojny, tak jak końcem wojny nie może być przegrana Bartosiakowa bitwa manewrowa. Muszą bowiem być przygotowane siły, które będą kontynuować opór w formie nieregularnej, asymetrycznej. I to obrona terytorialna powinna być tak przygotowana, aby miała zdolność prowadzenia działań nieregularnych, z czym armia napastnicza sobie nie poradzi.

Amerykański think tank Jamestown Foundation ogłosił raport „How to defend the Baltic States”, rozważając sposoby obrony państw bałtyckich przed możliwą agresją Rosji. Wskazano, że elementem obrony obok istniejących już sił zbrojnych powinny być przygotowania do działań w warunkach okupacji. Państwa bałtyckie wzmacniają regularne konwencjonalne wojska, ale przygotowują też społeczeństwo do prowadzenia działań nieregularnych w razie okupowania ich terytoriów przez Rosjan. Dr Bartosiak zapewne dostrzegł te wskazania i dlatego w swoim scenariuszu „bitwy manewrowej” przewiduje jakieś działania nieregularne podejmowane przez WOT, ale widzi je jako coś pobocznego, pomocniczego wobec zadań wykonywanych przez Armię Nowego Wzoru. Odrzuca mój pogląd, że Rosja będzie chciała okupować Polskę i nie rozumie, że skoro – według niego – Rosja będzie na terenie Polski używać ograniczonych sił (batalionowe grupy taktyczne) i na szerszą skalę dywersję, np. oddziałami specnaz, to przecież wówczas będzie nie-

zbędna działająca WSZĘDZIE obrona terytorialna, odpowiednio przeszkolona i wyposażona. Trudno sobie wyobrazić, aby rosyjskich dywersantów wypływały czołgi i rakiety Armii Nowego Wzoru.

W historii wojen znajdziemy przykłady, gdy strona słabsza potrafiła się bronić skutecznie. Ten efekt uzyskiwano dlatego, że słabsza strona znajdowała sposób na skuteczną obronę. Musimy ustalić, jaki sposób na obronę może zagwarantować Polsce bezpieczeństwo. To powinno być celem strategii obronności Rzeczypospolitej Polskiej. Istotą polskiej strategii, zważywszy na wielkość jej potencjału i armii, musi być poszukiwanie rozwiązań pozwalających wojny unikać. Rozważanie, jak dowodzić dywizjami, należy zostawić dowódcom wojskowym.

Józef Piłsudski zauważył, że Polacy w sprawach wojska nie wykazują zdolności myślenia strategicznego. Było to – najogólniej mówiąc – rezultatem bytowania narodu polskiego przez ponad wiek pod zaborami, przy braku własnej państwowości, co musiało skutkować niedomaganiami elit w formułowaniu interesu narodowego, sposobów jego osiągania, czyli w obszarze myślenia strategicznego. Kiedy Piłsudski, jako przewodniczący Najwyższej Rady Wojennej w 1923 r., przygotowując dla prezydenta RP opinię o generałach Wojska Polskiego, miał wskazać, który z nich mógłby zostać Naczelnym Wodzem, zastanawiał się, czy wskazany kandydat potrafi kalkulować

siłami całego państwa, a nie tylko siłami wojskowymi.

Agresja rosyjska na Polskę będzie tylko wtedy dla Kremla nieopłacalna i niewarta uruchamiania, jeśli Polacy zbudują zdolności oporu, które sprawią, że zajęcie, okupacja i podporządkowanie Polski będą bardzo, bardzo trudne. Rzecz nie może się więc ograniczać do obrony armią regularną (wojska operacyjne), jej pokonanie i rozbicie ciągle jest bowiem w zasięgu militarnych możliwości Rosji. Chodzi o to, aby nawet po unicestwieniu wojsk operacyjnych Rosja wiedziała, że nie będzie w stanie utrzymać Polski pod kontrolą. Sytuacja taka może się pojawić tylko wówczas, jeśli Moskwa będzie widziała, że spotka się w Polsce z powszechnym oporem asymetrycznym Polaków. O tym, że Polacy są zdolni do takiego oporu, nie ma po stronie rosyjskiej wątpliwości, a chodzi tylko o to, żeby przygotowania takie stały się w Polsce faktem. Wtedy już wstępna kalkulacja sił powie Rosji, że przy oporze asymetrycznym, chcąc ten opór całkowicie sparaliżować, musi dysponować 20-krotną przewagą – np. stworzenie w Polsce 500 tys. sił zdolnych do działań asymetrycznych powoduje, że Rosja musiałaby użyć dziesięciomilionowych sił okupacyjnych. Trudno sobie wyobrazić, aby Rosja mogła wystawić takie siły.

Celem polskiego myślenia strategicznego jest więc opracowanie takiej formy obrony, aby wojny agresor nie mógł podjąć!

REKLAMA

Najnowsza książka Sławomira Kopra

Tajemne życie autorów książek dla dzieci

Jakie sekrety kryją biografie autorów książek dla najmłodszych?

KSIAŻKA
DO KUPIENIA NA:
WWW.XLM.PL



THINKTANKOWANIE

Obserwatorzy przekazów medialnych spostrzegali, że dr Bartosiak stał się pewnym fenomenem mediów społecznościowych, kimś dysponującym tam gronem zapatrzonych w niego zwolenników. Posługuje się językiem, w którym używa terminów sugerujących, że jest znawcą problematyki militarnej i dysponuje jakąś wiedzą dostępną tylko wtajemniczonym. Opowiada, jak coś uzgodnił, czegoś się dowiedział, obcując z nieznanymi nam z nazwiska politykami i wojskowymi wielkimi mocarstwami. Sugeruje, że jest to wiedza niedostępna dla polskich polityków i niezrozumiała dla urzędników z MON. Wpatrzeni w mecenasa Bartosiaka zwolennicy, chłonący z uwagą jego opowieści, czują, że uczestniczą w procesie obcowania z tajemnicą i są przekonani, że stają się gronem wybrańców, którzy za sprawą swego guru są wtajemniczani w sprawy, o których polskie wojskowe „paździerze” nie mają pojęcia.

Twórca Strategy and Future (nadał angielską nazwę swojej grupie) jest zapatrzony w dokonania amerykańskich ośrodków nazywanych think tankami. Ktoś zauważył, że rozwiązania, które przedstawia lider S&F, mają kształt amerykański. To, co prezentuje jako rozwiązania dla Polski, jest w istocie takim kieszonkowym imperializmem przykrojonym do polskich warunków i rzuconym na geopolityczną płaszczyznę Europy Środkowo-Wschodniej. Zespół Bartosiaka (skład nieznany) wyobraża sobie, że Polska, z jej siłami i potencjałem, może ofensywnie rozgrywać własne interesy, walcząc z Rosją!

W USA działają liczne ośrodki badawcze zajmujące się strategiami, obronnością, wojskiem. Czasem zasiadają w nich cywilni pasjonaci wojskowości pragnący wygrywać jakieś wojny i emerytowani generałowie, którzy nie mieli okazji albo nie potrafili wygrać wojen, w których uczestniczyli. Jedni i drudzy wymyślają scenariusze przyszłych wojen, rozgrywają na komputerach operacje wojenne i przynajmniej wirtualnie je wygrywają.

Wydaje się, że mec. Bartosiak też jest takim wirtualnym wodzem i w swoich

prezentacjach oferuje nam wirtualne zwycięstwa. Nic dziwnego, że miłośnicy gier komputerowych, żyjący w świecie wirtualnym, uwielbiają opowieści dr. Bartosiaka.

W czasach zimnej wojny na Zachodzie działali eksperci badający komunizm, nazywani kremlinologami. Potrafili oni wyciągać daleko idące wnioski, np. ustalając, w jakiej odległości od genseka stał na trybunie pierwszomajowej jakiś aparatczyk w czasie corocznych manifestacji. Żaden z tych znawców nie przewidział, że Związek Sowiecki się rozpadnie!

Agresja rosyjska na Polskę będzie tylko wtedy dla Kremla nieopłacalna, kiedy Polacy zbudują zdolności oporu, które sprawią, że zajęcie, okupacja i podporządkowanie Polski będą bardzo, bardzo trudne. Rzecz więc nie może się ograniczać do obrony armią regularną, jej pokonanie i rozbięcie ciągle jest bowiem w zasięgu militarnych możliwości Rosji

PODKREŚLAM:

proponowany przeze mnie system obrony kraju powinien sprawić, że agresor nie odważy się Polski zaatakować i żadnej wojny, w tym zwłaszcza „partyzanckiej”, nie trzeba będzie prowadzić. Odrzucenie tej koncepcji będzie skutkowało w konfrontacji Polski z Rosją, zwłaszcza konfrontacji w osamotnieniu, że wojny nie unikniemy i po klęsce naszej armii regularnej, nawet Armii Nowego Wzoru, nie unikniemy też „partyzantki”, która będzie naturalnym odruchem Polaków przeciwstawia-

jących się okupantowi. Tak czy inaczej lepiej więc, nawet nie wierząc w strategiczną moc odstraszenia powszechnej obrony terytorialnej, mimo wszystko przygotować się do prowadzenia działań asymetrycznych, tym bardziej gdy si vis pacem, para bellum, jak pisał już w IV w. Rzymianin Wegecjusz w dziele „O sztuce wojennej”.

Biorąc pod uwagę polskie doświadczenia historyczne i kierunki zmian w relacjach międzynarodowych, czas dostrzec, że kwestia bezpieczeństwa kraju wymaga uwzględnienia w naszym planowaniu obronnym założenia: umiesz liczyć, licząc na siebie. Powinniśmy rozpoznać

własne możliwości, pamiętając, że wsparcie sojuszników ich nie zastąpi, a obrona naszego kraju to nasz polski kłopot i nikt nas w tym nie wyręczy.

Rozważając całokształt problematyki obronności RP, należy ustalić:

1. Czy biorąc pod uwagę wielkość potencjału obronnego RP, dysponujemy sposobami, możliwościami, aby odstraszyć potencjalnego agresora – zniechęcić go do agresji jako przedsięwzięcia dla niego bardzo trudnego w realizacji?
 2. Jakie rozwiązania w sferze obronności, w organizacji i wyposażeniu sił zbrojnych oraz w przygotowaniu społeczeństwa należy przyjąć, aby nasze odstraszenie było dla potencjalnego napastnika wiarygodne?
 3. Czy i w jakim zakresie na skuteczność zamiaru odstraszenia wpływa współpraca z sąsiadami (np. Trójmorze), czy jest to warunek konieczny skuteczności odstraszenia, czy tylko uzupełnienie nieprzesadzające o powodzeniu?
 4. Jakie są potrzebne ramy czasowe (dużo czasu zmarnowano), siły i środki, aby przyjęty zamiar odstraszenia potencjalnego agresora stał się widocznym wyróżnikiem systemu obrony państwa?
 5. Czy można zdefiniować ograniczenia przy realizacji zamiaru odstraszenia, w tym także natury psychologicznej (postawy osób decydujących o obronności) i politycznej (jakie siły i ośrodki mogą przeszkadzać)?
- Odpowiedzi na te pytania są niezbędne przy opracowywaniu strategii obronności RP.

K

ULTURY



Jeśli – pomijając otoczkę skandali wokół ich organizacji – Złote Globy pozostaną przygrywką do Oscarów, to najwięcej statuetek Amerykańskiej Akademii ma szansę zdobyć nowozelandzka kobieca interpretacja westernu oraz zachowawczy musical dawnego wizjonera Hollywood

Złota przygrywka



Fot. WarnerBros, Netflix, Disney



JOLANTA GAJDA-ZADWORNA

Zdjęcia do „Psich pazurów” – nagrodzonych Złotym Globem w kategorii najlepszy dramat – były kręcone w plenerach Nowej Zelandii. To tam 67 lat temu urodziła się niezwykle ciekawa autorka kina – Jane Campion. Wyrosła i wykształcona na antypodach (już jako dyplomowana antropolożka ukończyła w Australii studia artystyczne i reżyserskie) przebiła się potem ze swoimi filmami również na rynkach europejskim i amerykańskim.

Nakręcony w 1993 r. „Fortepian” przyniósł jej Oscara za oryginalny scenariusz oraz nominację dla najlepszego reżysera, a także pierwszą w historii

Złotej Palmy nagrodę za najlepszy film (była też nominowana w kategoriach: reżyser oraz scenarzysta).

W GŁĄB WESTERNU

Za „Psie pazury” – western skupiony na międzyludzkich relacjach, wnikający w bohaterów i ich motywacje, zarazem nakręcony szeroko, w malowniczych plenerach – Campion już odebrała Srebrnego Lwa w Wenecji. Jury szacownego festiwalu (uznawanego za najstarszą filmową imprezę na świecie) już wcześniej doceniało filmy reżyserki – nagradzając w 1990 r. jej „Anioła przy moim stole”, a potem „Święty dym” (1999).

Campion znakomicie rozegrała scenariuszową historię, w której w życie dwóch samotnych braci – ziemskich właścicieli nieunikających trudów kowbojskiego życia – wkracza wdowa z nastoletnim synem, burząc dawny porządek i przywołując spychane w przeszłość doświadczenia.

Dobierając obsadę, Campion dała swoim aktorom szansę na stworzenie niejednoznacznych, intrygujących postaci. 25-letni Australijczyk Kodi Smit-McPhee za swoją poruszającą rolę (w drugim planie) dostał Złoty Glob, Amerykanka Kirsten Dunst była do tej nagrody nominowana, podobnie jak Brytyjczyk Benedict Cumberbatch.

Ten ostatni zagrał oscarowo. Statuetka za główną męską kreację przypadła jednak Willowi Smithowi. Hollywoodzkie Stowarzyszenie Prasy Zagranicznej – być może, by podkreślić otwartość na etniczną różnorodność nagradzanych – za najlepszą uznało „coachingową” rolę ojca tenisowych gwiazd – Sereny i Venus Williams – w filmie „King Richard: Zwycięska rodzina”. Pikanterii wyróżnieniu dodaje to, że Smith jako rodzic daleki jest od ideału. Internauci od lat wypominają mu, że wychowuje swoje dzieci na pustę, zadufane w sobie gwiazdki. Samemu aktorowi też się dostaje – głównie za od-



„King Richard: Zwycięska rodzina”



„Psie pazury”

cinanie kuponów od wcześniejszych ról i powtarzalność.

WNIKLIWIE I DZIWNIE

Sposób na połączenie oczekiwań masowej publiki i własnego rozwoju, jak się wydaje, odnalazł Benedict Cumberbatch. Światową popularność przyniosła mu rola słynnego detektywa w serialu BBC „Sherlock” (2010). Hollywood przejęło go sześć lat później. Stał się wtedy tytułowym „Doktorem Strange” i w tym wcieleniu do dziś pojawia się w kolejnych odsłonach marvelowskich filmów o superbohaterach. Ambitne produkcje realizuje głównie w Wielkiej Brytanii. Szansą na stworzenie kreacji stał się dla niego film „Psie pazury”, będący adaptacją powieści Thomasa Savage’a. Do maksimum wykorzystał potencjał swojej postaci, stając się w kontrze zarówno do klasycznych filmowych wizerunków kowbojów, jak i ich współczesnych wersji. Może Amerykańska Akademia Filmowa to doceni, niezależnie od parytetowych założeń.

Cumberbatch rozwija się też w innych dziedzinach. Od sześciu lat jest komandorem Orderu Imperium Brytyjskiego (za zasługi w dziedzinie sztuki aktorskiej oraz

działalność charytatywną), od trzech zawiaduje najważniejszą londyńską szkołą artystyczną Academy of Music and Dramatic Art. Ma żonę i dwóch synów – sześciolatniego Christophera i czteroletniego Hala.

GLOBY POPRAWNOŚCI

„Psie pazury” – wyreżyserowane przez wybitną kobietę, wchodzące w dyskurs z mitem bohatera rodem z Dzikiego Zachodu – wpisały się w pożądaną w filmowej branży nurt zmian. Ale wielkimi wygranymi tegorocznych Globów są też twórcy nowej, a jednocześnie zachowawczej wersji „West Side Story”. Nagrodzonej trzema statuetkami – za najlepszy film komediowy lub musical oraz dwie kobiece role – główną (Rachel Zegler) i drugoplanową (Ariana DeBose).

Ojcem tego sukcesu jest Steven Spielberg – jedna z najważniejszych person amerykańskiego kina. Mistrz i wizjoner przez dekady rozszerzający granice kinowej wyobraźni. Tym razem, wspierany przez operatora Janusza Kamińskiego, wrócił do musicalowego klasyka i... w dawnej formule pozostał, tworząc jedynie jej doskonalszą wizualnie wersję.

Zmiany wprowadził w obsadzie

– w 1961 r. polityczna poprawność nie dopuszczała przed kamery latynoskich gwiazd. Nawet w historii o wojnie ulicznych gangów, w której po jednej ze stron stawali Portorykańczycy (dlatego w rolę Marie wcieliła się córka rosyjsko-ukraińskich emigrantów Natalie Wood). W „West Side Story” A.D. 2021 połowę ról mogli dostać jedynie aktorki z udokumentowanymi latynoskimi korzeniami. Była wśród nich utalentowana muzycznie kinowa debutantka, pół-Kolumbijka Rachel Zegler, uroczą w budowaniu swojej postaci, chociaż daleko jej m.in. do Emmy Stone z „Cruelli” czy Marion Cotillard z „Annette”.

Wątpliwości może też budzić nagroda za główną rolę kobiecą w dramacie, gdy konkurentkami Nicole Kidman były m.in. Lady Gaga („Dom Gucci”), a zwłaszcza Kristen Stewart („Spencer”).

Największymi przegranymi tegorocznej nietypowej gali Złotych Globów są filmy „Nie patrz w górę” i „Licorice Pizza” (miały po cztery nominacje i żadnej nagrody) oraz nominowany w siedmiu kategoriach (w tym najlepszy dramat i reżyser: Kenneth Branagh) „Belfast”. Nagrodzono go tylko za scenariusz.



Fot. Disney

„West Side Story”

NA MAŁYM EKRANIE

Wśród produkcji telewizyjnych triumfowały „Sukcesja” (najlepsi: serial dramatyczny, aktor Jeremy Strong i drugoplanowa aktorka Sarah Snook) i „Hacks” (serial komediowy oraz aktorka Jean Smart). „Kolej podziemna” została uznana za najlepszy serial limitowany. Wytrawni aktorzy Kate Winslet („Mare z Easttown”) oraz Michael Keaton („Dopesick”) odebrali statuetki za role w produkcjach limi-

towanych. Za najlepszą aktorkę w serialu dramatycznym („Pose”) – to kolejna próba przekonania opinii publicznej o otwartości branżowego gremium – uznano transpłciową MJ Rodriguez.

TAKIE ZMIANY

79. ceremonii wręczenia Złotych Globów nie miał okazji obejrzeć nikt poza członkami Hollywoodzkiego Stowarzyszenia Prasy Zagranicznej. Z transmisji wyco-

fały się telewizyjne platformy, nie było też emisji online. Oskarżenia o korupcję i rasizm sprawiły, że przedstawiciele branży filmowej zbojkotowali już zapowiedź gali, jednocześnie domagając się systemowych przekształceń.

W odpowiedzi do Stowarzyszenia przyjęto m.in. wielu nowych członków innych ras niż kaukaska. Próba przekonania opinii publicznej, że w organizacji zachodzi pogłębiona transformacja, widoczna jest też w jurorskich werdyktach. Poprawne polityczne nie zawsze jednak oznacza najlepsze.

Na ile Złote Globy, przez dekady uznawane za miarodajną zapowiedź oscarowych zwycięzców, i tym razem trafią z prognozą, okaże się najwcześniej 8 lutego. Wtedy to ogłoszone zostaną nominacje do nagród Amerykańskiej Akademii Filmowej we wszystkich kategoriach. Ceremonia wręczenia statuetek planowana jest na 27 marca. M.in. od rozwoju pandemii zależy, czy odbędzie się z udziałem publiczności.



Adam Ciesielski

Ewa znów śpiewa

Jednym z krzepiących wydarzeń muzycznych 2021 r. był powrót Ewy Bem. Artystka w 2017 r., po śmierci starszej córki Pameli, wycofała się z występów i nagrań. Teraz wraca, i to aż dwiema płytami

Jedna z wielkich (nie tylko w krajowej skali) indywidualności wokalnych, zwana pierwszą damą polskiego jazzu, debiutowała w 1969 r. w Grupie Bluesowej Stodoła, zachęcona przez starszego brata Aleksandra, także praktykującego muzyka. Wraz z nim współtworzyła formacje Bemibek (z Andrzejem Ibekiem) i Bemibem, grające barwną mieszankę bluesa, jazzu, rock'n'rolla, bossa novy i muzyki pop. Była solistką kwartetu Zbigniewa Seiferta – genialnego saksofonisty i skrzypka. Wielokrotnie triumfowała w plebiscytach na najlepszą wokalistkę jazzową. Zdobywała laury na festiwalach opolskich, bo pisali dla niej najlepsi kompozyto-

rzy i tekściarze z Jerzym Matuszkiewiczem, Janem Wróblewskim, Agnieszką Osiecką, Wojciechem Młynarskim.

Latem 2021 r. wróciła na estradę po paroletniej nieobecności. Teraz przypomina się fanom płytą „Ewa Bem Live”, nagrałą w 2015 r. podczas koncertu w Radiu Wrocław. Są tu piosenki z różnych etapów aktywności artystki: od debiutanckich „Podaruj mi trochę słońca”, „Sprzedaj mnie wiatrowi”, poprzez szlagiery „Żyj kolorowo”, „Miłość jest jak niedziela”, „Kolega Maj”, do utworów nowszych, często z autorskimi słowami wokalistki.

Własnymi tekstami (do muzyki Joachima Mencla) opatrzyła Ewa także

piosenki z albumu „Kakadu”, który w 2007 r. był Złotą Płytą, a teraz został wydany ponownie.

Adam Ciesielski



Ewa Bem, „Kakadu”
Wyd. Agora Muzyka

Ewa Bem
„Ewa Bem Live”

„Ręka Boga”, czyli więzy krwi

Czekalem na ten film. Kiedy tylko „Ręka Boga” (właściwie „Hand of God”, bo pod takim tytułem jest emitowana) pojawiła się na Netflixie, zasiadłem. Paolo Sorrentino nieraz przemawiał jakby do mnie.

Jego „Młodość” obejrzałem wiele razy, myślę, że to ważny przyczynek do opowieści o współczesnym człowieku, a na kolejne odcinki „Młodego papieża” i „Nowego papieża” czekałem z wypiekami na twarzy. To o Kościele, ale nie tylko. Czasem jego dezynwoltura, z jaką wypowiadał się na temat religii, mnie wkurzała. A jednak było coś odkrywczego i porównującego w jego portrecie współczesnego Watykanu.

„Wielkie piękno” z jego ciągiem onirycznych wizji kojarzy mi się z moim ukochanym Fellinim. Zresztą we wszystkich jego filmach znajdujemy to rozbuchanie, groteskowe przerysowanie, tę kreatywną wyobraźnię, która cechowała starą włoską kinematografię. Nie tylko Felliniego, także Viscontiego, czy z bliższych nam choćby Giuseppe Tornatorego. Nie zawsze tak widzę świat, ale lubię na niego patrzeć jak oni.

Tu mamy powrót do krainy dzieciństwa. Dla Sorrentino to Neapol, lekceważony przez Włochów z północy, dla nas mocno egzotyczny. Te wyprawy do świata młodości muszą się kojarzyć z Fellinim („Amarcord”, ale także „Rzym”), a również Tornatore w „Cinema Paradiso” i wielu włoskich twórców. Kiedy patrzyłem na pierwsze sceny z „Ręki Boga” prezentujące galerię nadwyrazistych krewnych głównego bohatera, miałem trochę wrażenie, że to nowy „Amarcord”, tyle że prawie bez muzyki. No i oczywiście z innej epoki. Siedemnastoletni Fabio (świetnie grany przez Filippa Scottiego) zaprasza nas do swoich wspomnień z początku lat 80.

Samotniczy, żyjący wśród starszych Fabio to Sorrentino, choć nie całkiem wiernie oddaje się tu chyba jego biografię. Mieszkał w tym samym domu w Neapolu jeszcze po trzydziestce (czego się dowiadujemy z dodanego do filmu dokumentu). Fabio, osierocony i niemożący sobie znaleźć miejsca, wyjeżdża wcześniej. To film o młodości, o marzeniach,

lecz przede wszystkim o rodzinie, o więzach, tyleż naturalnych, ile kruchych. Bo np. może je porwać śmierć.

Film został przyjęty entuzjastycznie przez wielu moich znajomych. Łukasz Adamski pisał tu o nim przed tygodniem. Przyznam, że ja nie popadłem tym razem w euforię. Liczyłem, że dowiem się więcej o specyfice Neapolu. Fakt, że kochali Diego Maradonę, to chyba nie wszystko. Tłum krewnych mógł być, jak dla mnie, czytelniej rozpisany, a od połowy filmu, kiedy głównego bohatera spotyka rodzinna tragedia, kiedy już nie pożeramy nowego dla nas świata, mam wrażenie rozłazenia się tempa.

Naturalnie celem nie jest emocjonująca opowieść, bardziej impresje, oddanie klimatu. Ale tylu rzeczy byłbym tu ciekaw. Choćby wywodów ekscentrycznego wuja Alfreda, który opisuje rodzinę jako „komunistów”, co we Włoszech oznaczało wtedy całkiem co innego, niż powiedzmy w Rosji. Może temu należało się bardziej przyjrzeć, a mniej uwagi poświęcać banalnej, znanej z wielu filmów seksualnej inicjacji chłopaka przez starszą kobietę. Zwłaszcza że Sorrentino ma zmysł oddawania społeczno-politycznych smaczków. Wszak



opowiadał nam i o premierze Andreotim, i o Berlusconim.

Jest w tym filmie jednak coś ujmującego. To zwłaszcza oddanie relacji Fabia z rodzicami (ulubiony aktor reżysera Toni Servillo i Teresa Saponangelo), nacechowanych luzem i bardzo ciekawych, to jego serdeczna więź z bratem (Marlon Joubert). Chyba wiara w autentycz-

ność więzów krwi w świecie, w którym wszystko inne zaczyna się już rozpręgać, będzie mi się najbardziej kojarzyć z tym filmem. Warto to przypominać. Nawet po wiele razy. 

Piotr Zaremba



ROBERT TEKIELI

Młody chłopak po kolejnej kłótni z ojcem postanawia wyjechać ze swojego miasta. Nie wyjeżdża, bo przed dworcem spotyka grupę sympatycznych ludzi z Hare Kriszna. Po dłuższej rozmowie zaczyna mieszkać w ich świątyni, czyli wynajętym mieszkaniu na trzecim piętrze. Po półtora roku odchodzi. Przejrzyć na oczy pozwoliła mu wizyta guru sekty. Konrad mówił do mnie w studiu radiowym, czerwieniąc się: „Myśmy bili się o miskę z brudną wodą z mycia nóg tego człowieka i piliśmy ją. Wmówiono nam, że kontakt z jakąkolwiek substancją, która dotykała ciała guru, skraca krąg karmiczny. Biliśmy się o jego śmierdzące skarpety, i ten, kto wygrał, zakładał sobie taką skarpetę na głowę i wszyscy mu zazdrościli. Nikt nam nie przykładał pistoletu do głowy. Wierzyliśmy, że śmierdzące skarpety mogą dać zbawienie”.

Aby osiągnąć kontrolę nad człowiekiem wystarczy izolacja, odcięcie od kochających go osób, od tego np. dieta niskobiałkowa, tysiąc razy dziennie powtarzana zbitka dźwięków odrealniająca świadomość, zamknięty system myślenia, powielanie klisz intelektualnych. Co sekta, to inny zestaw metod.

Aby osiągnąć kontrolę nad ludzkością, europejskie i amerykańskie elity metodą prób i błędów wypracowały system zarządzania społeczeństwami, którego siłą napędową jest zaspokajanie ludzkich namiętności w taki sposób, aby ludzie nie byli tego świadomi. Rządzący światem Zachodu od dwustu lat wiedzą, że człowiek ma tylu panów, ile przywar, wad i słabości.

3 MIŁOŚCI

Nieodparty urok śmierdzącej skarpety

Jaki jest świat bez moralności? Jeśli zgodzimy się na to, że dobro i zło utracą całkowicie znaczenie, pozostanie tylko siła. Na tym świecie jedyną obroną biedaków będzie zawsze prawo moralne funkcjonujące jako część prawa świeckiego. Świat bez moralności jest zabawką w rękach silniejszego

Jeszcze przed rewolucją francuską Adam Weishaupt odkrył mechanizmy kontroli psychologicznej. Swą siłę brała ona właśnie z manipulowania ludzkimi pożądaniami. Oświecenie miało swój początek jako ruch zmierzający do wyzwolenia człowieka, a niemal z dnia na dzień przekształciło się w swoje przeciwieństwo.

Od dwudziestu paru wieków wszystkie duże systemy religijne głoszą myśl, że człowiek jest wolny, kiedy panuje nad swoimi emocjami, nad pożądliwościami. Rewolucjoniści już w XVIII w. stwierdzili, że człowiek musi być wyzwolony od przesądów religii, z więzów małżeństwa, z „niewoli ideologii posługującej się pojęciem grzechu”. Jeśli jednak antropologia chrześcijańska głosi prawdę, a głosi, rodzi to zagubienie człowieka. Jeśli z dekady na dekadę coraz większe grupy tworzące zachodnie społeczeństwa wyzwolone zostają z moralności, powoduje to pogubienie się całych narodów czy społeczeństw.

Mamy dziesiątki przykładów intelektualistów, na których treść prac przemożny

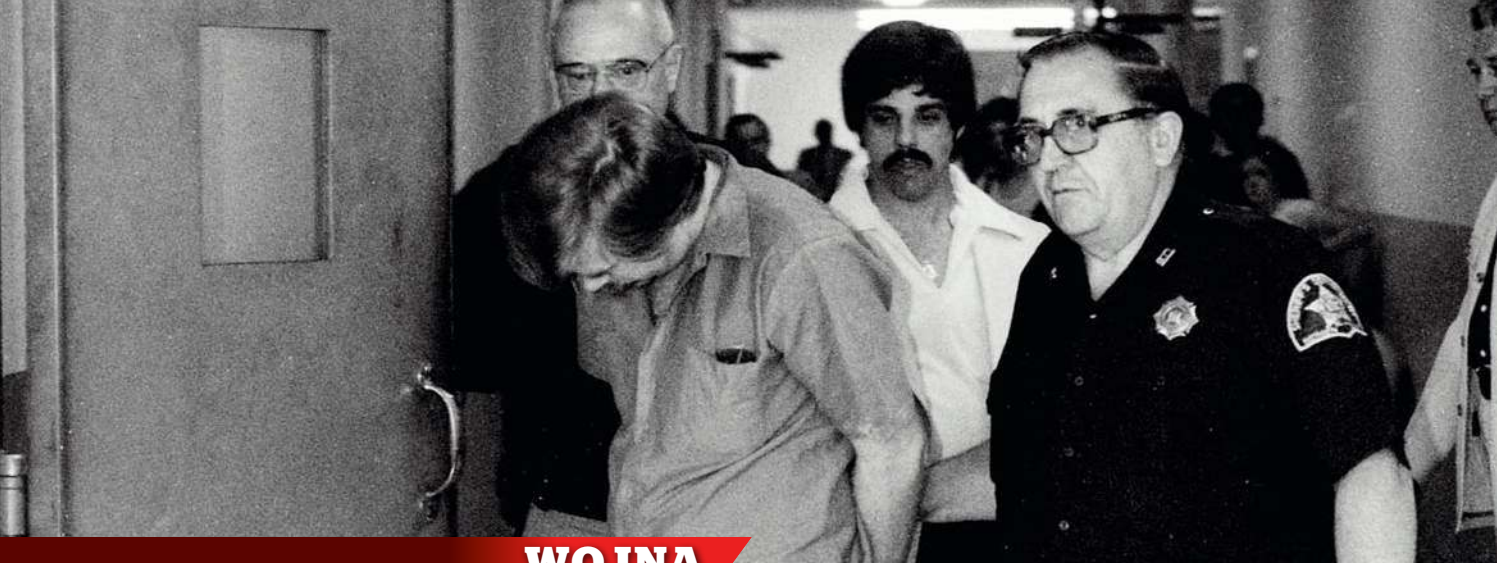
wpływ miało ich nieuporządkowanie w sferze seksualnej. Kinsey, Mead, Freud, Shelley, Byron, Marks, Jung, Nietzsche pisali tak, a nie inaczej, nie dlatego, że odkrywali jakieś prawidłowości ludzkiego wnętrza. Pisali tak, a nie inaczej, by usprawiedliwić swoje odstępstwa od chrześcijańskiej moralności. „Rewolucyjna” psychologia Freuda wpisała się w rewolucyjną antropologię: identycznie jak w rewolucyjnej Francji wrogiem ustanowione zostały nie grzeszne namiętności, ale ich tłumienie. I Freud mógł już nie odczuwać wyrzutów sumienia. Za uwiedzenie szwagierki odpowiedzialna stała się podświadomość.

Idąc za swoimi ślepych przewodnikami w latach 70. i 80., Ameryka zrewidowała i zmieniła własną kulturę, likwidując wszystkie przepisy i prawa kolidujące z seksualnym libertinizmem. W XXI w. zaczęto niemoralność narzucać za pomocą prawa.

Na koniec rzecz ważna: systematyczna manipulacja pożądaniami jest najlepszą drogą do kontroli, ponieważ człowiek ze swoimi pożądaniami się utożsamia. Broniąc ich, broni swojej „wolności”, którą zazwyczaj pojmujemy jako możliwość zaspokajania własnych pragnień, nie rozumiejąc, że niezwykle łatwo jest manipulować nimi z zewnątrz. Widzieliśmy efekty tego utożsamienia na ulicach naszych miast. Dawno nie byłem świadkiem czegoś tak smutnego jak dwudziestolatka szczyjącą się publicznie kilkoma aborcjami.

Jaki jest świat bez moralności? Jeśli zgodzimy się na to, że dobro i zło utracą całkowicie znaczenie, pozostanie tylko siła. Na tym świecie jedyną obroną biedaków będzie zawsze prawo moralne funkcjonujące jako część prawa świeckiego. Świat bez moralności jest zabawką w rękach silniejszego.

Lud internetowy i lud telewizyjny myślał, że należą do tej samej klasy, co nimi rządzący. Tak jednak nie jest. Czy należysz do ludzi, którzy biją się o śmierdzące skarpety?



WOJNA CYWILIZACJI

POPKULTURA

Może być Serial dokumentalny Netflix o seryjnym mordercy zatytułowany „*Na miejscu zbrodni: Morderca z Times Square*” miał premierę 29 grudnia. Trzyodcinkowa miniseria ma wszystkie zalety tego typu produkcji, mocną historię, wciągające śledztwo, rzecz dzieje się w przyciągającym uwagę miejscu. Dla fanów gatunku dokument absolutnie godny uwagi.

Mamy początek lat 70., w Nowym Jorku zaczynają ginąć prostytutki. O, przepraszam – pracownice seksualne. I tutaj pojawia się problematyka, której twórcy serialu absolutnie nie są świadomi. Zmieniając słowa, nie da się bowiem zmienić rzeczywistości. Prostytucja nie jest żadną pracą, wykorzystywane kobiety nie są jakimś „pracownicami” seksualnymi.

Serial w miarę prawdziwie oddaje ciemną stronę prostytucji pół wieku temu w USA – zajmowała się nią wtedy jedna z rodzin mafijnych. Kobiety były nie tylko traktowane jak przedmioty, lecz – by utrzymać się w branży – zgadzały się na kolejne upokorzenia, były krzywdzone, torturowane aż po utratę człowieczeństwa. W wielu lokalach stosunki seksualne odbywały się na scenie, dosłownie na wyciągnięcie ręki. Było kilka lat po rewolucji seksualnej 1968 r. Popkultura zaczęła traktować alfonsów jak ikony, do szerokiego rozpowszechniania wszedł po raz pierwszy film hard porno „Głębokie gardło”. Jego bohaterka lata później opowiadała o potwornościach, na jakie była narażona w trakcie produkcji. Wydawało się, że nie ma tabu nie do przekroczenia.

Największą zaletą serialu „Na miejscu zbrodni: Morderca z Times Square” jest jego strukturalne pęknięcie. Z jednej strony słyszymy o wolności seksualnej, z drugiej, by opowiedzieć tę historię, nie da się pominąć żerowania na nieszczęściu kobiet.

Jak można nazywać poniżanie usługą seksualną? Zderzenie dzisiejszego języka poprawności politycznej z brudem ma wielką siłę rażenia. Rewolucja i prostytucja rymują się nie bez powodu.

Być może Film „*Matka/android*”

mał swoją premierę na platformie Netflix 7 stycznia. Główną rolę gra w nim Chloë Grace Moretz, aktorka, która debiutowała w wieku ośmiu lat

i ma na swoim koncie blisko 50 filmów. Fabuła ta jest na trzecim miejscu w netflixowym Top 10 w Polsce.

W Ameryce trwa katastrofalny konflikt – wojna ze sztuczną inteligencją. Androidy, które dotąd służyły ludziom, zaczęły ich mordować. Bohaterka filmu wraz ze swoim chłopakiem próbuje się przedrzeć do miasta bastionu, w którym będą bezpieczni. Dziewczyna jest w zaawansowanej ciąży, w każdej chwili może zacząć rodzić. Punkt wyjścia jest zatem niezły, niestety scenariusz filmu pełen jest pływacz. Nie wszystkie motywacje postaci są realistyczne, niektóre istotne wątki są w sposób zadziwiający niewyeksplorowane. Nie wiemy, co spowodowało konflikt, jakie są powody buntu maszyn, jaki jest ich cel, co robi wojsko itd., itp. Nie odpowiadając na te pytania, reżyser i scenarzysta filmu Mattson Tomlin sprawia, że historia traci gęstość. I nie ratują jej rozłożone po bożemu zwroty akcji czy emocjonalna amplituda opowieści. I jeszcze jeden minus: fabuła s.f. nie powinno się kręcić z tak małym budżetem.

Film jest wolny od ideologii, ale tak naprawdę całość ratuje Chloë Moretz. I jeśli ktoś ma wolny czas, dla niej samej warto przesiedzieć te sto minut przed ekranem. Gra aktorki w ostatnich scenach filmu rozrywa serce. Naprawdę, jeśli będzie miała w przyszłości szczęście do scenariuszy i reżysera, będziemy mogli się cieszyć gwiazdą pierwszej jasności. Artystką, która znajdzie swoje miejsce w historii kina.

Mimo wad filmu Tomlin zmusił mnie do refleksji. Życie trwa i będzie trwało, choćby przyjęło najbardziej kaleką formę. Show must go on. Człowiek przetrwa, nawet odarty z absolutnie wszystkiego, jeśli znajdzie w sobie nadzieję. Czasami miłość nie wystarcza, by historia miała dobre zakończenie, ale bez miłości nie ma dobrych zakończeń.

I jeszcze jedno: nieoczywistość, która nie daje mi spokoju. W pewnym momencie – ważne jest, że dzieje się to jeszcze na długo przed finałem opowieści – chłopak pyta bohaterkę: „Myślisz, że będzie jeszcze tak jak kiedyś?”. Ona odpowiada: „Nie”. I chyba nawet nie powinno.

Robert Tekieli
Polskie Radio



POPKULTURA



Wojciech Stanisławski

Zdychająca wojna

*Nie przyszło nam do głowy, że będą istnieć i inne
Miasta, takie jak Donieck, również zapelnione
ruinami świątyń, widmami ogrodów i domów
– które stały się takimi nie przez dwustuletnie
oblężenie, lecz dlatego, że taki był kaprys potwora,
który rozwarł szeroko swój pysk nicości*

O „państwach nieuznanych”, ostańcach dawnego czasu, tkwiących nad ziemią niepojęcie jak „Zamek w Pirenejach” Magritte’a, zawieszonych na kilku sieciach telefonii komórkowych i kilku liniach dostaw, pisało już sporo autorów, również polskich – od Wojciecha Góreckiego po Tomasza Grzywaczewskiego czy Piotra Oleksego. Słowacki reporter tworzy w innym rytmie, kolejne rozdziały opisują nie tyle poszczególne sfery funkcjonowania quasi-państw na okrainach Ukrainy, ile towarzyszą ich kolejnym miesiącom. Poszczególne miejsca i ludzie nakładają się w tym multireportażu na siebie, sytuacje powracają (ile razy w końcu można z tym samym lękiem przechodzić blokpost czy spędzać noc w ostrzeliwanym bunkrze?), przez co całość nabiera nowej jakości: dręczącego, nieprzerwanego koszmaru, jednego z tych snów, w które człowiek, nawet usiłując się zbudzić, osuwa się wciąż na nowo. Jura, Meklaud, Girkin, najtańszy johny walker „z czerwona kartką” stanowiący jednostkę obiegową, znowu blokposty, staruszki smażące podwiedle ziemniaki...

Ale po kolei. Pierwsza część książki mogłaby nosić tytuł „Fizjologia wojny hybrydowej” i jest przejmująco celna (choć podporządkowaną regułom reportażu, nie wykładu historii) rekonstrukcją wydarzeń z wiosny 2014, dokonujących się w cieniu zwycięskiego Majdanu. Tomáš Forró prowadzi nas przez Ługańsk i Donieck, przechodząc od zapisu relacji poszczególnych, szeregowych świadków – Miszy, Walery,



Liny – do „ściągania cugli”, przypominałoby tła. Ta część traktuje równolegle o wymiarze militarnym i politycznym wojny hybrydowej oraz o podglebiu, bez których wszystkie posunięcia Antymajdanu, Prawego Sektora i FSB byłyby niemożliwe: o „polityce marzeń”. O fenomenie wschodnioukraińskich „tutejszych”, nie tyle związanych emocjonalnie czy historycznie z Moskwą, ile alergicznych wobec tożsamościowego Kijowa – ale i o tym, jak te rozmyte, plastyczne tożsamości udało się Rosji w kilka miesięcy ukształtować, zaharto-

wać i nakłonić do oporu. „Skoro Majdan marzył o Europie, to o czym marzył Antymajdan? Oczywiście o Rosji”.

Tak zaczął się chaos, który symbolizowały demonstracje i pierwsze trupy („na centralnym placu Doniecka wśród tłumy leży nieruchomo człowiek. Z ran klutych cieknie mu krew i wsiąka w topiący się śnieg i błoto. Nazywa się Dmitrij Czerniawski i jest uważany za pierwszą ofiarę konfliktu w Donbasie”), błyskawiczne kariery samozwańców w rodzaju Pawła Gubariewa czy Oleksandra Charitonowa, potem zaś – „komendantów polowych” w rodzaju osławionego Strielkowa, „Giwiego” czy „Motoroli”.

Nie przypadkiem piszę tu o fizjologii, nie anatomii wojny hybrydowej. Forró nie tworzy statycznych ilustracji, lecz ukazuje całą dynamikę konfliktu zbrojnego na poziomie logistyki i taktyki: konstruowanie „matrioszek”, na które składają się ukryci najgłębiej rosyjscy doradcy wojskowi czy szefostwo służb specjalnych, struktury lokalnych przedsiębiorców, mafii, szkół walki czy kibiców oraz warstwę najbardziej zewnętrzną: miejscowych, czasem bezwolnych, najczęściej nastraszonej rosyjską narracją o „faszystowskich ukarach”, czasem – doświadczonej zadawanych na oślep uderzeń armii ukraińskiej.

Równolegle pokazuje proces odwrotny – powstawanie jednostek ochotniczych i ich włączanie czy wtapianie w struktury modernizowanych sił zbrojnych Kijowa. Jest w tym obiektywny: czytelnicy, świadomi różnych zaangażowań Wydawnictwa Czarne

w ostatnich latach będą zbudowani, widząc, jak rzeczowo Forró rozprawia się z mitem „ukraińskich neonazistów z »Prawego Sektora«”. Czy może inaczej: nie tyle rozprawia się, ile traktuje fobie, kalki propagandowe i mity ze stosownym dystansem, nie rozdymając pojedynczych faktów. Owszem, dostrzega świra noszącego mundur Wehrmachtu, a w sfoferce jeepa „naklejkę z przekreślonym islamskim półksiężycem i żydowską gwiazdą” – rozumiejąc zarazem, że te fatalne marginalia nie przesądzą o naturze jednostek ochotniczych, a współczesny nacjonalizm ukraiński jest znacznie bardziej „terytorialno-tożsamościowy” niż etniczny. A jednocześnie słowacki reporter daleki jest od malowania laurki, co zdarza się czasem ukrajinofilom: opisuje nie tylko nieudolność, korupcję i kapitulancję, jakie

dotknęły regularną armię ukraińską na początku konfliktu, lecz także niedbalstwo późniejszych lat, prowadzące czasem do ostrzelania cywilnych dzielnic Doniecka czy Ługańska.

Już tego materiału wystarczyłoby do powstania książki sugestywnej, ukazującej wojnę, która rozpoczęła się, bagatela, osiem lat temu. Najosobliwsze są jednak dalsze części „Apartamentu...”, pokazujące konflikt w stanie trwania, zamierania i degradacji. Oczywiście, Rosja nie pozbedzie się kontroli nad tymi terenami, widząc w niej szansę na trwałe destabilizowanie Ukrainy. Strategiczne cele skłoniły ją jednak do zamrożenia konfliktu, nakaz oszczędności – do limitowania wsparcia finansowego dla DRL i LRL.

Rezultatem jest powstanie państwów podobnych tym, które 30 lat temu można

było zwiedzać na ziemiach Jugosławii, i równie absurdalnych. Przez zrujnowane, nieludsko zaśmiecone miasta, po wybojach i szutrze przemknę czasem lakierowana limuzyna. Bloki syją się, z okien sterczą rury piecyków, na miejscowym targu – sterta starych ubrań i podwiedlej papryki. Czasem, gdzieś – plama koloru: przemycone trampki, podróbka McDonalda. Tak wyglądało Sarajewo, tak wygląda dziś Donieck. „Doprawdy niepojęte że Miasto jeszcze się broni”: tyle razy powtarzaliśmy ten wers, dumni z Miasta, z jego racji i odwagi, i nie przyszło nam do głowy, że będą istnieć i inne Miasta, również zapełnione ruinami świątyń, widmami ogrodów i domów – które stały się takimi nie przez dwustuletnie oblężenie lecz dlatego, że taki był kaprys potwora, który rozwarł szeroko swój pysk nicości. ▀

Czarna Peczora, zielony cytat

Nie jest całkiem nieznana. Jej utwory docierały czasem z Londynu, łagrowe wspomnienia drukowano kilkakrotnie w podziemiu lat 80., a potem po odzyskaniu niepodległości, przed pięciu laty PIW w świetnej serii „Poeci do Kwadratu” wydał „Tartą różę”, obfity wybór jej wierszy. Była okazja, by posmakować wersów Beaty Obertyńskiej, zastanowić się, na ile celne są opinie historyków literatury, niby przypisujących ją do Skamandrytów, ale i zestawiających z Jasnorzewską, i zwracających uwagę na cierpkość i powściągliwość wersów, i zastanawiających się, jak ta skamandrycka, „kobieca”, staroświecka trochę, co tu kryć, poezja przetrwała, dobrze widać schłodzona lodowym tchnieniem Peczory, aż po wydane już pośmiertnie „Grudki kadzidla”.

„Piękno i piekło” jest jednak przywołaniem innego rodzaju niż wznowienie przedwojennych wierszy Obertyńskiej czy wpisanie fragmentów „W domu niewoli” do kanonu lektur. Mamy okazję doświadczyć poetki ze Lwowa nie w jej emancypacyjnym sztafżu z II RP (sielskie dzieciństwo, mecenat Medyki, ambicje aktorskie, ale i dramatyczne przejścia, iskompikowane życie osobiste), nie w mundurze pani porucznik Armii Andersa, lecz – opowiedzianą na nowo przez Annę Piwkowską.

Już utwory w „Tartej różę”, zgodnie z formułą wydawniczą „Poetów do Kwadratu”,

wybrane były przez nią. A jednocześnie „Piękno i piekło” to kolejny z jej esejów biograficznych, poświęconych Achmatowej i Cwietajewej. Z wielką radością odnalazłem w opowieści o Beacie Obertyńskiej tę samą prozodję, te same jakby uderzenia dłuta: wsłuchanie się we wcześniej piszącą autorkę, pozwalające w naturalny sposób nawiązywać do jej frazy, wpłatać czasem używane przez nią sformułowania we własną opowieść, lecz przede wszystkim – odtwarzać jej sposób postrzegania i przeżywania świata, dostrzegać (czy imaginować sobie) detal, przeoczony przez wszystkich: zapach kubka mleka na łagrowym etapie. Szelmowski uśmiech podczas premiery amatorskiego przedstawienia teatralnego. „Błękitną miskę Karpat”.

Jej bohaterki niełatwo pewnie znalazłyby porozumienie. Znaczące jest jedno z pierwszych zdań książki: „»Dawaj... padnij!« słyży poetka Beata Obertyńska [...]”. Ten język opawców nigdy potem już nie będzie dla niej językiem Puszkina, Tolstoja, Achmatowej”. Zapewne – ale Anna Piwkowska potrafi przywołać Achmatową również w biografii Obertyńskiej i pojeść w jakiś sposób, jakby przechodziła między nimi, Persefona z PIW, z naręczem maku.

Bywają pewnie biografie bardziej dociekliwe, bardziej szczegółowe. Rzadko zdarzają się tak szlachetne (i rzadko cytaty złożone są tak piękną, malachitowozieloną czcionką!) ▀



Anna Piwkowska, „Piękno i piekło. Opowieść o Beacie Obertyńskiej”, PIW, 2021

Zielony cel UE – czarny scenariusz dla finansów państwa

Wyliczenia analityków banku Pekao SA nie pozostawiają złudzeń – Polska musiałaby z własnych zasobów sfinansować projekty o wartości niemal 300 mld euro, czyli za ok. 1 bln 200 mld zł, by osiągnąć założenia pakietu klimatycznego Fit for 55

Autor Fit for 55 Frans Timmermans, wiceprzewodniczący Komisji Europejskiej, coraz częściej jest nazywany „szaleńcem”. Holender w poprzedniej kadencji specjalizował się w tzw. praworządności i toczył na tym polu walkę z polskim rządem, a obecnie został naczelnym „ekologiem” Unii Europejskiej. Czym zapewniający przy każdej okazji o swojej rzekomej wielkiej miłości do naszego kraju holenderski urzędnik zasłużył sobie na takie miano? Do odpowiedzi przybliży nas nieco analiza finansowa koncepcji Fit for 55, jaką przeprowadzili analitycy banku Pekao SA. Prognozy te mogą przypisać o bezsenność każdego Polaka, któremu zależy na pomyślnym rozwoju naszej ojczyzny.

SZOKUJĄCY RAPORT PEKAO SA

Z wyliczeń ekspertów Pekao SA wynika, że koszty związane z Fit for 55 wyniosą dla naszego kraju 527 mld euro do 2030 r., co oznacza, że będą aż o 189 mld euro wyższe niż w zakładanym wcześniej scenariuszu dekarbonizacji Europy i Polski, zwanym Fit for 40.

Jak podaje bank, aż 40 proc. tych kosztów pochłonie transformacja energetyczna, polegająca na zwiększeniu udziału odnawialnych źródeł energii w ogólnym miksie energetycznym, oraz obniżenie emisyjności energetyki konwencjonalnej.

27 proc. prognozowanych wydatków pójdzie na renowację budynków,

aby spełniały one minimalne standardy efektywności energetycznej. Będzie to kontynuacja dotychczasowych działań, a więc termomodernizacje czy wymiany pieców węglowych na pompy ciepła.

Kolejne 33 proc. kosztów Fit for 55 to cena nabycia uprawnień do emisji CO₂ w energetyce, przemysłach ener-

Większość wydatków związanych z Fit for 55 to inwestycje, które polska gospodarka udźwignie. Pytanie kto je sfinansuje? Czy najuboższe gospodarstwa domowe uzyskają jakąś pomoc – zastanawia się Ernest Pytlarczyk, główny ekonomista Pekao SA i jeden z autorów raportu

gochłonnych oraz w transporcie drogowym i budownictwie mieszkaniowym i komercyjnym, na przykład w formie opłat doliczanej do paliw.

Będą jeszcze dodatkowe koszty, których dziś nie sposób oszacować, gdyż dotyczą one obniżania emisyjności tzw. przemysłów energochłonnych. Technologie z tym związane są na wstępnym

etapach rozwoju (np. redukcja rudy żelaza wodorem) i najprawdopodobniej wykrócą poza horyzont 2030 r., kiedy to założenia Fit for 55 mają zostać osiągnięte.

Aby opracować swój raport, analitycy przyjęli założenie, że koszt uprawnień do emisji jednej tony CO₂ w 2030 r.

osiągnie cenę 129 euro. Czy tak się stanie? Tylko pod warunkiem, że wcześniejsza dynamika wzrostu uprawnień zostanie wyhamowana. Jeśli jednak nadal handel uprawnieniami będzie przedmiotem tak spekulacyjnych ruchów jak dotychczas, to szacunki te mogą być znacznie zaniżone, co będzie oznaczało, że koszt wdrożenia pakietu wzrośnie jeszcze bardziej, a przypomnijmy, że cena uprawnień do emisji CO₂ to w zakładanym przez bank modelu aż jedna trzecia wszystkich związanych z nim kosztów.

Pakiet Fit For 55 to główne narzędzie realizacji celu ograniczenia emisji gazów cieplarnianych o co najmniej 55 proc. do 2030 r. względem poziomu emisji z 1990 r. oraz osiągnięcia neutralności klimatycznej w perspektywie 2050 r. To piękne i szlachetne cele i także analitycy banku podkreślają, że zdają sobie sprawę, że neutralność klimatyczna to oprócz kosztów także duże zyski, zarówno te łatwe do wyceny (przychody budżetu z aukcji CO₂), jak i trudne: stabilniejszy klimat, czystsze środowisko, poprawa zdrowia publicznego oraz ochrona bioróżnorodności.

WIELKA DZIURA W KASIE

Zyski, które można wycenić, mają pochodzić głównie z krajowych aukcji uprawnień do emisji CO₂ oraz z funduszy unijnych, jeśli oczywiście UE zacznie poważnie traktować swoje zobowiązania traktatowe i przestanie blokować należne Polsce fundusze. Pekao zakłada, że do 2030 r. budżet Polski może uzyskać 219,5 mld zł ze wskazanych źródeł, czyli o 63 mld zł więcej niż w scenariuszu bez Fit for 55. Nie ma się jednak z czego cieszyć. Różnica dla Polski pomiędzy całkowitym kosztem dekarbonizacji do 2030 r. a środkami możliwymi do uzyskania z UE oraz systemu handlu emisjami wyniesie ok. 1,2 bln zł, czyli zabraknie nam w kasie niemal 300 mld euro.

Jak wskazała sama Komisja Europejska, ograniczenie emisji o 55 proc. do 2030 r. będzie generowało stosunkowo wyższe koszty dla tych państw członkowskich, które charakteryzują się wyższymi emisjami gazów cieplarnianych, wyższą energochłonnością i niższym PKB na mieszkańca. Opis ten idealnie pasuje właśnie do Polski.

Oczywiście cena tej transformacji najbardziej obciąży polskie gospodarstwa domowe. Analitycy wskazują, że przyjęcie pakietu spowoduje konieczność poniesienia dodatkowych kosztów (względem wcześniej założonej redukcji emisji o 40 proc.) przez gospodarstwa domowe w kwocie 284 mld zł do 2030 r. Z kolei całociowy koszt dekarbonizacji dla polskich gospodarstw domowych w związku z Fit for 55 został oszacowany na kwotę 744 mld zł.

Bank wyliczył także, że ok. 1 bln zł pochłoną wydatki na inwestycje w celu dekarbonizacji zgodnie z celami Fit for 55 w sektorze energetycznym. Z tego ok. 200 mld zł stanowią dodatkowe inwestycje wynikające z zaostrzenia celu z „40” na „55”.

ARGUMENT ZA WETEM

Czy Polsce uda się zasypać tę gigantyczną lukę finansową? Analitycy banku wskazują, że obecnie potrzebujemy pilnych działań na wszystkich frontach „zielonej gospodarki” jednocześnie. Potrzebujemy zarówno dużej elektrowni jądrowej, jak i małych re-

aktorów w przemyśle. Zarówno wiatraków na lądzie, jak i na morzu. Jeśli chcemy utrzymać gaz i węgiel w systemie, to musimy zainwestować w technologię wychwyty CO₂ w procesie ich pozyskiwania. Zadaniem gospodarstw domowych są zielone inwestycje wszelkiego rodzaju: pompy ciepła, fotowoltaika, termomodernizacja, retencja wody, elektromobilność. Zadaniem

państwa jest zaś budowa sprzyjającego otoczenia regulacyjnego, zachęt finansowych oraz ochrona wrażliwych grup społecznych.

– Naszym zadaniem jako banku jest pomoc w sfinansowaniu tego wszystkiego, ale w mądry sposób. Tak aby priorytet zyskały inwestycje najbardziej „rentowne klimatycznie” – czytamy w opracowaniu.

Koszty szaleństwa Fransa Timmermansa

2,4 bln zł

pełny koszt do 2030 r. realizacji pakietu Fit for 55 dla Polski.

900 mld zł

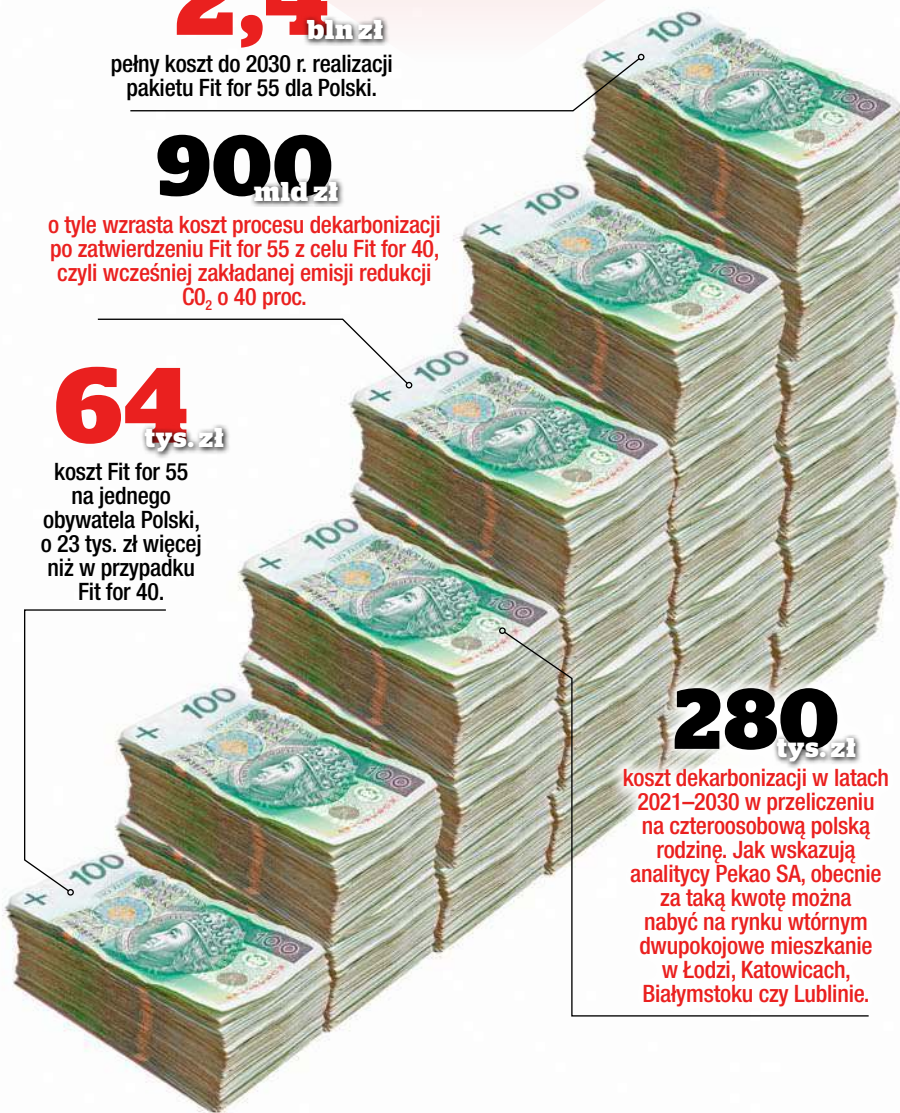
o tyle wzrasta koszt procesu dekarbonizacji po zatwierdzeniu Fit for 55 z celu Fit for 40, czyli wcześniej zakładanej emisji redukcji CO₂ o 40 proc.

64 tys. zł

koszt Fit for 55 na jednego obywatela Polski, o 23 tys. zł więcej niż w przypadku Fit for 40.

280 tys. zł

koszt dekarbonizacji w latach 2021–2030 w przeliczeniu na czteroosobową polską rodzinę. Jak wskazują analitycy Pekao SA, obecnie za taką kwotę można nabyć na rynku wtórnym dwupokojowe mieszkanie w Łodzi, Katowicach, Białymstoku czy Lublinie.



*w swoich założeniach analitycy Banku Pekao S.A. przyjęli kurs 4,02 zł za 1 euro

*Jest bohaterem
narodowym Serbów.
Novak Djoković,
jeden z najbardziej
utytułowanych tenisistów
w historii tej dyscypliny, budzi jednak kontrowersje
swoimi pozasportowymi zachowaniami.
To powoduje, że nie można wobec
niego pozostać obojętnym*



Szalony człowiek z Bałkanów



GORAN ANDRIJANIĆ

gwiazdę tenisa jako bohatera narodowego, ale się okazało, że może on być ważną postacią również dla innych Słowian w tej części Europy, czyli narodów, które są zawsze szczęśliwe, gdy ktoś z ich szeregów odnosi międzynarodowe sukcesy.

BOHATER ANTYSCZEPIONKOWCÓW

To było jakieś 15 lat temu, na samym początku kariery Novaka Djokovicia. Serbski tenisista wygrał turniej w Montrealu z Rogerem Federerem, a podczas ceremonii wręczenia nagród prowadzący uroczystość przedstawił go jako „tenisistę z Chorwacji”.

Aby pomylić Serba z Chorwatem, po tym wszystkim, co się wydarzyło między tymi dwoma narodami w czasie ostatnich 30 lat, trzeba być strasznym ignorantem. Co zrobił Djoković? Podszedł do mikrofonu i powiedział: „Muszę poprawić błąd, nie jestem Chorwatem, tylko Serbem”, i dodał, żartując: „Ale cóż, to prawie tak samo”.

Jego spokojna reakcja i żart sprawiły, że Djoković zyskał wówczas wielu nowych fanów. Znany chorwacki pisarz Miljenko Jergović napisał komentarz, w którym uznał Djokovicia za „dżentelmena”. Już wtedy Serbowie postrzegali wschodzącą

Nikt nie może zaprzeczyć, że na czele tej grupy stoi Novak Djoković, jeden najbardziej utytułowanych tenisistów w historii tego sportu. Właśnie ze względu na jego popularność obserwujemy tak ogromne zainteresowanie tym, co się dzieje w związku z jego udziałem w Australian Open. Djoković zawsze był pod lupą mediów. Nie dziwią więc kontrowersje, które wywołał, ponieważ towarzyszą one całej jego karierze. Kiedy to pisze, nadal nie jest jasne, czy Djoković zagra w Australian Open, próbując po raz dziesiąty obronić tytuł tego turnieju.

Przypomnijmy, Djoković, który kilkakrotnie wyrażał swój sceptycyzm wobec szczepionki na COVID-19, chciał wjechać 5 stycznia do Australii z dokumentem, który, jak twierdził, zwalnia go ze szcze-

pień przeciw koronawirusowi. Dokument miał otrzymać od lekarzy z Serbii, którzy potwierdzili, że nie potrzebuje szczepionki, ponieważ niedawno przechorował COVID-19.

Tymczasem na lotnisku w Melbourne tenisista został zatrzymany, ponieważ rząd federalny nie chciał uznać zaświadczenia. Niedługo później tenisista został uniewinniony przez sąd federalny, ponieważ padł ofiarą błędnej procedury służb granicznych. Teraz o jego losie powinien zdecydować minister ds. imigracji Alex Hawke, który ma prawo do samodzielnej decyzji w tej sprawie. I to właśnie on musi zdecydować, czy Djoković zagra w turnieju, którego główna część rozpocznie się 17 stycznia.

W międzyczasie w niektórych zachodnich mediach pojawiły się informacje, które pogorszyły sytuację Djokovicia. Pierwsza jest związana z udowodnionymi



aktywnościami społecznymi, które Serb prowadził po potwierdzeniu, że został zarażony. Druga, jeszcze bardziej niewygodna, zakwestionowała autentyczność jego świadectwa pokonania COVID-19.

Nieważne, jak ta historia się skończy – czy pojawieniem się

Djokovicia na turnieju, czy deportacją do Serbii – jedno

jest pewne: serbski tenisista stał się no-

wym bohaterem antyszczepion-

kowców całego świata. I szcze-

rze mówiąc, nie-

które fakty z jego kariery i życia mogły wskazywać, że tak to się właśnie skończy.

MISTRZ Z MAŁEGO KRAJU

Djoković urodził się w Belgradzie w 1987 r., ale jego rodzina, poprzez ojca Srdjana, pochodzi z Czarnogóry, ale też z Kosowa, niegdyś części Serbii, a obecnie niepodległego państwa.

Novak od najmłodszych lat skazany był na karierę tenisową. Niedawno w internecie zostało opublikowane stare nagranie wideo, będące zapisem rozmowy z małym Djokoviciem. Novak opisuje w nim swój codzienny trening, żaląc się, że może się bawić tylko „w nocy”, ponieważ całe dnie spędza na korcie. „Moim celem jest zostać mistrzem” – mówi do nas w materiale mały Novak. Miał wtedy siedem lat.

Pomimo żartu o „podobieństwach Serbów i Chorwatów” oraz faktu, że matka tenisisty jest Chorwatką, Djoković wychowywał się jako tożsamościowy Serb, który zawsze bronił interesów politycznych swojego narodu. Zawsze też to podkreślał. „Kosowo jest Serbią i musi tak pozostać na zawsze” – powiedział w 2008 r. w filmie wspierającym wielkie demonstracje w Belgradzie, w dniu ogłoszenia przez Kosowo niepodległości. Jego zwycięstwa zawsze znaczyły dla Serbów coś więcej niż sport.

Kiedy wygrał Wimbledon w 2015 r., wiele serbskich mediów określiło jego triumf jako „zemstę” na Brytyjczykach, którzy tego samego roku zaproponowali w Radzie Bezpieczeństwa rezolucję o Srebrenicy, określającą dokonane tam zbrodnie jako ludobójstwo. Belgrad przyjął wtedy ten ruch Londynu, który zawsze był jego historycznym partnerem, jako cios w plecy.

Djoković zawsze był świadomy swojego statusu bohatera politycznego i społecznego w Serbii i nigdy przed nim nie uciekał. Często przeznaczał część swojego bogactwa zdobytego na korcie na różne cele humanitarne, a swoją popularność wykorzystywał na szlachetne cele.

Jednocześnie trzeba przyznać, że w dużej mierze dbał o to, by nie zamienić swojego patriotyzmu w negatywnie postrzegany nacjonalizm. Dlatego był otwarty na inne narody tej części Europy. Całkiem niedawno przyjęto to w Serbii dość negatywnie, gdy udzielił otwartego wsparcia chorwackiej reprezentacji w piłce nożnej na mistrzostwach świata w Rosji w 2018 r. „Mam wielki szacunek dla chorwackich graczy. Oczywiście kibicowałem im z głębi serca” – mówił wtedy Serb.

Niestety miłość Serbów do Djokovicia oraz przychyłność okazywana tenisistom przez kibiców z sąsiadujących krajów nie jest już tak oczywista w przypadku państw zachodnich.

„Gdzie jest miłość do Novaka?” – pytał brytyjski „The Telegraph” w artykule o sportowcu, który z łatwością pokonał Federera i Nadala, jednak nigdy nie był ulubieńcem publiczności w dużych turniejach. Co ciekawe, także sponsorzy nigdy się nie spieszyli, aby podpisywać z nim kontrakty.

Czy problemem jest to, że pochodzi z małego kraju? Serbowie są przekonani, że tak właśnie jest. A teraz wszystko to, co się dzieje w Australii, traktują jako spisek przeciwko ich bohaterowi.

Sam Novak również to zauważył. Pewnego razu stwierdził, że ma świadomość, iż ciągle musi coś udowadniać, bo pochodzi z „jakiejś małej Serbii”. Czy jednak sam nie jest choć trochę winny tej sytuacji?

SKŁONNOŚĆ DO EZOTERYKI

Djoković, choć deklaruje się jako prawosławny chrześcijanin, zawsze miał wielką skłonność do ezoteryki i medycyny alternatywnej, a nawet religii wschodnich (regularnie praktykuje buddyjską medytację). Jego zamiłowanie do „alternatywy” powodowało, że często otaczali go dość dziwni ludzie, którzy, jak twierdził, pomagali mu w karierze. Tylko chyba nie było tak do końca.

Znany jest epizod z jego kariery, kiedy do sztabu jego drużyny trafił Pepe Imaz, hiszpański trener, który oparł swoje po-

dejście do tenisa na filozofii New Age, medytacjach i unikaniu klasycznych metod terapeutycznych. Niestety był głównym odpowiedzialnym za podjęcie decyzji o nieoperowaniu kontuzjowanego łokcia Djokovicia, ale leczeniu go metodami alternatywnymi. Spowodowało to ból, który spowolnił karierę sportowca. Po zerwaniu współpracy z Imazem i operacji łokcia w drugiej połowie 2018 r. Novak wrócił do formy i ponownie awansował.

Innym przypadkiem jest przyjaźń Djokovicia z pewnym doktorem – Samirem Osmanagicielem z BiH – znanym m.in. z szerzenia teorii głoszących istnienie w jego kraju piramid, zbudowanych przez starożytną cywilizację, niewidocznych z powodu roślinności, która je obrosła przez lata. Zainteresowanie tenisisty dziwną i nigdy niepotwierdzoną naukowo teorią pomogło Osmanagicielemu zrobić na niej niezły interes. W pobliżu Sarajewa zbudował „park archeologiczny”, a Djoković, który odwiedzał to miejsce kilka razy, miał stwierdzić, że czuje w nim „dobrą energię”. Niedawno Osmanagic rozbudował swoją teorię, twierdząc, że wizyta u szczytu jego piramid pomoże w eliminacji wirusa COVID-19 w organizmie, o ile na taki zapadliśmy.

Wrażenie swego rodzaju foliarstwa wzmacniają działania na portalach społecznościowych żony tenisisty – Jeleny – która zamieszczała kiedyś na Instagramie tekst o tym, jak technologia 5G pomaga w rozprzestrzenianiu epidemii.

Sam Djoković, jeszcze przed wyjazdem na Australian Open, kilkakrotnie wyrażał wątpliwości dotyczące szczepionki. „Nie jestem pierwszym, który nie został zaszczepiony. Nie chcę się szczepić. Jeśli będzie to obowiązkowe, pomyślę o tym. Chcę wybrać to, co jest najlepsze dla mojego ciała” – powiedział.

Oczywiście wykorzystują to zachodnie media, które przedstawiają Djokovicia jako szalonego człowieka z Bałkanów, zapominając o jego niezwyklej hojności. Żadne z nich nie wspomina ani słowem o tym, jak Serb pomógł podczas pierwszej fali epidemii włoskiej prowincji Bergamo, przekazując miastu darowiznę w wysokości miliona euro.

Jedni się Djokoviciem zachwycają, inni mają o nim nie najlepszą opinię. To powoduje, że nie można wobec niego pozostać obojętnym.

Facet od kuchni



Bryluje na YouTube, gdzie prowadzi kulinarny kanał Oddaszfartucha. W książce, wydanej przez Znak Horyzont, też promuje treścią, głównie mięsną, męską kuchnię.

Pisze: „Szukałem różnych smaków i doszedłem do wniosku, że to właśnie najprostsze jedzenie jest najsmaczniejsze. Jakość, a nie ilość – to moje motto kulinarne. Świeżo zmielony czarny pieprz i zioła nawet najwyklejszą potrawę mogą zamienić w prawdziwą poezję smaku”. Podkreśla: Ma być tanio, prosto, pysznie i domowo, bo wtedy smakuje najlepiej.

Jego propozycje mogą przyprawić o spazmy jaroszków. W roli przekąsek i „przystawek na każdą okazję” widzi: białą kielbasę, golonkę na zimno, boczek gotowany w lupinach cebuli, pieczony, ale też: karkówkę duszoną w smalcu, pasztet z wątróbek drobiowych i, dla urozmaicenia, tatar ze śledzia.



W rozdziale „Najlepsze zupy, czyli kapitalne gotowanie” nie brakuje flaków staropolskich oraz z żołądków drobiowych; odpowiednio wzmocnionych mięsiwem grochówki, kartoflanki, kwaśnicy, zupy gulaszowej. Pomidorowa została uzupełniona pulpecikami, a żurek zyskał wkładkę z białej kielbasy.

„Konkretne dania główne” chrupią panierką na ćwiartkach z kurczaka, palą podniebienie diabelskimi skrzydełkami, ale też stawiają na stole okazałą kaczkę z jabłkami, kurczaka duszonego w śmietanie, pieczonego w piwie lub takiego „spod cegły”. Jak perliczka, to „po polsku”. Warzywa tylko w roli dodatków: por i jabłko – do kaczki; brukselka do potrawki z kurczaka, brokuł lub pieczarki – do faszerowania roladek. Na warzywach można też upiec udziec z indyka.

Jeśli drób okaże się zbyt mało treściwy, pozostają konkretne dania z wieprzowiny (biała kielbasa zapiekana w sosie chrzanowym, boczek w panierce lub z jabłkami, gulasz duszony w piwie, pieczona golonka z kiszoną kapustą, podwójny schabowy, żeberka w sosie własnym lub z piekarnika w sosie barbecue) oraz z wołowiny (bitki, forszmak, klopsy, stek z antrykotu, zrazy...).

Żeby oddać sprawiedliwość, wśród ponad stu przepisów przedstawionych w książce są też propozycje dań mącznych. Np. kaszotto z leśnymi grzybami czy łazanki z kapustą, ale i boczkiem. Pyzy, obowiązkowo, okraszone są skwarkami, babka ziemniaczana też nie obejdzie się bez boczku.

W rozdziale poświęconym daniom jarskim próbują się przebić pieczony w całości kalafior i kapusta pieczona z warzywnym sosem; kluski – lyżką kładzione w sosie szpinakowo-serowym albo nadziewane pieczarkami i zapiekane w sosie śmietanowym; kotlety z ziemniaków i kiszonej kapusty oraz krokiety ze szpinakiem, serem śmietankowym i fetą.

Dodatki też przeważają konkretne: zasmażane buraczki, konfitura z cebuli i boczku, pieczarki w glazurze czy warzywa pieczone z miodem i tymiankiem. Surówki i salátky bynajmniej nie mają na celu ograniczania kalorii, ale w końcu każdy wybiera to, co lubi. **✓**

Jolanta Gajda-Zadworna

*Autor książki „Oddaszfartucha, czyli facet od kuchni”



Kotlet wołowy po francusku

Składniki: 400 g mielonej wołowiny, 2 grube kromki jasnego chleba, 2 świeże surowe żółtka jaj, 1 biała cebula, 1 czerwona cebula, 2 łyżeczki kaparów, 2 łyżeczki świeżo startego na tarce o grubych oczkach korzenia chrzanu, 2 łyżeczki czerwonych buraczków ze słoika, sałata, 30 g masła, sól i czarny pieprz do smaku, olej do smażenia.

Przygotowanie: Chleb smarujemy obficie masłem. Obsmażamy na patelni lub podpiekamy w piekarniku. Mięso przyprawiamy solą i czarnym pieprzem. Dodajemy cebulę pokrojoną w drobną kostkę. Masę dokładnie wyrabiamy i formujemy dwa płaskie kotlety o grubości 2,5 cm. Smażymy na rozgrzanym tłuszczu po kilka minut z każdej strony. Kotlety podajemy na kromkach chrupiącego chleba wyłożonego liśćmi sałaty. Na wierzchu kładziemy surowe żółtko, krążki czerwonej cebuli, kapary, pokrojone w kostkę buraki oraz chrzan.



SŁODKO-SŁONY

Złote jagody

ANNA MONICKA

Pierwsze spotkanie z miechunką? Wcale nie kulinarne. Zachwyciła mnie roślina, która wygląda jak chiński lampionik. Jej owoc osłania ogniste czerwona torebka, która z czasem się wykrusza i zamienia w misterną siateczkę. Jest bezkonkurencyjna w zimowych bukietach – wysoka, efektowna, długo zachowuje kolor. Na rabatach wygląda jeszcze lepiej – przypomina trochę rozrośnięty krzak pomidora (nieprzypadkowo zresztą, bo także należy do rodziny psiankowatych). Niestety, wtedy gdy pomidor karierę zaczyna, ona ją kończy, przynajmniej u nas. Wszystkie dlatego, że zawiera trujący składnik – solaninę. Tę samą, która znajduje się w kielkujących lub zielonych ziemniakach. Do miechunki przylgnęła więc etykieta niejadalnej. Tymczasem szkodliwe są liście, łodygi i kwiaty, a dojrzałe owoce nie (znów tak samo jak u pomidorów).

Najlepsza jest zdecydowanie miechunka peruwiańska (nazywana też rodzynką brazylijską) – świeża od czasu do czasu pojawia się w marketach, można więc spróbować jej cierpkawego smaku. Ni to jagody, ni minipomidorki chętnie wykorzystują cukiernicy – złote kulki z fantazyjnie powyginanymi „kohnierzykami” ozdobią każdy tort czy deser z bitą śmietaną w pucharku. Wspaniale pasuje do bezy, która dzięki niej przestaje być słodkim ulepkiem.

Ja jestem amatorką suszonych owoców – są nieco większe niż rodzyнки, kwaskowate w smaku i bardzo orzeźwiające. Nic dziwnego, mają mnóstwo z witamin C i A, beta-karotenu, fosforu i niacyny. Drobne pesteczki łagodnie oczyszczają, więc lepiej nie przesadzać i dawkować sobie ten smakołyk rozsądnie, po kilka dziennie zamiast słodczy albo np. do śniadania – z płatkami owsianymi czy jagłanymi (choć ja akurat wolę jeść je osobno).

Kiedy ruszy sezon na kupowanie sadzonek do ogrodu, warto o niej pomyśleć. Pochodzi z wysokogórskich terenów, więc radzi sobie u nas całkiem nieźle, chociaż nie dorasta do takich rozmiarów jak w tropikach, gdzie krzewy mają nawet ponad metr wysokości. Z kilku owoców będzie tyle, że można pomyśleć o konfiturze – jej rześki smak pasuje nie tylko do deserów, lecz również do delikatnego białego mięsa.

Fot. Shutterstock



WILCZYM OKIEM

Kava kava

PRZEMYSŁAW BARSZCZ

Dotychczas poznano i opisano kilkaset tysięcy gatunków roślin występujących na Ziemi. Ta olbrzymia różnorodność przekłada się na nieograniczoną niemal możliwość zastosowania roślin – zróżnicowanie to daje pole do fascynujących, niekończących się badań naukowych, wciąż przynoszących nowe odkrycia. Wciąż też rośliny znane i wykorzystywane w jednych częściach świata nie są znane w innych – to z kolei pole do popisu dla etnobotaniki.

Jedną z takich roślin, bardzo popularną na wyspach Pacyfiku, a u nas niemal nieznaną, jest pieprz metystynowy *Piper methysticum*. Należy do rodziny pieprzowatych, tej samej co indyjski pieprz czarny, pochodzi jednak z południowego Pacyfiku z wysp Mikronezji i Vanuatu. Korzenie tej rośliny – świeże lub suszone – są zaparzane, dzięki czemu otrzymuje się napój zwany *kava kava*. Jest on przez wyspiarzy spożywany przy wszystkich możliwych okazjach, spotkaniach itp., podobnie jak u nas herbata lub kawa – z którą zresztą zachodzi ciekawa, lecz zupełnie przypadkowa zbieżność nazw.

Napar *kava kava* ma działanie relaksujące, rozluźniające i uspokajające, w większych ilościach nasenne. Może też działać rozweselająco, podnosić elokwencję, nie wywołuje jednak agresji.

Jednym z pierwszych Europejczyków – jeżeli nie pierwszym – który miał okazję pić *kava kava* i któremu zawdzięczamy opisy napoju, był Polak Jan Kubary, powstaniec styczniowy, który w 1869 r., po 130 dniach żeglugi, dopłynął na Samoa, a później ruszył dalej w głąb archipelagów. Kubary spędził na morzach południowych 27 lat, stając się wyspiarzem, tatuując na całym ciele i poślubiając wnuczkę wodza z wyspy Ponape.

Protestował przeciwko demoralizowaniu, wykorzystywaniu i wyniszczaniu wyspiarzy. Badał i dokumentował tamtejsze życie oraz zwyczaje, opisując wyspy, przyrodę i ludzi, a także wykonując fotografie – w wielu przypadkach pierwsze i ostatnie, kultura tamtejszych ludów niezmiernie szybko odchodziła bowiem w przeszłość. Jego nazwisko do dziś widnieje w wielu nazwach tamtejszych zwierząt, a jego prace o Mikronezji, a także jedyne na świecie słowniki tamtejszych języków są podstawą każdej szanującej się publikacji naukowej.



W ŚWIECIE LUSTER



HANNA KARP

PRL?

A może go nie było...

Wciąż można słyszeć dziennikarzy opozycji, aktorów czy reżyserów, obecnie kosmopolitów całą gębą, pracujących jeszcze w mediach sterowanych przez Komitet Centralny PZPR, którzy porównują obecny rząd Zjednoczonej Prawicy do rządów faszystowskich czy komunistycznych, a samego Jarosława Kaczyńskiego zestawiają z Bolesławem Bierutem, Wiesławem Gomułą czy Władimirem Putinem. Czyni to spustoszenie w głowach głównie ludzi młodych, przyczepionych do smartfona, dla których PRL to czasy równie odległe jak międzywojnie. Dlatego wciąż przypominam, czym była PRL. Dobrze zresztą jest przypomnieć, czym była PRL i tym, którzy żyli w czasach Gierka i Jaruzelskiego, także to, jak formatowano jeszcze wcale nie tak dawno myślenie Polaków.

Nowa władza, po roku 1944, oprócz środków przemocy bezpośredniej, równolegle stosowała przemoc mentalną. Budowa mediów i ich kontrola były jednymi z pierwszych zadań w procesie budowy systemu komunistycznego państwa polskiego. Za pośrednictwem mass mediów system stopniowo przejmował coraz większą władzę nad umysłami Polaków. Nie przypadkiem obszar mediów

i kontrola nad wolnością słowa stanowiły składową bezpośredniego aparatu przemocy państwa i jego służb.

Od 1944 r. urząd cenzorski działał mocą ustanowienia przez Polski Komitet Wyzwolenia Narodowego, a od 19 sierpnia 1944 r. jako wydział prasowo-informacyjny w ramach resortu informacji i propagandy. Cenzura kierowana i zarządzana była od początku przez funkcjonariuszy Ministerstwa Bezpieczeństwa Publicznego, a jej sprawne egzekwowanie stanowiło podstawowy element bezpieczeństwa całego reżimu i jego poszczególnych funkcjonariuszy. Uchwałą rządu z 15 listopada 1945 r. Centralne Biuro Kontroli Prasy (CBK), wydzielone z Ministerstwa Bezpieczeństwa Publicznego, przekształcono w Główny Urząd Kontroli Prasy, Publikacji i Widowisk. Ta transformacja pozwalała na szczelniejszą kontrolę całego systemu informowania.

PRZEMOC UKRYTA

Przemoc niewidzialna, kontrolująca świadomość była stałym i immanentnym elementem wszelkich przejawów życia społeczno-politycznego Polski Ludowej i PRL. Państwowy aparat przemocy

mentalnej korzystał z wielu narzędzi, z których najczęściej wymieniana się system urzędowej cenzury. Jednak kontrolę prasy, wydawnictw, radia, telewizji oraz nadzór nad wszelkimi powstającymi ośrodkami przekazu, przewidziano nie tylko dla rozbudowanego systemu aparatu cenzorów. Gwarantował ją najpierw system niszczącej, a później wzmacniającej propagandy. Jej wszechobecność zaznaczała się nie tylko na łamach gazet i książek, lecz we wszystkich dziedzinach życia oficjalnego i nieoficjalnego obywateli.

Innym narzędziem przemocy aparatu państwa w mediach była bezpośrednia obecność etatowych funkcjonariuszy i kontrola operacyjna. Ich wpływ zaznaczał się szczególnie w momentach zwrotnych. Wtedy kontrolę nad mediami przejmowali funkcjonariusze aparatu bezpieczeństwa, podejmujący zaplanowane centralnie operacyjne działania. Tak było w okresie stanu wojennego, gdy zmilitaryzowano nie tylko zakłady pracy, lecz również redakcje pism, radia i telewizji. Żołnierze i wojskowi w mundurach występowali w roli spikerów, reporterów, komentatorów i publicystów. Dziennikarze zaś, po uprzednich weryfikacjach, otrzymywali wymówie-

nia z pracy bez możliwości powrotu do zawodu, z sugestią opuszczenia kraju, otrzymując tzw. bilet w jedną stronę. W stanie wojennym po raz pierwszy na tak niespotykaną skalę do działań pacyfikacyjnych społeczeństwa użyto wojska. Pierwszy raz żołnierze czytali w studiach telewizyjnych wojenne komunikaty gen. Wojciecha Jaruzelskiego.

APARAT KŁAMSTWA

Media w systemie Polski Ludowej stanowiły składową rozbudowanego aparatu kłamstwa, pełniąc funkcję narzędzia zniewalania i kontroli umysłów. System medialny znajdował się pod ścisłą i niepodzielną kontrolą partii, policji i rozbudowanych struktur aparatu bezpieczeństwa państwa. Zawartość przekazów kreował aparat partyjny. Partia i jej funkcjonariusze kierowali wszystkimi instytucjami propagandy. Poczynając od drukarni, fabryk papieru, urzędzeń technicznych, kolportażu, wydawnictw, redakcji, po organizację dziennikarskie. Autorzy przekazów medialnych i wszelkiej informacji publicznej funkcjonowali wyłącznie w ramach zawodowej autonomii kreowanej przez aparat partii i bezpieczeństwa. W praktyce wypełniali zadania funkcjonariuszy propagandy. A tu najwyższym imperatywem były dyspozycyjność i wiernopoddańcze podporządkowanie partii.

System kreował pseudoinformacje, informacje okrojone i dezinformacje. Kontrola myśli odbywała się przez kontrolę całego przepływu informacyjnego. Kontrolowano nie tylko rozpowszechnianie poszczególnych strumieni informacji. Cenzurowano media, archiwa, biblioteki, instytucje, które analizowały informacje i je przetwarzały (aparat biurokratyczny). Weryfikacji i manipulacji poddawano poszczególne jednostki i całość zbiorowego dyskursu publicznego. W przekazach informacyjnych prawdę immanentnie splatano z fałszem. Tworzono nowe słowa i nowy język, który opisywał nową rzeczywistość. Język – manipulowanie słowami, posługiwanie się wyrafinowaną i wypracowywaną frazeologią, komunistyczną nowomową – służył do budowy zdeformowanego obrazu świata, a także wywoływania pożądanych emocji, prowadząc do

usankcjonowania przemocy czy wręcz jej apoteozy.

Fundamentem procesu kreowania nowego systemu, nowego człowieka i nowej rzeczywistości była cenzura. Obejmowała wszystkie dziedziny życia, jednak nigdzie o niej nie można było usłyszeć ani przeczytać. Cenzurą objęte było samo słowo „cenzor” i urząd cenzury. System cenzury powojennej Polski, tak jak krajów bloku sowieckiego, opierał się na wzorach sowieckich. Wprowadzony został od początku pod nadzorem NKWD. Kłamstwo uświęcało wyższą „prawdę”. Jej jedynym depozytariuszem była partia.

APARAT CENZURY

Urząd cenzury w Polsce realizował sowieckie polecenia nie tylko na przełomie lat 1944–1945, ale także całe dekady później, przez okres stanu wojennego, aż do końca systemu PRL i jego załamania w końcówce lat 80. Od lipca 1946 r. konsekwentnie ignorowano procedury formalnoprawne. Pseudoprawna dekretowa legalizacja GUKPPiW miała na celu jedynie oddzielenie instytucji cenzorskiej od Urzędu Bezpieczeństwa i jego funkcjonariuszy. Przez cały okres trwania pracę urzędów cenzury i kontroli słowa regulowały wyłącznie dekrety. W tej sytuacji po roku 1980 Stowarzyszenie Dziennikarzy Polskich żądało, aby Sejm uchwalił wreszcie ustawę o cenzurze, wyraźnie precyzującą zakres uprawnień cenzorów i sposobów odwoływania się od ich decyzji.

System aparatu cenzury i praca jego funkcjonariuszy – cenzorów skupiały się na kilku rodzajach zadań. Chodziło o kontrolę informacji według głównych modeli cenzury: represyjnej, prewencyjnej, zapisu, perlustracji korespondencji, autocenzury. Każdy wymagał innego rodzaju kształcenia, wiedzy i praktycznej umiejętności. Cenzura prewencyjna była integralnym elementem totalitarnego systemu propagandy. Spełniała funkcje reglamentująco-indoktrynacyjne, szczególnie w latach 40., gdy cenzura rozciągnięta „wstecz” wymagała, by wycofywano z bibliotek i archiwów niepożądane książki, dokumenty, fotografie, z muzeów rzeźby, obrazy powstałe w okresie przedwojennym. Pracownicy

wydawnictw i dziennikarze akceptowali cenzurę automatycznie, wyrażając zgodę na pracę w tych instytucjach.

Cenzura represyjna z kolei obejmowała kontrolę publikacji już po wydrukowaniu i rozpowszechnianiu. Tu decyzje cenzorskie na żadnym odcinku nie były weryfikowane przez sąd. Wiązały się z represjami wobec głosicieli niepożądanych treści i oznaczały wstrzymanie rozpowszechnianych publikacji.

Zapis oznaczał zaś eliminację z obiegu społecznego konkretnych nazwisk, środowisk czy grup uznanych za wrogi element ustroju. Cenzorzy przestrzegali bezwzględnie, by listy z zapisami nazwisk i ich dzieł podlegały stałym konsultacjom i aktualizacji. Każda gazeta, zanim trafiła do czytelnika, przechodziła przez potrójne sito cenzora. Każdy zatwierdzony do druku numer gazety miał stempel cenzora, ten sam numer był czytany przez cenzora w wersji egzemplarza próbnego.

Autocenzura uruchamiała strategię kamuflażu. Świadomość ingerencji cenzorskich powodowała, że autor formułował własne myśli w sposób pozwalający na publikację. Poruszał się w ramach dopuszczonych przez system poglądów, wyrażał je w pożądanej poetyce, uznając ją odruchowo i podświadomie za własne. W efekcie środowiska dziennikarskich kadr zmieniały się we własnego, najbardziej bezwzględnego cenzora.

Oprócz jawnie działającej cenzury wydawniczej funkcjonowała perlustracja – niejawna cenzura korespondencji prywatnej i wojskowej. Cenzura korespondencji prywatnej początkowo prowadzona była przez resort bezpieczeństwa publicznego, a od połowy lat 50. przez resort spraw wewnętrznych. Wojskowa cenzura realizowana była najpierw przez Ministerstwo Bezpieczeństwa Publicznego i Ministerstwo Obrony Narodowej, a później przez resort obrony narodowej.

Tak było, ale wielu coraz bardziej udaje, albo naprawdę już tak myśli, że PRL to właściwie tylko filmy Stanisława Barei i Adam Michnik oblapujący za szyję gen. Wojciecha Jaruzelskiego. Jeszcze trochę i okaże się, że PRL w ogóle nie było...

*Autorka jest religiologiem,
medioznawcą, profesorem
Akademii Kultury Społecznej
i Medialnej w Toruniu*

Zawód dziennikarz

Każdy zawód ma swoją etykę, ale dziennikarstwo to misja, czyli obowiązek przekazywania prawdy albo obowiązek milczenia, by uniknąć kłamstwa. Czasami wystarczy usunąć jedno zdanie, a nawet wymienić choćby wyraz w tekście czy w filmie dokumentalnym, i już zmienia się wy-mowa całości, inne stają się oddziaływanie na odbiorcę. Doskonale wiedzą o tym specje od mediów i sprytnie to wykorzystują. Potencjalny odbiorca często nawet nie wie, że jest „zaledwie kukielką w rękach propagandy medialnej”, wpływającej często na nasz umysł w tzw. systemie podprogowym, bez naszej świadomości. Pisał o tym już dawno profesor Wydziału Dziennikarstwa UW Michał Szulczewski w swojej książce „Magia szklanego ekranu”. Tylko solidna wiedza oparta na dokumentach, książkach, relacjach świadków pozwala się uchronić od wszechobecnego kłamstwa.

Dziennikarze związani z tzw. totalną opozycją na czele z Donaldem Tuskiem rozpowszechniają opinie, że obecnie Telewizja Polska jest pisowska, ale wystarczy uczciwie odpowiedzieć sobie na zasadnicze pytanie – czy za rządów Tuska, Komorowskiego i jego kumpli mógłby ktokolwiek z opcji prawicowej przyjść do TVP i w studiu na żywo powiedzieć to, co chce? To było po prostu niemożliwe! Teraz natomiast zapraszani są przedstawiciele wszystkich partii, zwolennicy różnych zawodów i poglądów do wszystkich publicystycznych programów (i do „Wiadomości”). Mówią, co chcą, obrażają obecny rząd, ludzie prawicy, często posługując się językiem dalekim nawet od podstawowych norm kultury bycia, nie wspominając o meritum tych wypowiedzi. Sieją w ten sposób mętlik w głowach ludzi, szczególnie tych nieorientowanych, kto kim jest.

Często na pokazach moich filmów podchodzą do mnie widzowie i mówią: „Ale przecież w telewizji tak powiedzieli”. Na pytanie, kim jest ten, kto tak mówił, już nie są w stanie odpowiedzieć. Do TVP są zapraszani wszyscy, w przeciwieństwie do tego, jak było za poprzednich rządów PO-PSL, wówczas nie można było się przedostać z żadnym niewygodnym dla nich zdaniem, nawet takim do bólu prawdziwym i koniecznym, by padło w publicznej narodowej telewizji. Przytoczę tylko takie przykłady, które świadczą o tym, jak bardzo prześwieclany był każdy film dokumentalny, aby żadna niewygodna prawda dla Tuska i jego kolegów nie została przemyciona: w filmie „W imieniu Polski” o Stefanie Korbońskim jego żona Zofia Korbońska mówi o ich radiostacji Świt działającej w czasie okupacji i przekazywanych wiadomościach na Zachód, do Londynu, a potem do Stanów Zjednoczonych informujących o tym, co robią Niemcy z narodem żydowskim w Warszawie i w wielu innych miejscach w Polsce. Jednak ta wiedza była niewygodna dla amerykańskiego establishmentu żydowskiego, więc kazano mi ten fragment z filmu usunąć, chociaż padały konkretne nazwiska, daty, żadnej fikcji. Wypowiedzi bohaterów, świadków historii, nie odpowiadały tamtej opcji. W jednym



Alina Czerniakowska

z filmów o żołnierzach wyklętych cytuję jednego z najdzielniejszych żołnierzy powojennego oporu antykomunistycznego, Hieronima Dekutowskiego „Zaporę”. Prowadzony na śmierć zawołał: „Jeszcze zwyciężymy!”. Też kazano mi ten fragment usunąć. Nawet tak niezrozumiałe polecenia były wydawane przez ówczesne kierownictwo TVP, np. usunięcie fragmentu wiersza Leopolda Staffa, którego użyłam w poetyckiej reminiscencji w Wszystkich Świętych: „Zbiegać za jednym klejnotem pustynie/ Iść w toń za perłą o cudu urodzie/ Ażeby po nas zostały jedynie/ Ślady na piasku i kręgi na wodzie...”. Miałam to wyciąć dlatego, że być może komuś skojarzy się ten fragment z zamordowaniem ks. Jerzego Popiełuszki, a wtedy prokurator Andrzej Witkowski z Lublina dopominał się ponownego śledztwa dotyczącego tej strasznej zbrodni w świetle nowych dokumentów.

Takich przykładów ingerencji samozwańczej cenzury w rękomo już wolnej Polsce mogłabym przytaczać mnóstwo. Żadnych poprawek nie robiłam, „za karę” nie dostawałam honorariów, moje filmy i reportaże na ogół nieemitowane czekały aż do obecnych czasów, nie pomógł nawet fakt, że zostały wybrane przez komisję złożoną z historyków i innych profesjonalistów, przetłumaczone i wydane w wersji polsko-angielskiej.

Można mieć różne zastrzeżenia do obecnej TVP, ale na pewno znajduje tu miejsce każda opcja polityczna, zarówno na ekranie, jak i wśród kadry zatrudnionych dyrektorów, kierowników redakcji, redaktorów, są tu ludzie różnych przekonań, zapatrywań i przeszłości, często bardzo dalecy od takich imponderabiliów, jak patriotyzm, wiara, polskość, prawda historyczna, wyznawanych publicznie przez rządzących z PiS. To nie podoba się niektórym radykalnym niepodległościowcom z rodzin patriotycznych od pokoleń i mówią o tym głośno – kłamcy, złodzieje, działający wbrew interesom Polski, dla obcych. Cała ta targowica już dawno powinna być osądzona, a w mediach polskich, na czołowych stanowiskach w państwie, w różnych instytucjach, fundacjach nie powinno być ludzi, którzy nie mają ku temu żadnego mandatu, bo swoim postępowaniem szkodzili i szkodzą polskiej racji stanu.

W Polsce narasta coraz bardziej, szczególnie oddolnie, potrzeba odkrywania prawdy o ludziach publicznych, słyszy się często: czekaliśmy prawie pół wieku, żeby nareszcie poznać życiorysy, przeszłość tych, którzy chcą decydować o naszej przyszłości, zdobyć władzę i pozostać bezkarnymi. Tu wielkie zadanie dla dziennikarzy, ludzi mediów, dla IPN. Niegdyś ten proces przywracania prawdy zaczął prezes Janusz Kurtyka, niestety zginął pod Smoleńskiem. Bez tej prawdy będziemy poruszać się jak śmy, po omacku, prowadzeni przez coraz bardziej wyszkolonych medialnych specjalistów od propagandy i sztuki kłamstwa, których trudno nazwać dziennikarzami. **///**

Autorka jest reżyserem filmowym, scenarzystką i dziennikarką

PRZYZWIĘTNIK

Bandziory i plastik



**Wiktor
Świątlik**

Lzawe, filmowe wspominki gangstera „Nikosia”, robiecie z innego bandyty, „Słowika”, bohatera pseudosportowej gali, cytowanie przez dziennikarzy, jako jakiegoś autorytetu, kolejnego przestępcy „Masy” to bardzo dobra wskazówka dla każdego w miarę rozgarniętego ucznia w Polsce. Zostań bandziorem, mordercą, zbieraj haracze, gwałć, najlepiej do tego jeszcze współpracuj z tajną policją. Może trochę posiedzisz, ale na koniec zostaniesz bohaterem całej Polski.

Stefan Kisielewski zastanawiał się, co ludzie za kilkadziesiąt lat będą pisać o Hitlerze i Stalinie i dochodził do wniosku, że zapewne będą ich przedstawiać jako wielkich zdobywców. Była to wizja, jak na pesymistycznego Kisiela, zaskakująco naiwnie optymistyczna, bo po pierwsze, samo założenie, że ludzie za kilkadziesiąt lat będą pisać cokolwiek, jest niezwykle odważne. Do tego Stalin jest już na nowo pełnym bohaterem w Rosji, dużo bardziej docenianym niż za Chruszczowa czy Breżniewa. Rekonwalescencja pamięci po Hitlerze jeszcze trwa i jest dość trudna. Wygląda na to, że środowiska opiniotwórcze za Odrą, a także ich nasze, krajowe podnóżki, zastanawiają się, czy do wieść, że był Polakiem lub chociaż pod polskim wpływem,

czy też jednak uczynić go kimś w sumie zabawnym, emotką, zjawiskiem pop-kultury, dość strasznym, ale głównie dlatego, że przyszło mu realizować projekty na dzikim wschodzie Europy.

Jak się jednak okazuje, my na swoim krajowym podwórku też dajemy radę ze zbrodniarzami, choć na razie wzięliśmy się za tych mniejszego kalibru. Bierut z Bermanem muszą jeszcze chwilę poczekać, choć nie wątpię, że też się w końcu doczekają.

Na razie mamy inne czasy, inną skalę i gangsterów. I to trzeba przyznać, że bardzo jest to robione ekumenicznie w sensie politycznym, bo przecież pan Najman, impresario „Słowika”, to niedawny idol części naszej prawicy. Muszę przyznać, że momentami zabawny i sympatyczny, ale obdarzony raczej alternatywnym poczuciem przyzwoitości. Wydawałoby się, że mniej więcej trzy dekady, które dzielą nas od czasu, kiedy bandziory do spółki z dawną esbecją wprowadzały swoje porządki, to nie dość dużo, by zdążyli się oni stać „fajnymi” elementami kultury masowej. Cóż, jeśli wszystko dookoła jest z plastiku, to ludziom się wydaje, że i prawdziwy granat jest plastikowy. Przynajmniej dopóki nie wybuchnie.

Rota

Czekają nas wkrótce godne rocznice i jubileusze. Rok 2022 został ogłoszony Rokiem Polskiego Romantyzmu; 200 lat temu ukazały się drukiem „Ballady i romanse” Adama Mickiewicza. Dwusetną rocznicę urodzin będzie obchodzić również Ignacy Łukasiewicz – pierwszy potentat naftowy, wynalazca, farmaceuta, wielki polski patriota i filantrop.

Najbardziej cieszy mnie jednak fetowanie 180. rocznicy przyjścia na świat Marii Konopnickiej. W 1908 r. znana pisarka stanęła w obronie prześladowanych w zaborze pruskim rodaków, tworząc genialną „Rotę”. Dlaczego utwór ten nie jest hymnem Polski? Dalibóg, nie wiem! Tragiczny kres Napoleona na Wyspie św. Heleny nijak się ma przecież do przywołanej w „Rocie” grunwaldzkiej wiktorii.

Tymczasem nad światem znów gromadzą się czarne chmury. Nadchodzący rok będzie okresem przełomu i w Polsce, i w Europie. Ponad naszymi się głowami Rosja dogaduje się z Niemcami (vide: Nord Stream 2), skutecznie wchłania Białoruś, zbrojnie przejmuje Kazachstan, zagraża



**Lech
Makowiecki**

Ukrainie, na Polskę nasyłane są zorganizowane grupy agresywnych „migrantów”. Polityka klimatyczna UE zaciska ekonomiczną pętlę na szyi Rzeczypospolitej (i nie tylko). A walka z covidowym szaleństwem przypomina gaszenie pożaru benzyną! „Demokratyczna” Europa jest dziś palowana, szczuta psami, przymusowo wyszczepiana i zamykana pod pretekstem sanitaryzmu. Islamscy „nachodźcy” (goście Angeli Merkel) są dla naszej cywilizacji tykającą bombą zegarową. Pierwsze skrzypce w zniewalaniu nas odgrywają politycy niemieccy. To oni, „dyscyplinując” Polaków za „nieprzestrzeganie praworządności”, wtłaczają ideologię gender, zamykają nam kopalnie. Oni kolonizują naszą gospodarkę, obarczają nas winą za Holocaust i odmawiają prawa do wojennych odszkodowań (nawet zwykłej restytucji, czyli zwrotu zrabowanego podczas II wojny światowej mienia!).

Na wszelki wypadek postuluję ogłoszenie powszechnej mobilizacji i zbrojeń! I przywrócenia nauki „Roty” w szkołach.

Granice zadupia

Ukraińcy się wściekli. I to jak! Tak, że aż ichni minister kultury napisał protest do Netflixa. Poszło o serial „Emily w Paryżu”, w mieście „do zakochania”, jak twierdzą twórcy tegoż serialu, w którym emigrantka Petra z Kijowa jest uosobieniem braku kultury właśnie, bezguścia, a na dodatek kradnie. „Czy tak postrzega się Ukraińców za granicą?” – obruszył się minister.

Oo, myślę sobie, granica zadupia, jak postrzegane były kraje na wschód od Odry, zaczyna się przesuwac. Wcześniej to my stanowiliśmy obiekt drwin. Pamiętają państwo reklamę Media Markt, w której wąsaci, szczerbaci i cudacznie ubrani „Polacy” robili zakupy w tej sieci? Gdy wyjechali ze sklepu z pełnymi wózkami, jeden z ekspedientów skomentował, pokazując kolegom, że wciąż ma zegarek na nadgarstku: „Ci Polacy to nawet przyzwolili ludzie...” – po czym telewizjom ukazywał się obraz sprzedawców w gaciach, którzy nie zauważyli, że są bez spodni... Albo spot z mundialu w Niemczech, w którym grupa ich kibiców jadących na mecz zatrzymuje się na poboczu za potrzebą, a gdy się odwracają, nie ma ich auta. Żeby nie było wątpliwości, na ekranie pojawiał się napis: „Polen”. Albo kabaretowa relacja wizyty w Polsce szefa niemieckiej dyplomacji, który „zapinał marynarkę, by nie ukradziono mu portfela z wewnętrznej kieszeni”. Albo drwiny w telewizji publicznej ZDF ze smoleńskiej tragedii i przedsta-

wienie śp. prezydenta RP jako „Führera” wrzeszczącego do pilotów: „Lądować! Rozkazuję! Natychmiast lądować!”. Albo filmowa komedia pod niegramatycznym tytułem „Ożeń mi” o niemieckim palaczu zwłok i Goschi Kawalerowicz z kraju nie-robów, pijaków i katolickich kałmuków, ale urodziwych Polek, śniących o zamążpójściu za Niemców.

Dlaczego twierdzę, że granica zadupia zaczęła się przesuwac? Bo dziś o Polsce rozprawia się nad Szprewą i Sekwaną śmiertelnie poważnie, Polska to problem już innego rodzaju. „Świat tandetę!” – zdziwił się w tytule bulwarowy „Bild”. Żeby tylko, „w Polsce, czyli nigdzie”, jak pisał antenat teatru absurdu Jarry w farsie „Ubu Króla”, elektrownie atomowe zamierzają budować, w czym chcieliby partycypować sami Francuzi. Cała nadzieja Berlina w opozycji, żeby wróciło, co było.

Tymczasem na tapecie jest Ukraina. Producentka serialu krytykowanego przez ministra za obraźliwy wizerunek rodaczki, odpowiedziała: „Oczywiście, chcielibyśmy, by Petra pochodziła z Moskwy, ale nie zawsze dostajemy to, czego chcemy”. Jasne...?



**Piotr
Cywiński**



**Adam
Ciesielski**

W pułapce losu

„La Boheme”, dzieło Giacoma Pucciniego, znane w polskim tłumaczeniu jako „Cyganeria”, nie przez przypadek jest jedną z najczęściej wystawianych oper wszech czasów. Muzyka włoskiego mistrza ilustruje ponadczasowy temat ludzkiego losu. Z kodą śmierci wpisaną w każde, nawet jeszcze bardzo młode życie

Inscenizacja Barbary Wysockiej, wypadająca w 125. rocznicę turyńskiej prapremiery, przenosi akcję z XIX-wiecznego Paryża do Nowego Jorku lat 80. XX w. Podobnym zabiegiem posłużyli się twórcy nawiązującego również do „Cyganerii” amerykańskiego musicalu „Rent”. Chodzi o współczesne odniesienia. Bohaterowie, początkujący artyści, próbujący zaistnieć w wielomilionowej metropolii, tworzą rodzaj komuny. Przeżywają radości i smutki, z pogodą znoszą chłód loftów, gdzie mieszkają. Między poetą Rudolfem (sprawny włoski tenor Davide Giusti) a sąsiadką Mimi (Adriana Ferfecka, rewelacyjna sopranistka śpiewająca częściej za granicą niż w kraju) rodzi się uczucie. Niepokojący jest jednak stan zdrowia dziewczyny, kaszlącej i słabej. Kiedyś domniemywano

by gruźlicę, potem AIDS czy narkotyki, a dziś? Spektakl nie stawia kropki nad i, choć nietrudno o odpowiedź. Partner dziewczyny jest bezradny, inni okazują serce, jest już jednak za późno. Finałowe odejście Mimi zaskakuje jej rówieśników, żyjących teraz niebezpiecznością i unikających nawet myśli o sprawach ostatecznych.

Niewesoła puenta, wszakże przedstawienie, którego premiera z powodu pandemii była przekładana, wypadło efektownie. Zarówno muzycznie (dobra forma wokalistów, także akompaniament orkiestry), jak inscenizacyjnie i choreograficznie. Intriguje scenografia Barbary Hanickiej, zmieniająca początkowe postprzemysłowe gmaszysko, gdzie wegetują bohaterowie, w fantom statku uwięzionego w pułapce lodu i śniegu.



Giacomo Puccini „La Boheme”, reż. Barbara Wysocka, kier. muzyczne Patrick Fournillier, premiera 3 XII 2021 r., Teatr Wielki – Opera Narodowa

Michał Korsun prezentuje:
Marcin Najman i „Słowik”



Wycinki z przeszłości

O to okładka „Przekroju” z grudnia 1960 r. (nr 817) przedstawiająca rodzinę górniczą. Zerknijmy więc do rubryki „Demokratyczny savoir-vivre”, gdzie odbijały się ówczesne rodzinne sprawy.

Antoni C. zapytywał redakcję: „Dostaliśmy od znajomych na srebrne wesele lampę, gdyż uznali, że nasza jest już kompromitująca. Nowa lampa jest kosztowna i wymyślna, rodzaj świecznika w nowoczesnym stylu. Duże to i prawdę mówiąc szkaradne. Czy musimy powiesić?”. Redakcja odpowiadała: „Może w przedpokoju? Brzydkie rzeczy mniej się tam rzucają w oczy, są niejako na swoim miejscu. Wytlumaczcie znajomym, że nie wieszacie w pokoju, gdyż do starej lampy jesteście bardzo przywiązani”.

Aldona z Gdańska opisywała sytuację: „Mleko kipiało, więc wrzasnęłam i rzuciłam się w stronę kuchni, w momencie gdy do pokoju wchodziła teściowa. Przestraszył ją mój okrzyk, co kwaśno mi wypomniała, mąż jej przyznał rację”. Czy słusznie? Zdaniem „Przekroju” tak: „Wobec starszych osób należy miarkować głos i ruchy, tak każde dobre wychowanie i wzgląd na higienę”.

Prawda. Oj, bardzo by się dzisiaj przydały takie porady.

(mk)

Nowowiejski, Kochanowski i próżne staranie



Leszek Długosz

Feliks Nowowiejski – kompozytor, dyrygent, organista, szambelan papieski – zmarł 18 stycznia 1946 r. W kolejną rocznicę śmierci kilka słów o nim. Urodzony na Warmii miał w swoim życiu i okres krakowski, i okres poznański – poznańscy czczą go ulicą dochodzącą do placu Wolności tuż obok Biblioteki Raczyńskich. A w Krakowie odbyło się spektakularne prawykonanie w 500. rocznicę bitwy pod Grunwaldem „Roty”, najbardziej zapisanej w naszym kodzie kulturowym kompozycji Nowowiejskiego do słów Marii Konopnickiej. Pan Feliks komponował muzykę do poezji także innych wspaniałych autorów – współczesnego mu Lucjana Rydla, starszego lat 55 Kornela Ujejskiego, ale i do ojca naszej literatury Jana Kochanowskiego.

I to z racji tej ostatniej okoliczności mam dla pamięci o Nowowiejskim serdeczne słowo, bo i ja brałam na kompozytorski warsztat wiersze Jana z Czarnolasu. Jak choćby ten – aktualny w każdym czasie i wobec każdego.

*Próżne nasze staranie
Na wieczne Boskie zdanie;
Co Bóg rzekł, to tak będzie,
Człowiek tego nie zbędzie.
A cokolwiek czynimy,
I cokolwiek cierpimy,
Wszystko pochodzi z nieba –
W tem nam wątpić nie trzeba.
Pierwszy dzień dał każdemu
I ostatni, a k swemu
Końcowi wszyscy idziem,
Skąd już nazad nie przydziem.*

Pamiętajmy o tym, nie tracąc jednak ani na chwilę radości życia!

Zamów Prenumeratę! Według nowego cennika

CENNIK PRENUMERAT*	OKRES PRENUMERATY		
	3 miesiące	6 miesięcy	12 miesięcy
SIECI	82 zł	149 zł	265 zł
wSIECI HISTORII	–	34 zł (3 wydania)	59 zł (6 wydań)
pakiet SIECI i wSIECI HISTORII	–	169 zł (w tym 3 wydania wSIECI HISTORII)	295 zł (w tym 6 wydań wSIECI HISTORII)

*dane do przedruku w stopce redakcyjnej



OD A DO ZYBERTOWICZA

Uchylam to pytanie

Sąd – jak pokazuje mój proces – nie nadaje się na miejsce ustalania prawdy historycznej

punkt widzenia jednego z wybitnych opozycjonistów – Andrzeja Gwiazdy, który powiedział, że podczas obrad „okrągłego stołu” władza podzieliła się władzą z własnymi agentami. I właśnie ten cytat z Andrzeja Gwiazdy stał się przedmiotem pozwu.

Powodowie twierdzą, iż cytując Gwiazdę, miałem na myśli *wszystkich* uczestników „okrągłego stołu”. Ale gdy odpytując powodów, próbuję ustalić, z jakiej logiki taka interpretacja mej wypowiedzi wynika, sąd uchyla mi jedno pytanie za drugim.

BAŃKI NIENAKŁUTE

Uchylane są pytania zarówno pełnomocnika powodów, moich pełnomocników – mec. Moniki Brzozowskiej-Pasieki i mec. Jerzego Pasieki – oraz moje. Przy czym nie wiadomo dlaczego, bo sąd stwierdza jedynie „uchylam to pytanie” i tyle.

Uchylanych jest nieraz chyba większość pytań i w tym kontekście jako profesor nauk społecznych poczyniłem pewne spostrzeżenie niezwiązane z procesem. Chodzi o system poznawczy. Obecnie społeczeństwo jest tak bardzo spolaryzowane, że żyjemy w swoistych bańkach informacyjnych. Gdybyśmy zaczęli dyskusję, prawdziwą debatę – również na tematy niepopularne, które chcemy odbrać – wówczas obie bańki zostałyby nieco nakłute i być może każda ze stron spojrzalaby inaczej na drugą stronę. W obecnej chwili ludzie nie dopuszczają do prawdziwie wolnej debaty, dyskusji akademickiej i nakłucia baniek, czego efektem jest dalsza polaryzacja.

Zdaje się, że moje spostrzeżenie o życiu w bańkach znalazło nawet po-

twierdzenie w reakcji powódki Heleny Łuczywo, gdy wysłuchawszy serii moich pytań, na które sąd nie pozwolił jej odpowiedzieć, zorientowała się, jak bardzo nasze perspektywy się różnią.

Sąd – jak pokazuje mój proces – nie nadaje się ani na miejsce ustalania prawdy historycznej, ani uzyskiwania minimalnego choćby porozumienia co do zasad patrzenia na wspólną przeszłość. Niestety, także świat akademicki coraz gorzej sobie radzi na tym polu.

W mojej ocenie powodowie bronią tego, co Bronisław Wildstein nazwał „białą legendą »okrągłego stołu«”. Świadczy o tym nie tylko przebieg procesu, lecz i fragment pozwu mówiący, iż moje słowa „stanowiły [...] przejaw [...] celowej bagatelizacji dorobku opozycjonistów z czasów Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej”. Z pozwu wynika zatem, że gdy ktoś uczestniczył w dziele tak szlachetnym jak „okrągły stół”, to niechaj żaden badacz nie pozwala sobie na wskazywanie agenturalnych aspektów tego wydarzenia historycznego!

MILION SOWITEGO UKARANIA

A co jeśli ktoś jednak pozwala sobie krytycznie spojrzeć na „okrągły stół”? Wtedy potrzebne jest „sowite uderzenie po kieszeni” – to słowa Jacka Moskwy, który wraz z innymi powodami domaga się przeprosin w mediach, których koszt sięgnąłby miliona złotych.

Ukarać trzeba badacza, który przyłączył się do obecnych od dawna w debacie publicznej opinii wskazujących na potrzebę uwzględniania agenturalnego wymiaru transformacji ustrojowej.

Tak oto dla mnie odsłoniło się prawdziwe oblicze środowiska „obrońców” wolności.

Andrzej Zybertowicz

„Uchylam to pytanie” – tym stwierdzeniem stanowczo, raz po raz reaguje sędzia Sądu Okręgowego w Warszawie w procesie, który wytoczyło mi 36 uczestników „okrągłego stołu” (cztery osoby z grupy powodów zmarły, zanim doszło do pierwszej rozprawy – był w tym gronie prof. Marcin Król, którego recenzja mego dorobku naukowego przyczyniła się do znacznego opóźnienia uzyskania przeze mnie tytułu profesorskiego).

DEBATA OKSFORDZKA

O co poszło? W lutym 2019 r., w przeddzień 30. rocznicy rozmów „okrągłego stołu”, w Pałacu Prezydenckim odbyła się debata oksfordzka młodzieży szkolnej. Temat: „Czy negocjacje między komunistyczną władzą a opozycją były jedynym sposobem, by pokojowo obalić komunizm w Polsce”.

Występując w roli jurora tej debaty, zwróciłem uwagę, iż uwadze młodych debatujących umknął ważny, wynikający z natury państwa policyjnego, jakim był PRL, aspekt „okrągłego stołu”: rola agencji tajnych służb. Rzecz typowa, wcale niewyjątkowa dla Polski. Mając do dyspozycji dwie i pół minuty na całość wystąpienia, przytoczyłem

TYLKO DLA PRENUMERATORÓW
WERSJI PAPIEROWEJ

SIECI

**wSIECI
HISTORII**



Wspomnienia Jana Książczyka (Johna Benetta) – pasjonująca opowieść o życiu 102-letniego weterana, pilota Polskich Sił Zbrojnych na Zachodzie i oficera RAF-u.

Oddajmy hołd odwadze
legendarnego pilota!

ŻYCIE WETERANA II WOJNY ŚWIATOWEJ | WALKI I WYPADKI
LOTNICZE | ARCHIWALNE ZDJĘCIA | 240 STRON

40
książek
w prezencie

Książkę „**Spitfire stanął na ogonie**” otrzymasz **GRATIS**,
zamawiając roczną prenumeratę pakietu:
tygodnik **SIECI** i magazyn **HISTORII** za **295 zł**.

Zamów już dziś na: www.wsieciprawdy.pl/prenumerata



Wpłat za prenumeratę prosimy dokonywać na konto: 91 1240 5354 1111 0010 7713 6290, Fratria sp. z o.o.,
ul. Legionów 126-128, 81-472 Gdynia, w tytule wpłaty wpisując: PRENUMERATA PAKIET i pełne dane adresowe do wysyłki.

Kontakt: prenumerata@fratria.pl | tel. 22 616 36 00 w godz. 9-16



Ochrona polskiej granicy wschodniej

MONETA KOLEKCYJONERSKA NBP



Narodowy Bank Polski wprowadza do obiegu monetę kolekcjonerską „Ochrona polskiej granicy wschodniej”.

Srebrna moneta o nominale 10 zł została wyemitowana w hołdzie funkcjonariuszom Straży Granicznej oraz policjantom i żołnierzom, którzy strzegąc naszego terytorium – w obliczu działań o charakterze wojny hybrydowej – dają dowody najwyższego profesjonalizmu oraz oddania państwu polskiemu i jego obywatelom.

Moneta kolekcjonerska do nabycia od 27 stycznia 2022 r.
w Oddziałach Okręgowych NBP oraz w sklepie internetowym: kolekcjoner.nbp.pl